

W co się bawić? Skoki z dachu; adrenalina dla nowych ruskich

PRZE KROJ

Nr 3 / 3035 • 24 sierpnia 2003 • cena 4 zł

/w tym 7% VAT/

SERCE
ZABÓJCA
Kobiet
NIE UMIERAJA
Z MIŁOŚCI
TYLKO
NA ZAWAL
DUSZNIC

Trans i amok

czyli PRAWDZIWA HISTORIA SIERPNIA '80

rozmowa z Lechem Wałęsą

ISSN 0033-2488



9 770033 248038

34

JUŻ W KIOSKACH

UWAGA! PREZENT – 3 FILMY NA DVD – DO WYBORU
VIVA!
 DWUTYGODNIK
 nr 17 (171) 25 SIERPNIA 2003 CENA 8,99 zł (w tym 7% VAT)

TYLKO
W **VIVIE!**
WSPANIAŁY
PREZENT!

3 FILMY
NA DVD
DO WYBORU



DEMI MOORE

Zdobyła najbardziej
pożądanego w USA faceta
(15 lat młodszego!)



MARIE TRINTIGNANT

Cała prawda
o tragicznej śmierci
w Wilnie

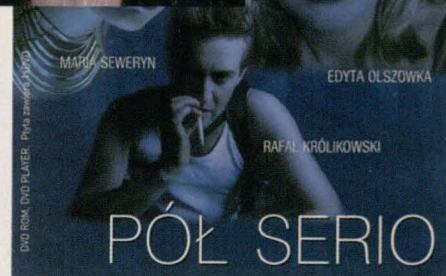
Komedia romantyczna Film DVD



BEN AFFLECK GWYNETH PALTROW
GRA O MIŁOŚĆ



KATE BECKINSALE JOHN CUSACK
IGRASZKI LOSU



MARIA SEWERYN EDYTA OLSZOWKA
PÓŁ SERIO

**OLGA WOJCIECH
 Fibakowie**

Oszaleli z miłości do córki

ROMANTYCZNE KOMEDIE:

„Igraszki losu”
 „Gra o miłość”
 oraz „Pół serio”

TY ZDECYDUJ, CZY KUPIĆ **VIVĘ!** Z PREZENTEM, CZY BEZ!

RACZKOWSKI na Czwartek

PRZE
KROJ



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o odkryciu przez ministra
spraw zagranicznych
Włodzimierza Cimoszewicza
nowej szansy dla polskiej
gospodarki. „Okazuje się,
że Meksyk może być krajem,
gdzie możemy robić wielkie
interesy, chociażby
w zakresie jednego produktu,
jakim jest mleko w proszku”
– powiedział Cimoszewicz
po powrocie z oficjalnej
wizyty tamże. Bo my
poszlibyśmy z tą ideą dalej
– tyle rzeczy jeszcze mamy
w proszku!

...o złotych fanów
„Gwiezdných Wojen”,
„Drużyny Pierścienia”
i hobbitów oraz Paradzie
Kowbojów, które odbyły się
w zeszłym tygodniu
w różnych miejscach Polski.
Bo właściwie wydaje nam się

całkiem zrozumiała chęć
wielu naszych rodaków,
żeby choć na chwilę być
kimś innym, a nie ciągle tym
Polakiem i Polakiem.

...o tym, że nie wszyscy
właściwie korzystają
z wakacji. Na przykład
minister edukacji i sportu
Krystyna Łybacka zamiast
odpocząć, co na pewno by
się jej przydało, wymyśliła
(z kolegami z resortu
finansów) nowy podatek
– od zysku zgarnianego przez
szkoły niepubliczne, co jeśli
wejdzie w życie, zapewne
wykończy wiele placówek.
Bo to musi być przemęczenie,
tylko przemęczenie...

...o założonej przez partię
Leppera fundacji Samo-
obrona Dzieciom, której

celem ma być „dokarmianie
głodnych dzieci i starszych
ludzi w szpitalach”.
Bo Samoobrona dzieciom
to niech lepiej da spokój.

...o propozycji Adidasa,
niemieckiego producenta
odzieży i akcesoriów
sportowych, złożonej
Davidowi Beckhamowi,
aby podpisał kontrakt
reklamowy „na całe życie”
za rekordowe w branży
sportowej 100 milionów
funtów (około 600 milionów
złotych). Piłkarz reprezentacji
Anglii i Realu Madryt
otrzymałby najpierw połowę
sumy, a resztę przez kolejne
lata. Bo najciekawszego
agencji nie podały
– na ile Adidas ubezpieczy
ten kontrakt od następstw
nieszczęśliwych wypadków?

MYŚL TYGODNIA

Gorzej już grać
nie mogę

Brytyjski piłkarz David Beckham
po debiutanckim występie
w barwach Realu Madryt



Fot. DESMOND BOYLAN/REUTERS/FORUM



32

Wydawany
od 34 lat
„Penthouse”
bankrutuje

- 6 POWIĘKSZENIE
Życie pod prąd
- 12 POWIĘKSZENIE
Polityk lubi pływać
- 18 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe
i zagraniczne
- 24 PYTAMY
Zbigniewa Kowalskiego o strajk
w fabryce Wagon
- 25 PRZEKRÓJ TYGODNIA – ludzie
- 26 KOMENTARZ
- 27 RAPORT MNIEJSZOŚCI
Artur Międzyrzecki „Wyraźne,
niewyraźne”

NAJSZTUB PYTA

- 28 MATKA BOSKA PRZESKOCZYŁA
PRZEZ PŁOT
– Mówię prawdę, przysięgam,
żadnych kłamstw. Pewno,
że każdy będzie interpretację
naciągał trochę dla siebie,
ale główna prawda jest jedna
– odpowiada Lech Wałęsa

GORĄCY DOKUMENT

- 32 AGONIA ŚWIERSZCZYKA
Zabrakło pieniędzy na druk
najstławniejszego magazynu
softpornograficznego!
„Penthouse” bankrutuje!

- 36 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

MEDYCYNĄ

- 38 ZABÓJCA KOBIET
Płeć piękna powinna o wiele
bardziej obawiać się chorób
serca niż raka piersi

KLIMAT

- 42 TRĄBY W WODZIE
Nad Hel zawitało zjawisko
klimatyczne rodem z USA

- 44 INSPEKTOR GADŻET

CZAT

Z JAKUBEM
MIELNIKIEM
W PORTALU
WIRTUALNA
POLSKA
WE WTOREK
28 SIERPNIA
O GODZ. 14.00



LUDZIE!!!

- 48 „CIAŁA” HISTORIA
Andrzej Saramonowicz,
współreżyser komedii „Ciało”,
opowiada o pięknych
rajstopkach, walce z polskim
przemysłem filmowym
i pomysłach na rozbawianie
narodu
- 52 ALEKSANDER WIELKI
21-letni krakowianin skoczył
wzwyż 2,36 metra i znalazł się
w elicie światowej
lekkoatletyki
- 54 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

PATRZĄC I CZYTAJĄC

- 56 NAJSTARSZE GRAFFITI
Gdzieś w okolicach Sydney na
wiekowych skałach odnaleziono
galerię aborygeńskiej sztuki.
Naskalne rysunki przedstawiają
mitycznych przodków
pierwotnych mieszkańców
Australii

W CO SIĘ BAWIĆ?

- 62 SEN O LATANIU
Niepotrzebny most,
niepotrzebny dźwig. Wystarczą
dwa wysokie obiekty obok
siebie i już możesz uprawiać
dream jumping
- 66 NOWYCH RUSKICH DOLINA
MARZEŃ
Za duże pieniądze można bić
faszystów albo zagubić się
w labiryncie jaskiń. Jak
w kinie, ale naprawdę
- 70 I JESZCZE... pogo stick,
petanque, noszenie żon
i nurkowanie w bagnie
- 72 LISTY



Fot. POLARIS/EAST NEWS

75 TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

- 76 WYDARZENIE – Francuski
gwiazdor-zabójca
- 78 MUZYKA – Powrót
piosenkarki Kayah
- 80 FILM – „Intacto”
– hiszpańska ruletka
- 82 KSIĄŻKI – Dzienniki
Cobaina z Nirvany
- 84 TELEWIZJA – najlepsze
programy

ROZMAITOŚCI

- 86 DZIENNIKI OSOBISTE
MAŚKOWSKA i MENTZEL;
BRALCZYK; jolka
- 88 WINNY BIEŃCZYK
i KULINARNE PIÓRO
POLSKI; krzyżówka
- 90 RACZEJ
RACZKOWSKI

44

Inspektor
Gadżet



Co wyszło, trzeba podlać

W gorący, letni dzień nie ma jak świetnie
zbalansowany smak schłodzonego Lecha.



powiększenie

ROZŚWIETLONY ZWYKLE MILIONAMI ŚWIATEŁ MANHATTAN POGRĄŻONY W CIEMNOŚCI I OPUSTOSZAŁ. PRACOWNICY BIUR NIE MUSIELI W PIĄTEK IŚĆ DO PRACY

MACIEJ TYŚNICKI

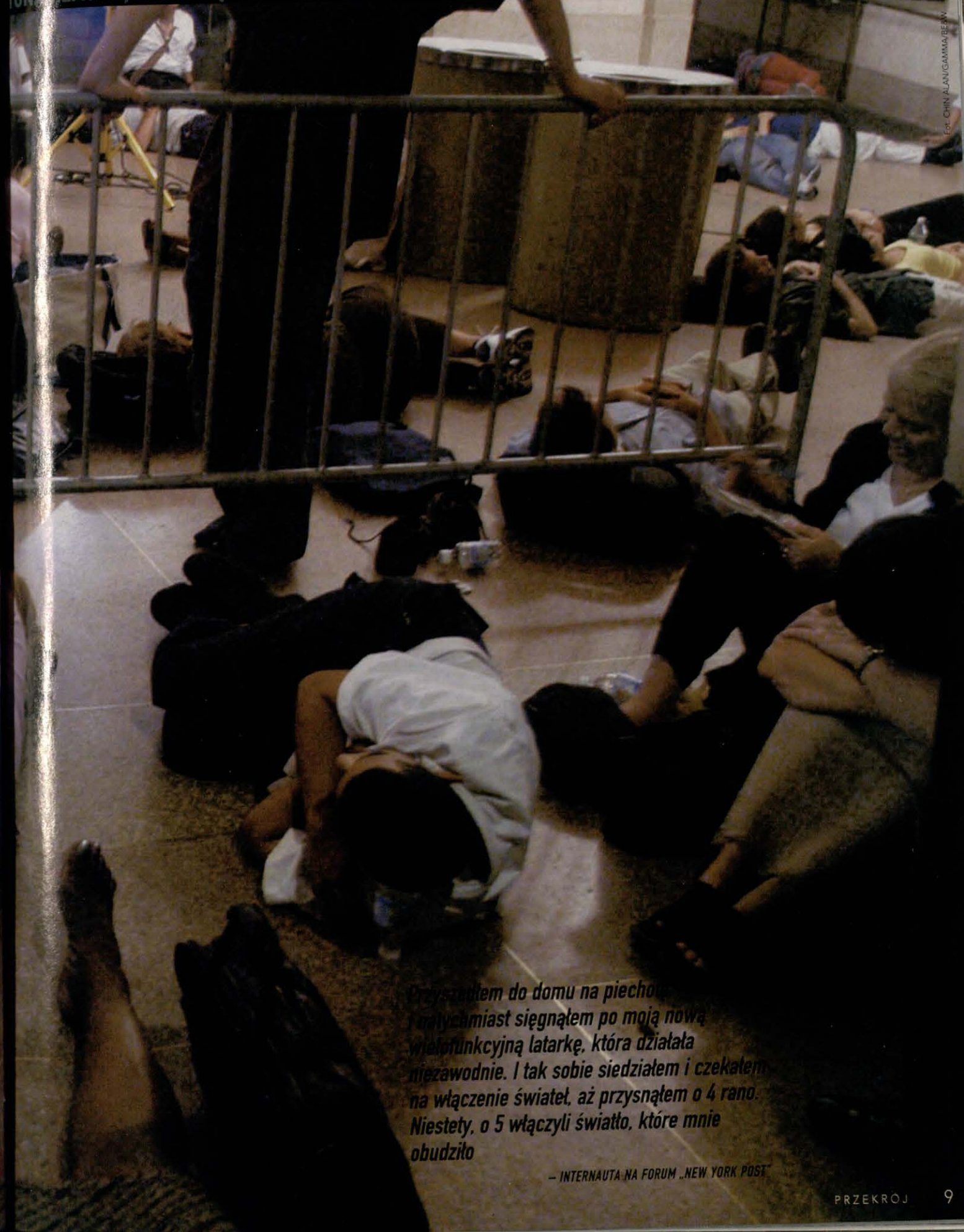
ŻYCIE POD PRĄD

Największa awaria energetyczna w dziejach Ameryki odciągnęła ludzi od telewizorów i skłoniła do zainteresowania się współobywatelami. W czasie zaciemnienia amerykańskie miasta rozbrzmiewały dźwiękiem nieustających imprez

Świt nad pozbawionym światła Manhattanem. Po raz pierwszy od wielu lat na niebie nad Nowym Jorkiem było widać gwiazdy



Podróżni, którzy utknęli na Grand Central Station, musieli spać na podłodze w poczekalni dworca



Przyszłem do domu na piechotę i natychmiast sięgnąłem po moją nową wielofunkcyjną latarkę, która działała niezawodnie. I tak sobie siedziałem i czekałem na włączenie światła, aż przysnąłem o 4 rano. Niestety, o 5 włączyli światło, które mnie obudziło

— INTERNAUTA NA FORUM „NEW YORK POST”

Nauczyłem się nie panikować w czasie poprzedniej awarii w 1965 roku. Tym razem po prostu wziąłem swój saksofon, klarnet i flet i całą noc ćwiczyłem

— HOSEA TAYLOR, 70-LETNI EMERYTOWANY NAUCZYCIEL MUZYKI

Po 11 września 2001 Amerykanie zrozumieli, jak kruche jest wszystko, co mamy, i że kontakty z ludźmi są najważniejsze

Fajnie było. Nasz budynek zamienił się w coś w rodzaju obozu dla uchodźców, bo w każdym mieszkaniu był jakiś zbłąkany gość – opowiada Michelle, mieszkanka Nowego Jorku, na forum popularnej bulwarówki „New York Post”. – Poszliśmy na dach budynku, wyciągnęliśmy jedzenie, odkorkowaliśmy flaszki i zrobiliśmy grilla. Część z nas zresztą spała potem na tym dachu, bo tam było dużo chłodniej. Myślę, że w piątek wielu nowojorczyków miało niezłego kaca. Wiem, bo sama miałam” – zwierza się Michelle. Cały jej blok balował aż do 19.40 w piątek, gdy przywrócono dostawę prądu. Wówczas wzniecono ostatni toast i zakończono imprezę.

NIE MA TELEWIZJI

W czwartek kilka minut po 16 w Stanach Zjednoczonych wydarzyła się największa awaria sieci energetycznych w dziejach kraju. W ciągu kilku minut 50 milionów Amerykanów i Kanadyjczyków zostało pozbawionych prądu. Stacje telewizyjne na całym świecie pokazywały obrazki niezwykle podobne do tych z 11 września 2001 r.: miliony nowojorczyków idących pieszo po mostach łączących wyspę Manhattan z resztą miasta.

Okazało się, że tym razem to nie Al-Kaida stała za wyłączeniem prądu, lecz mieszkańcy dowiedzieli się o tym dopiero po wielu godzinach niepewności. Gigantyczna awaria sparaliżowała życie w niemal jednej czwartej USA. Mieszkańcy zostali odcięci od wszystkich udogodnień współczesnej techniki.

„Byłem w domu, oglądałem odcinek show Oprah Winfrey, która rozmawiała z facetem molestującym dzieci. Nagle ekran zgasł – opowiada inny internauta. – Myślałem, że to tylko w naszym kwartale domów coś się stało z prądem, a tu się okazało, że wyłączyli w kilku stanach. Strasznie się nudziłem w domu bez telewizji, na szczęście miałem małe radio na baterie”.

KRYZYS UMACNIA WIĘŹ

Wielu Amerykanów pozbawionych telewizji czy dostępu do e-maila po prostu nie wiedziało, co ze sobą zrobić. Niektórzy wychodzili przed dom i odkrywali ze zdziwieniem, że w ich okolicy mieszkają ludzie, których nigdy przedtem nie dostrzegali.

– Policja była zajęta kierowaniem ruchem, więc mieszkańcy mojego osiedla Hoboken wylegli na ulice, żeby świętować – opowiada Marta, młoda Polka mieszkająca w Nowym Jorku. – Na chodnikach pojawiły się grille, rozkładane krzeselka i przenośne lodówki. Świętowaliśmy na ulicy Willow w towarzystwie azersko-irańsko-żydowskim. O godzinie 10 wieczorem od północnej strony Hoboken, gdzie znajduje

się wjazd do tunelu łączącego miasto z Manhattanem, nadciągnął tłum spoconych i wymiętoliwych nieszczęśliwów, którzy utknęli na wyspie – wspomina Marta. W opowieściach innych Amerykanów przewija się stwierdzenie, że po wielu latach mieszkania drzwi w drzwi wreszcie poznali swoich sąsiadów.

Zdaniem psycholog Zofii Milskiej-Wrzośińskiej taka reakcja może być specyficzna dla Amerykanów, a w szczególności dla mieszkańców Nowego Jorku, miasta o wieloletnich tradycjach samoorganizacji obywatelskiej.

Takiej postawie sprzyjało też niedawne doświadczenie zamachów terrorystycznych z 11 września 2001 r. – Wówczas nowojorczyki odczuli, że przetrwali zagrożenie dzięki solidarności, zaradności i współpracy – mówi Milska-Wrzośińska. – W ogóle zwycięskie przejście przez kryzysową sytuację umacnia więź. Dzieje się tak w rodzinach, klasach szkolnych, ale również na poziomie społeczności miast i narodów. Poza tym zamachy pokazały, jak kruche jest wszystko to, co mamy, i że naprawdę liczy się bezpośredni kontakt z ludźmi – tłumaczy.

Podobnie reagowali wrocławianie w roku 1997. Wówczas miasto załapała powódź, którą dziś zwie się Powodzią Tysiąclecia.

– Taka kryzysowa sytuacja bardzo zbliża ludzi, zmienia miasta – opowiada Stanisław Huskowski, ówczesny wiceprezydent Wrocławia. – Widzieliśmy to zwłaszcza na wielkich osiedlach, gdzie ludzie nieoczekiwanie wyrwani z kieratu praca-dom zaczęli otwierać się na sąsiadów. Wiele z tamtych przyjaźni przetrwało. Powódź przełamała anonimowość społeczności wielkich osiedli – twierdzi Huskowski. Jego zdaniem podobne procesy zachodzą właśnie w Stanach.

NA ZŁOŚĆ BURMISTRZOWI

Amerykanie nie tylko cieszyli się z odkrycia społecznych więzi. Często narzekali na władze, które obciążali winą za awarię.

Młoda internauta z forum „New York Post” opowiada, że całą noc spędziła w barze, szącąc ciepłe drinki, paląc papierosy (burmistrz Nowego Jorku Michael Bloomberg wprowadził zakaz palenia w miejscach publicznych), rozmawiając ze znajomymi, sąsiadami i kompletnie obcymi ludźmi. „Co jakiś czas wrzeszczeliśmy chórem: »Pier.... Bloomberg!«” – cieszy się internauta.

– Nie wiem, czy to była powszechna opinia. W większości relacji burmistrza oceniano pozytywnie – mówi Zofia Milska-Wrzośińska. – Może się jednak zdarzyć, że ktoś umniejsza zasługi władzy, żeby zwiększyć własną rolę w pokonaniu kryzysu.

Przywrócenie dostaw prądu zajęło odpowiednim służbom nieco ponad dobę. Nowojorczyki już w poniedziałek wrócili do pracy, a miasto do normalnego rytmu. Na czołówkach nowojorskich gazet pojawiły się informacje, że niespotykane upały zamieniają rzekę Kolorado w drugi Nil.

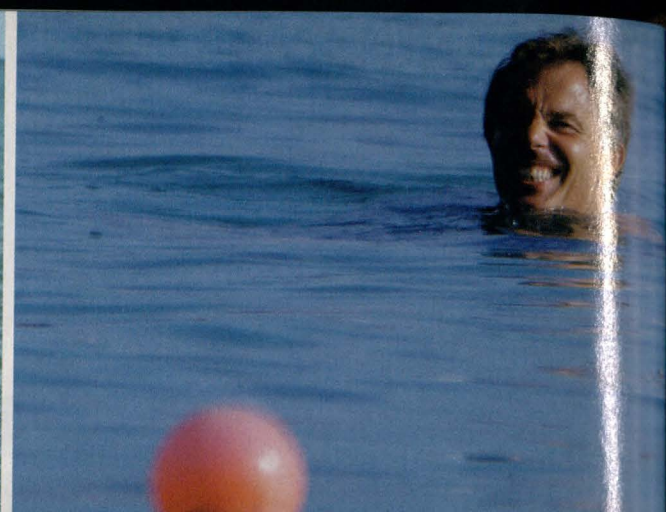
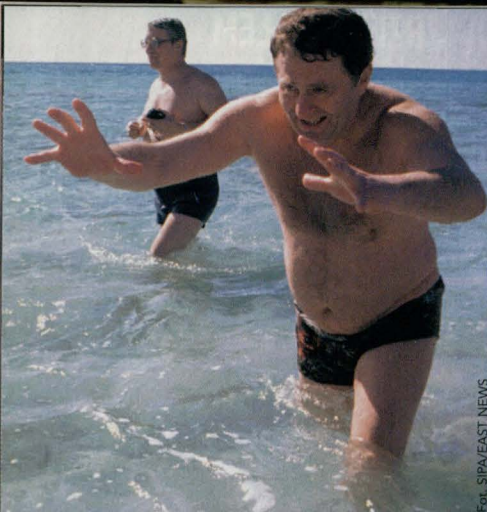
MACIEJ TYŚNICKI

Tysiące nowojorczyków pracujących na Manhattanie wędruje do domu po moście Brooklyńskim

POLITYK LUBI PŁYWAĆ

Któż by się domyślił, że ten rozbawiony mężczyzna to przyszły gubernator Kalifornii, prezydent supermocarstwa i pogromca „imperium zła”? Ronald Reagan i aktorka Jane Wyman na basenie w Hollywood, początek lat 40.

Politycy gnają latem na plaże i baseny, porzucają garnitury i krawaty, nie wstydzą się niepoważnych kąpielówek. Polityk jak każdy zwykły śmiertelnik może po prostu szukać w wodzie ochłody, ale częściej – popisując się krzepą – zabiega o głosy wyborców lub próbuje odebrać je przeciwnikom. Lato to czas wspaniałych politycznych kampanii reklamowych



NIE ZWAŻAJĄC NA POWAGĘ STANOWISK, MARSOWE MINY PREZENTOWANE CODZIENNIE W TELEWIZJI. ALE POLITYCZNE ELITY PŁYWAJĄ, BARASZKUJĄ I ŚMIEJĄ SIĘ JAK NORMALNI LUDZIE

Władimir Żyrinowski obiecywał, że rosyjscy żołnierze będą myć buty w Oceanie Indyjskim. Sam musiał się zadowolić pobytem w rządowym kurorcie nad Morzem Czarnym

Krzepa na pokaz – byli pułkownik spadochroniarzy i wódz francuskiej prawicy Jean-Marie Le Pen w walce z windsurfingiem na Pacyfiku u wybrzeży Nowej Kaledonii

Brytyjski premier Tony Blair w pobliżu wyspy Barbados. Na szczęście do brzegu niedaleko

Przewodniczący był stworzony do rzeczy wodnych – Mao Zedong (główka u dołu) podczas corocznego przepływania rzeki Jangcy. Pod przewodniczącym płyną nieświdoczni wojskowi nurkowie, którzy go podtrzymują

Przykładowy mąż i ojciec Bill Clinton na plaży w Honolulu (z wody wystają nogi żony i córki) – z dala od Białego Domu i afery z Moniką Lewinsky

Letni wypoczynek może być też polityczną demonstracją. Obrażony na włoskich polityków kanclerz Niemiec Gerhard Schröder odwołał urlop nad Adriatykiem. W jego ślady poszło prawie milion Niemców. Gniew niemieckiego kanclerza kosztował Rzym co najmniej kilka miliardów euro



Chiński prezydent Jiang Zemin swobodnie dryfuje po Morzu Martwym w pobliżu izraelskiego kurortu Ein Bokek. Kulturalna rewolucja skończona, krzepy nie trzeba już więcej udawać, można spokojnie popływać, i to w dodatku z dala od ojczyzny



„JESTEŚMY TACY JAK WY” – WOŁAJĄ LATEM POLITYCY ZE WSZYSTKICH KĄTÓW GLOBU I SKACZĄ W KĄPIELÓWKACH DO WODY: OD HONOLULU PO MORZE CZARNE

Czy ktoś widział polskiego prezydenta,
premiera albo któregoś z ministrów na plaży
bez garnituru i krawata,
w zwykłych kąpielówkach?
Nie, i nawet myśl o czymś takim wydaje się
błędem. Nasi wybrańcy wszak
nie pływają, nie baraszkują w wodzie,
tylko cały czas siedząc w fotelu, myślą,
jakby tu problemy kraju rozwiązać.
A może po prostu nie umieją pływać?

George Bush senior
po szyję w wodzie
Oceanu Spokojnego,
w pobliżu Honolulu

Bo Jelcyń w Morzu Czarnym
w pobliżu Soczi. Za nim, z lewej
strony, jego sekretarz prasowy
i pierwszy ambasador Rosji
w Polsce, Władimir Kostikow.
Nie wahając na pogarszające się
zdrowie, podczas każdych wakacji
Jelcyń pływał w Morzu Czarnym
lub w Woldze



Plaża na hiszpańskiej Majorce:
przeciwnik Jelcyna i pierwszy
prezydent ZSRR Michail Gorbaczow
woli wypoczywać z dala od Rosji



Hotel Canal służył za siedzibę misji ONZ w Iraku jeszcze podczas inspekcji w latach 90.



Kilka minut po eksplozji na miejscu pojawili się żołnierze amerykańscy i zaczęli ewakuować ofiary



Sergio Vieira de Mello był najwyższym rangą urzędnikiem ONZ w Bagdadzie

WYSADZILI ONZ

NIEZNANI
SPRAWCY
PODŁOŻYLI
BOMBĘ
POD BUDYNEK
MISJI ONZ
W BAGDADZIE

Wtorkowy wybuch samochodu pułapki zniszczył część bagdadzkiego hotelu Canal, w którym mieściło się przedstawicielstwo Organizacji Narodów Zjednoczonych w Iraku. Wyładowany materiałami wybuchowymi samochód eksplodował tuż pod oknem gabinetu specjalnego wysłannika ONZ do Iraku Sergia Vieiry de Mello, który został ciężko ranny. Eksplozja była tak silna, że w promieniu kilometra z okien budynków powypadały szyby. Słup czarnego dymu z płonącego budynku wznosił się na wysokość kilkuset metrów. W chwili zamykania tego numeru „P” nie była znana liczba wszystkich ofiar zamachu. Naoczni świad-

kowie twierdzili, że eksplozja była znacznie silniejsza niż ta, która 7 sierpnia wstrząsnęła ambasadą Jordani, zabijając 11 osób i raniąc około 50.

W bagdadzkiej siedzibie ONZ pracowało i mieszkało co najmniej 150 osób. W momencie zamachu w budynku i jego okolicy było szczególnie tłoczno – w hotelu Canal miała się odbyć konferencja prasowa. Atak na misję ONZ nastąpił tuż po tym, jak amerykański administrator Iraku Paul Bremer ostrzegał przed falą terrorystów napływających do Iraku z sąsiednich krajów. Z obawy przed spodziewanymi od dłuższego czasu atakami na tak zwane miękkie cele, czyli słabiej strzeżone budynki cywilne w Bagdadzie, wódt siedziby ONZ zaostrzono ostatnio kontrole. (AP, Q&A)

CYFRO-
MAT

- 100 tysięcy Litwinów popełnia co roku samobójstwo. To najwyższy wskaźnik samobójstw na świecie
- 68 dni przeżył bez jedzenia owczarek, który w Danii wpadł do wyschniętej studni
- 56 tysięcy dolarów zapłaciła w USA kobieta za wystawiony na aukcję pocałunek z Sharon Stone. Aktorka zbierała pieniądze na cele charytatywne
- 1,5 miliarda dolarów traci rocznie policja w USA na fałszywych alarmach o włamaniu
- 50 procent Polaków uważa się za atrakcyjnych. Sześć lat temu uważało tak 42,7 procent Polaków

© Harpers Magazine – Tribune Media Services International 2003

MORDERCA SCHWYTANY PRZEZ INTERNET

22-LATKA WYSZŁA
Z TATRZAŃSKIEGO
SCHRONISKA
Z PRZYGODNIE
POZNANYM
MĘŻCZYZNĄ,
KTÓRY PODAWAŁ SIĘ
ZA PRZEWODNIKA.
ZGINĘŁA

Policja zatrzymała mężczyznę podejrzanego o zamordowanie 22-letniej turystki z Lubuskiego. Paweł H. przyznał się w sobotę do popełnienia zbrodni i wskazał miejsce ukrycia zwłok.

Ciało Katarzyny P. znajdowało się w rejonie Doliny Chocholowskiej, 300 metrów od głównego szlaku turystycznego. Do czasu schwytania Pawła H. policja bezskutecznie przeszukiwała okolice tego miejsca. Rzeczy turystki odnaleziono już 4 sierpnia. W foliowym worku znajdował się plecak, paszport, pamiętnik i zaświadcze-

nie o przyjęciu na studia. Początkowo policja łączyła zaginięcie dziewczyny z mężczyzną, o którym napisała w pamiętniku „dobry duch”. Kilka miesięcy wcześniej poznała go na jednym z internetowych czatów. Trop okazał się fałszywy. Później ustalono, że Katarzyna 31 lipca opuściła schronisko w Dolinie Chocholowskiej w towarzystwie Pawła H. Następnego nocy parę widział baka w jednym z pasterskich szałasów. Od tego czasu słuch o Karolinie zaginął.

Paweł H. został ujęty dzięki mieszkańcowi Konina, który rozpoznał

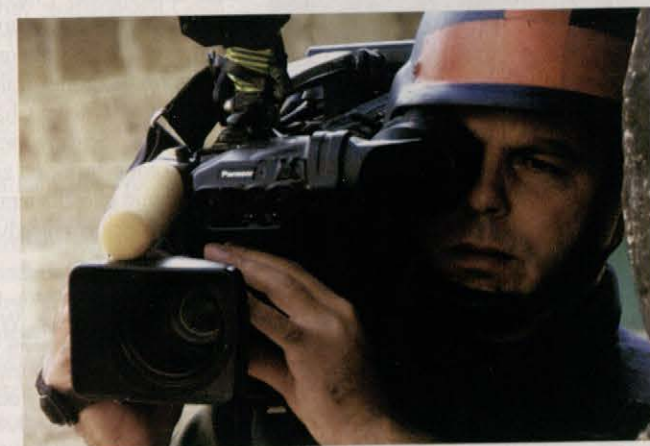
poszukiwanego na zdjęciu w Internecie. Mężczyzna widywał go na swoim osiedlu. Poszukiwanego zatrzymano, gdy robił zakupy w sklepie. Paweł H. dwa lata temu wyszedł z więzienia po sześciolietniej odsiadce za gwałt. Odpowiadał również za rozboje i kradzieże. Białostocka policja poszukiwała go od kilku miesięcy jako podejrzanego o gwałt. Prawdopodobnie popełnił też kilka innych przestępstw. W sobotę zakopiańska prokuratura przedstawiła Pawłowi H. zarzuty zabójstwa i gwałtu. (AK)

CZOŁG KONTRA KAMERA

ZALOŻA AMERYKAŃSKIEGO CZOŁGU ZASTRZELIŁA POD BAGDADEM KAMERZYSTĘ AGENCJI REUTERS, SĄDZĄC, ŻE JEGO KAMERA TO GRANATNIK PRZECIWPANCERNY

43-letni Mazen Dana, z pochodzenia Palestyńczyk, pojechał sfilmować zaatakowane dzień wcześniej przez Irakijczyków więzienie pod Bagdadem. Na kilka chwil przed tragedią zapytany przez kolegę, czy nie boi się pracować tak blisko obiektu wojskowego, odpowiedział: – Dopóki do mnie nie strzelają, to nie ma sprawy. Gdy parę minut potem skierował kamerę zbliżając się amerykański czołg, z niego padło z niego sześć strzałów. Już po pierwszym Dana upadł na ziemię. Inni dziennikarze rzucili się na pomoc, ale kamerzysta zmarł na miejscu. Liczba dziennikarzy, którzy zginęli w Iraku od początku wojny, czyli od 20 marca, wzrosła do 17. Dana miał żonę i czworo dzieci.

Byliśmy tam już od pół godziny. Oni wiedzieli, że jesteśmy dziennikarzami – powiedział agencji AP świadek zdarzenia Stephan Breitner z kanału telewizyjnego France 2. – Kiedy zastrzelili Mazena, w las też wycelowali lufy. Nie sądzę, żeby to był wypadek. Oni są nienormalni. To młodzi żołnierze, nie rozumieją, co się wokół nich dzieje.



Mazen Dana z agencji Reuters to 17. zabity w Iraku dziennikarz

krótko

KONTRWYWIAD W STUDZIENCE

Agenci rosyjskiego kontrwywiadu FSB rozpoczęli śledztwo w sprawie zatopienia Moskwy. W ubiegłym tygodniu ulewne deszcze, jakie przeszły nad rosyjską stolicą, doprowadziły do podtopienia większości głównych ulic miasta, wstrzymano też całą komunikację tramwajową i zamknięto jedną linię metra. Woda zalała piwnice domów, a w centrum deszcze wymyły ogromną dziurę, w której zniknęło żeliwne ogrodzenie jednego z zabytkowych pałaców. Szczegóły podtopienia nie są do końca znane, bo FSB utajniło listę najbardziej zalanych miejsc. Agenci kontrwywiadu rozpoczęli ich kontrolę. – Problem w tym, że nikt nie czyści naszego systemu kanalizacji. Wręcz przeciwnie, wszyscy go zaśmiecają – wyjaśnił (nie czekając na wyniki prowadzonego przez wywiad śledztwa) Wadim Michajłow, jeden z szefów miejskiej kanalizacji.

ZOBACZ, CZEGO PRAGNIESZ

CODZIENNE
PREMIERA



Chcesz mieć stały dostęp do świata dobrego filmu i pasjonującego sportu?
Włącz CANAL+! W sierpniu **NOC EROTYCZNA**,
a w niej m.in. film „Grzeszna miłość” z Angeliną Jolie i Antonio Banderasem.
Ponadto wiele innych doskonałych premier filmowych!

CANAL+

CANAL+
NIEBIESKI

CANAL+
ZŁOTY

W CYFROWEJ JAKOŚCI TYLKO NA PLATFORMIE **CYFRA+**

CANAL+

Włącz się

Sprawdź, co jeszcze możesz zobaczyć: (22) 541 88 22 www.canalplus.pl



FAMILY MAN

WIELKI PODRYW

LIGA ROLSKA

GRAND PRIX NA ZUZLU



Rebeliant bije kablem kobietę, która kradła zboże w Monrowii

RABOWANIE POKOJU

AMERYKANIE WKROCZYLI DO LIBERII. CHOĆ WALKI W MONROWII USTAJĄ, TO SYTUACJA HUMANITARNA STAŁE SIĘ POGARSZA

Na wieść o przybyciu 200 amerykańskich marines tysiące Liberijczyków wiwatowało na ulicach Monrowii. – Jestem taki szczęśliwy. Tyle lat modliliśmy się o przyjazd Amerykanów – cieszył się 51-letni pracownik lotniska. Po tym jak rebelianci wycofali się ze stolicy kraju, dziesiątki tysięcy Liberijczyków rozpoczęło wędrówkę do portu w Monrowii w poszukiwaniu jedzenia. Zanim teren opanowali żołnierze amerykańscy i nigeryjscy, port został doszczętnie obrabowany. Ekspertki szacują, że w samej stolicy co najmniej 300 tysięcy osób żyje w dramatycznych warunkach.

Stany Zjednoczone uzależniały interwencję pokojową od wyjazdu z Liberii jej prezydenta Charlesa Taylora, który ustąpił pod presją międzynarodową. Ścigany przez Trybunał ONZ za zbrodnie wojenne w Sierra Leone Taylor na zaproszenie nigeryjskiego prezydenta Olusegun Obasanjo mieszka teraz na wzgórzu historycznego miasta Calabar, w pałacu należącym niegdyś do brytyjskiego gubernatora. (NAT)

POŻÓŁKLE PYTANIE

Szwajcarski turysta znalazł na szwedzkim brzegu Bałtyku butelkę, w której tkwiła kartka z 1943 roku. Wiadomość z butelki podpisała Estonka Maja Westerman. „Drogi przyjacielu. Mieszkamy na wyspie. Przybyliśmy tu rok temu. (...) Czy wojna już się skończyła? Czekamy na pokój i przyjaźń” – napisała.

Dodała, że mieszka z siostrą w latarni morskiej na wyspie Gotska Sandön. Wyspa leży 150 kilometrów od miejsca, w którym Thorsten Schwarz znalazł butelkę. W czasie wojny znalazło tam schronienie około dwóch tysięcy uchodźców z krajów bałtyckich. Schwarz zapowiada, że będzie szukał przez Internet autorki listu.



Fot. RAY HANCOCK/SHUTTERSTOCK

BOHATER PODWÓJNEGO ŻYCIA

Careu Kent – tak Lindbergh przedstawiał się swoim nieślubnym dzieciom, gdy odwiedzał je w Monachium. Nie mówił do niego „tato”. Zresztą bohater Ameryki, który w 1927 roku samotnie przeleciał Atlantyk, i tak nie znał niemieckiego. Bajki opowiadał po angielsku. Teraz rodzeństwo zdradziło swoją historię dziennikowi „Süddeutsche Zeitung”. Na potwierdzenie opowieści niemieckie dzieci Lindbergha mają 120 listów od „C” do ich matki – Brigitte Heshaimer. Grafologzy potwierdzili, że pisał je Lindbergh. Rodzeństwo gotowe jest poddać się testom DNA.

Oficjalnie Lindbergh miał w USA żonę i sześcioro dzieci. W 1932 roku jego pierwszodrodny syn został zamordowany przez porwaczy. Polowanie na morderców i ich osądzenie było jednym z najbardziej spektakularnych wydarzeń przedwojennej Ameryki.

W 1957 roku 55-letni pilot odwiedził w Monachium tłumaczkę swojej książki. Spotkał u niej 32-letnią Brigitte Heshaimer, ubogą niemiecką repatriantkę z Rumunii, która utrzymywała się, produkując kapelusze. Owocem ich sekretnych spotkań był pierwszy syn, Dyrk. Potem była córka Astrid, a w 1967 roku kolejny syn – David. Careu (dzieci nie znały prawdziwego nazwiska) starał się odwiedzać Brigitte za każdym

razem, kiedy był w Europie. Oplacił córce i synom naukę w prywatnych szkołach, a nieopodal miasta kupił Heshaimerom dom. Smażył w nim dzieciom ich ulubione omelety, zabierał je na wycieczki, pokazywał magiczne sztuczki. Tajemnicą był dla dzieci zawód pana Careu. Unikał rozmów, które mogłyby podpowiedzieć, kim jest naprawdę. Dzieci miały świadomość, że jest kimś ważnym, ale gdy w 1974 roku, rok po ostatnich odwiedzinach, rodzeństwo dowiedziało się, że Careu zmarł na raka, szukało w mediach raczej informacji o śmierci ame-

rykańskiego pisarza, a nie sławnego pilota. Dopiero później Astrid znalazła w domu czarny woreczek zawierający listy od „C”. A także nagatywy. Po zrobieniu odbitek rozpoznała na nich Lindbergha. Wtedy matka nakazała dzieciom milczenie aż do swojej śmierci. Umarła w 2001 roku.

– Nie chodzi nam o spadek – zapewniła Astrid. – Chcemy tylko, aby uznano nas za jego dzieci – przekonuje. Na razie – podobnie jak bracia – kobieta w akcie urodzenia wciąż ma wpisane: „ojciec nieznan”. (WIEC)



Powyżej: Charles Lindbergh

Obok: Niemieckie dzieci pilota. Dyrk (z lewej), Astrid i David



Fot. ALEXANDER WINKLER/REUTERS/CONTRA



krótko

GŁOZYNA ZA POTRZEBĘ

Włocławek i Florencja ścigają miliony złe zachowań turystów, którzy zostawiają w obu miastach mnóstwo papieru, butelek i nie zachowują się właściwie. Dlatego wprowadzono ostry zakaz wyrzucania śmieci do morza i kanałów, a także zaspokajania potrzeb fizjologicznych w pobliżu zabytków. Wysokie grzywny czekają też turystów siedzących na ławach, jedzących na historycznych placach oraz chodzących w zbyt słabym odzieniu.

Fot. FRANCESCO BELLIN/AP

ZABAWA CIAŁEM

AŻ W 57 KOPIACH WCHODZI DO KIN „CIAŁO” – NAJBARDZIEJ OCZEKIWANY POLSKI FILM WAKACJI

Pewien mieszkaniec Krakowa umiera, wypisany – zamiast alkoholu – płyn do balsamowania zwłok. Wskutek splotu wypadków jego dobrze zakonserwowane ciało rusza samopas w podróż po kraju. Oto początek historii, w której biorą udział jeszcze między innymi: drobny złodziejasek Goldi, jego szefowie (dwóch braci syjamskich zrosniętych biodrami: jeden to uczciwy rzemieślnik, a drugi – przestępca), emerytka, która dorabia sobie, mordując na żądanie, i kilka sióstr zakonnych. To nie wymysł prasy bulwarowej zmęczonej letnią kanikulą, tylko scenariusz „Ciała”, sprawnej warsztatowo komedii, która... śmieszy. Choć to humor absurdalny i raczej czarny. W dodatku roi się w niej od tekstów – jak choćby: „Polska nam się skończyła!” – które najpewniej pozostaną w polszczyźnie na dłużej, niczym zwroty komediowe z lat 80. Film wyreżyserowali Tomasz Konecki i Andrzej Saramonowicz, twórcy nagrodzonego na festiwalu w Gdyni „Pół serio”. „Ciało” można oglądać od 22 sierpnia. (AR)

Monolog autobiograficzny Andrzeja Saramonowicza na stronie 48.



Rafał Królikowski, Edyta Olszówka i Bronisław Wrocławski w scenie z filmu „Ciało”

FUZJA PRZYKLEPANA

Rosyjskie ministerstwo do spraw polityki antymonopolowej zgodziło się na fuzję firm naftowych Jukos i Sibneft. Po ich połączeniu powstanie czwarte na świecie, a największe w Rosji, przedsiębiorstwo naftowe. Jukos i Sibneft wydobywają razem 29 procent rosyjskiej ropy. Przy spodziewanym dziennym wydobyciu około 2,3 miliona baryłek nowy koncern będzie ustępował jedynie firmom BP, ExxonMobile i Royal Dutch Shell. Na czele koncernu, którego wartość analitycy oceniają na 36 miliardów dolarów, stanie obecny szef Jukosu Michail Chodorkowski.

krótko

TROJE NIEMCÓW UJAWNIŁO, ŻE ICH OJCEM BYŁ SŁAWNY AMERYKAŃSKI PILOT CHARLES LINDBERGH

1 000 000 SŁÓW W KIESZENI

ECTACO



I CZUJESZ SIĘ BEZPIECZNIE ZA GRANICĄ



- zna ponad 1 000 000 słów i idiomów
- tłumaczy tekst mówiony
- łatwo i błyskawicznie tłumaczy zdania i słowa
- posiada rozbudowany organizator
- koryguje Twoją wymowę (funkcja nauczyciela)

Znajdziesz w:

MediaMarkt

ZUSI

APOLLO

VOBIS

Wszelkie informacje dotyczące urządzeń, nauki języków obcych oraz tłumaczeń dostępne na www.ectaco.pl i pod numerem infolinii

(22) 844 16 64

PACHNĄCA PROMOCJA NA

PARTNERA

X5



ZAKUP PARTNERA X5

WYBIERZ SWÓJ MARKOWY ZAPACH

POŻAR NA ZAMÓWIENIE

POŻARY
LASÓW
WE WŁOSZACH
MOGĄ BYĆ
WYWOŁYWANE
PRZEZ
LICZĄCYCH
NA PRZYSZŁE
ZYSKI
MAFIOSÓW



Pożar pod miastem Piano di Sorrento w południowych Włoszech

We Włoszech spłonęło tego lata aż 50 tysięcy hektarów lasów. – Nikt nie wierzy już w bajeczki o rzuconym niedopałku papierosa jako przyczynie zaprószenia ognia. Co najmniej 90 procent pożarów to wynik podpażeń – uważa Grazia Francescato, była sekretarz włoskich Włochów. – Jeśli gdzieś można zarobić brudne pieniądze, tam zawsze pierwsza pojawia się mafia – mówi Giancarlo Caselli, prokurator z Turynu. Także zdaniem Fausto Martinello, dyrektora Państwowego Korpusu Leśnego, pożary wywołują osoby działające na zlecenie powiązanych z przestępcami firm. Mafiosi-przedsiębiorcy mogą potem zarobić, podpisując z rządem kontrakty na zalesienie zniszczonych ogniem obszarów. Na ten cel – wkałali całych Włoch – wydaje się rocznie siedem milionów euro. Mafijnym podpalaczom może też chodzić o pozyskanie terenów pod inwestycje budowlane.

W Neapolu władze powołały specjalny zespół prokuratorski do zbadania tych podejrzeń.

Związki mafii z legalnymi firmami nie są dla Włochów nowością. Dlatego ogłoszona właśnie decyzja o budowie mostu łączącego kontynent z Sycylią także wywołała obawy o udział mafii w jego budowie. Ten najdłuższy na świecie most wiszący (3,6 kilometra) może dać mafijnym firmom dużo większe zyski niż podpalanie lasów – budowa, która zacznie się w roku 2005, ma pochłonąć 4,6 miliarda euro. (P)

NAIWNOŚĆ HANDLARZA

FBI ARESZTOWAŁO BRYTYJCZYKA, KTÓRY CHCIAŁ DOSTARCZAĆ RAKIETY TERRORYSTOM

Hemant Lakhani, 68-letni Brytyjczyk hinduskiego pochodzenia, nawiązał w grudniu 2001 roku znajomość z przedstawicielem somalijskich terrorystów, który planował zamachy na terenie USA. Somalijski potrzebował rakiety przeciwlotniczej, więc handlarz Lakhani – z ciepłymi słowami pod adresem Osamy ben Ladena na ustach – zaproponował terroryście swoje pośrednictwo. Nawiązał kontakty z rosyjskimi dostawcami przenośnych rakiet ziemia-

na „rakietę” – zaledwie niesprawną repliką. Na współpracę wywiadu Rosji z USA zgodę nadał wydać sam prezydent Władimir Putin. W sprawie zabrał też głos konstruktor rakiet, który twierdzi, że Igła nie jest w stanie zniszczyć samolotu pasażerskiego.

Hemant Lakhani stanął przed sądem w Newark oskarżony o próbę dostarczenia broni terrorystom i handel bronią bez licencji. (RAB)



Rysunek z procesu w Newark. Pierwszy z prawej Hemant Lakhani



Demonstranci domagający się przyjęcia programu walki z AIDS w RPA

LUDOBÓJSTWO CZOSNKIEM

Podczas konferencji zwołanej na początku sierpnia w RPA w sali słychać było gwizdy, a przed budynkiem chórálne protesty. Adresatem jednych i drugich była minister zdrowia Manto Tshabalala-Msimang, która przekonywała zebranych, że AIDS należy leczyć czosnkiem, cebulą, patatami i oliwą. Światowa Organizacja Zdrowia od wielu miesięcy domagała się, by rząd RPA uchwalił program, który umożliwiłby dostarczenie chorym lekarstw powstrzymujących działanie wirusa HIV, którego nosicielem jest co 10. mieszkaniec kraju. Po protestach rząd wycofał się z leczenia chorych naturalnymi metodami i przyjął program akceptowany przez lekarzy. Ale na jego realizację trzeba wyłożyć równowartość dwóch miliardów euro. Skarb państwa stać na jedną piątą tej sumy. Jeszcze kilka lat temu prezydent RPA Thabo Mbeki głosił, że AIDS to wynik braku higieny. Dziś już przyznaje, że się mylił. Opozycja domaga się teraz, by dymisjonować panią minister i oskarżyć ją o ludobójstwo.

krótko

MISKRY MOCNY DOWÓD

Oskarżeni przez pasażerów konduktorzy w Wielkiej Brytanii otrzymują sprzęt do zbierania próbek śliny. Wysłana na policję próbka ma służyć do zbadania DNA pasażera. Wynik badania może być wykorzystany jako dowód w śledztwie przeciw opłuwającemu. Zestawy do zbierania próbek dostali właśnie konduktorzy firmy Central Trains z Birmingham. Lata ich już szkocka firma Scotrail, która na podstawie testów DNA oskarżyła dwóch pasażerów o oplucie obsługi pociągu. – Każdy powinien być świadom, że plując na konduktora, przekazujemy nam swoje DNA. To może być potem wykorzystany – ostrzega Mike Knight, wicedyrektor Central Trains. Pasażerowie korzystający z pociągów CT napadali w zeszłym roku 38 razy na jej pracowników. W tym pluli i rzyli. – Jest nieprawdopodobne, aby w dzisiejszych czasach obawiać się oplucia w pracy – dziwi się wicedyrektor.

WALECZNY OTZI

CZŁOWIEK Z EPOKI LODOWCOWEJ ZNALEZIONY 12 LAT TEMU W ALPACH NIE ZOSTAŁ ZAMORDOWANY, LECZ ZGINĄŁ W WALCE MIĘDZYPLEMIENNEJ

Otzi – jak naukowcy ochrzcili człowieka sprzed pięciu tysięcy lat – został znaleziony przez austriackich alpinistów. Przez lata uważano, że mężczyzna został zamordowany. Miały o tym świadczyć ślady krwi na płaszczu i zakrwawiony nóż. Otzi, myśliwy w wieku około 45 lat, ubrany był ponadto w skórzany płaszcz, w niedźwiedzią czapkę, miał ze sobą miedzianą siekierę i kołczan ze strzałami. Na obu jego dłoniach widniały głębokie nacięcia. Dopiero w 2001 roku znaleziono tkwiącą w jego ramieniu strzałę. Po dalszych badaniach okazuje się, że krew na płaszczu, podobnie jak ta na nożu, to nie krew Otziego. – Przypuszczalnie na 24 do 48 godzin przed swoją śmiercią stoczył walkę – uważa Tom Loy, specjalista od archeologii molekularnej. Według niego Otzi i jego kompani wygrali bój,

lecz odnieśli liczne rany. Badania krwi ze strzał i noża wykazały, że napastników było kilku, zaś krew znaleziona na płaszczu wojownika należała do jego rannych kolegów, których Otzi niósł na plecach.

Dlatego ekipa telewizyjna Discovery Channel zamierza przesukać alpejskie śniegi, w których spodziewa się znaleźć ciała pozostałych wojowników. (A)



Zmumifikowane ciało Otziego i część znalezionych przy nim przedmiotów

Zapraszamy na naszą stronę internetową
www.wsh.edu.pl

WYŻSZA SZKOŁA HUMANISTYCZNA imienia Aleksandra Gieysztora w Puławach

„Najlepsza niepaństwowa uczelnia uniwersytecka”
w rankingach „Perspektyw” i „Rzeczpospolitej” w latach 2000, 2001, 2002 i 2003

Od pięciu lat w rankingach Tygodnika „Wprost” WSH
zajmuje pierwsze miejsca jako
„najlepsza niepaństwowa szkoła wyższa w kategorii
szkół niebiznesowych” oraz „uczelnia klasy międzynarodowej”

Kierunki Studiów
Administracja ■ Filologia Polska
Historia

Pedagogika ■ Politologia

uprawnienia do nadawania stopnia naukowego
doktora nauk humanistycznych

studia licencjackie, magisterskie, dwuletnie magisterskie
uzupełniające i podyplomowe

Informacje i zapisy:

Biurowisko Rektora, ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Puławy
tel./fax (023) 692 50 82, 692 16 87, 692 53 98
e-mail: rektorat@wsh.edu.pl www.wsh.edu.pl





Strajkujący pracownicy Wagonu chcą ratować fabrykę, a nie obalać system

FOT. PIOTR BERNAS/AGENCJA GAZETA

POLITYCY NAM NIE POMOGĄ

OD KILKUNASTU
DNI TRWA STRAJK
W PRYWATNEJ
FABRYCE WAGON
W OSTROWIE
WIELKOPOLSKIM.
ZAŁOGA DOMAGA
SIĘ ZMIAN
W ZARZĄDZIE
FIRMY I WYPŁATY
ZALEGŁYCH PENSJI

MICHAŁ WÓJCİK: Strajkował pan w sierpniu 1980, strajkuje pan teraz. Czym się różnią te dwa strajki? ZBIGNIEW KOWALSKI: Paradoksalnie, walczyliśmy o to samo. Też o godność, chleb i o pracę. Wtedy wrogiem była komuna, teraz są nim pazerni kapitaliści, jeżeli można ich tak określić. Wtedy walczyliśmy, żeby przewrócić cały ten zakłamany system, teraz chcemy ratować fabrykę, aby tego „wrednego kapitalistę” odsunąć od naszej firmy. Główna różnica jest taka, że polityka nie gra już takiej roli jak kiedyś.

Jak się pan czuje, strajkując przeciwko kapitalizmowi, który przecież w ramach demokratycznego państwa wywalczyła Solidarność?

– Jestem człowiekiem Solidarności, a więc też ponoszę odpowiedzialność za to, co się teraz w Polsce dzieje. Również za to, że wszedł tu kapitał niewiadomego pochodzenia. Ale przecież nie wszystko, o co walczyliśmy, okazało się złe. Wręcz przeciwnie, złe są tylko skutki niewłaściwego korzystania z kapitalizmu. Są prywatne firmy, gdzie ludzie

bardzo dobrze zarabiają. Inna sprawa, że jest ich coraz mniej. Mimo to nie wolno zapominać o tym, że w kapitalizmie są „dobrzy” kapitaliści. A u nas nadal jest takie myślenie jak za komuny: my i oni. W efekcie niesprawiedliwie osądza się uczciwych ludzi. Teraz ci „oni” to nieuczciwi kapitaliści. Niestety, również politycy. Bo związek biznesu z polityką jest widoczny.

W każdym razie dobrych efektów zrywu sierpniowego jest więcej aniżeli tych złych. Przecież jest wolna prasa. Dzięki niej wiemy coraz więcej o powiązaniach polityki i biznesu właśnie. Po powołaniu polityki i pieniędzy niewiadomego pochodzenia. A także o tych fałszywych ludziach z tamtego sierpnia, którzy przysłowiowe białe-czerwone opaski zamienili na gamitury.

Jaki powinien być przywódca nowoczesnego strajku?

– Już nie wystarczy tak jak kiedyś wrzasnąć coś o wrogu, że „trzeba go zniszczyć” i „komuna musi odejść”. Teraz przywódca musi być wszechwiedzący. A przecież nie ma takich ludzi. Szef musi się doskonale orientować

w sytuacji rynkowej, prawie, ekonomii, znać szczegóły biznesowe firmy, musi się znać na psychice ludzkiej. Musi sobie radzić w sytuacji konfliktowej. I tak podjęliśmy decyzję, że szefem strajku, takim przywódcą jak kiedyś Lech Wałęsa, nie będzie jedna osoba. Strajkiem kierują kolegiąlnie szefowie czterech związków zawodowych. Przewodniczący uzupełniają się. Każdy jest dobry w jakiejś dziedzinie i działa na swoim polu. Mamy taką solidarność ponad podziałami. I to się sprawdza. Jakiś udaje się strajk trzymać w ryzach.

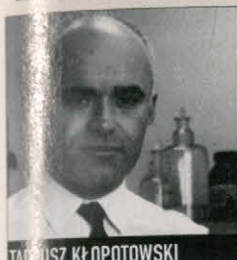
Pamiętajmy, że strajk dwutysięcnej załogi trwa już kilkanaście dni, rodzący kontaktują się z nami, tak samo jak kiedyś, przez płoty czy przez kraty w bramie zakładowej i tak jak kiedyś jest strach o przyszłość. Zapanować nad tym wszystkim i cały czas podtrzymywać załogę na duchu, że mamy szansę wygrać, jest niezwykle ciężko. Bo rozmowy z zarządem nie są tak stresujące i trudne jak przekonywanie ludzi, że walczą w słusznej sprawie. Tu jedno złe słowo może ten strajk zniszczyć. Konflikty w załodze pojawiają się na przykład w wyniku różnicy wieku strajkujących.

Kto jest bardziej zdeterminowany – młodsi czy starsi, którzy pamiętają atmosferę strajków sprzed 23 lat?

– Różnice w zachowaniu ludzi są kolosalne, to wynika z mentalności. Młodszy w porównaniu z tymi, którzy pamiętają czasy komuny, nie są aż tak zdeterminowani. Widzą wszystko w szerszym horyzoncie. Myślą sobie: „No dobra, tu, w Ostrowie, się nie udało, ale może uda się gdzie indziej”. To może wyjadę tam, gdzie są pieniądze. Czterdziestoparolatkiwie sprawę widzą już inaczej. Klęska strajku będzie osobistą tragedią. Jeśli się nie uda, to może być dla tych starszych ostatni strajk. Ale ja wierzę, że będzie dobrze. A kto ciągnie strajk? Wszystkie pokolenia, z przewagą trzydziestoparolatków. Czyli nie nasze, starsze, pokolenie ani nie pokolenie pełnej młodzieży.

W tym wypadku prywatne sympatie polityczne nie grają już żadnej roli. Bo z mojej strony zakładowego muru Polskę widać w jednym kolorze. Szarym. Jest coraz gorzej. Afera goni aferę. I ludzie wiedzą, że sami musimy sobie swoje wywalczyć. Politycy nam nie pomogą. To jest prywatny zakład. ■

ZMARLI



JANUSZ KŁOPOŃSKI

Janusz Kłopotowski, 75, profesor, biochemik i genetyk, jeden z najmniej znanych i najbardziej ofiarnych działaczy Regionu Mazowsze pierwszej Solidarności (legalnej i podziemnej). W 1944 roku wstąpił do oddziałów AK maszerujących na pomoc Powstaniu Warszawskiemu. Rozbrojony i aresztowany przez NKWD uciekł z obozu na Majdanku. W PRL poświęcił się pracy naukowej, do polityki wrócił we wrześniu 1980 roku, po powstaniu Solidarności. Niezmordowanie wozził prywatnym samochodem sprzęt i ludzi, tłumaczył, bronił, pomagał. Dzięki niemu istniała w stanie wojennym podziemna „Gazeta Polska”. Senator pierwszego Sejmu, „kontraktowiec” – znów pomagał, tym razem Polakom na Białorusi i Litwie. „Szkoła, że tak wzniesiały i prawych ludzi w Polsce już mało kto pamięta” – napisał po jego śmierci Janusz z kolegów.



EWA KRZYŻEWSKA

Ewa Krzyżewska, 64, aktorka. Kolejna, po Bogumile Kobiele, Zbigniewie Cybulskim i Adamie Pawlikowskim, osoba z obsady „Popiołu i diamentu” (1958), która odeszła w tragicznych okolicznościach. Za rolę Krystyny, barmanki w hotelu Monopol, debiutantka, studentka krakowskiej PWST, otrzymała Kryształową Gwiazdę, nagrodę Francuskiej Akademii Filmowej. Potem Krzyżewska pojawiała się regularnie w filmach (m.in. „Zaduszy” i „Jak daleko stąd, jak blisko” Tadeusza Konwickiego), by po 15 latach zakończyć karierę rolą

Rebeki w „Zazdrości i medycynie” Janusza Majewskiego. Wyjechała za granicę, przez jakiś czas pracowała w bibliotece ONZ w Nowym Jorku. Ostatnio mieszkała w Hiszpanii, gdzie pod koniec lipca zginęła wraz z mężem w wypadku samochodowym.



IDI AMIN DADA OUMEE

Idi Amin Dada Oumee, 78 lub 79, były dyktator Ugandy. Już jako szeregowiec w brytyjskich wojskach kolonialnych wykazywał się okrucieństwem. Po uzyskaniu niepodległości przez Ugandę (1962) wspólnie z premierem Miltonem Obotem przemycił z Konga złoto i kość słoniową. Stopniowo zwiększał wpływ w armii, wreszcie w 1971 roku dokonał zamachu stanu przy dyskretnym poparciu ZSRR, dokonując czystek etnicznych i stosując tortury. Jego reżim wymordował około 300 tysięcy osób. Obalony w 1979 roku. Zmarł w świętym mieście Dzidda w Arabii Saudyjskiej, do końca wspomagany przez saudyjski rząd.



GREGORY HINES

Gregory Hines, 57, aktor filmowy i telewizyjny, tancerz. Od trzeciego roku życia uczył się stepowania. W roku 1954 zaangażowany na Broadwayu do musicalu „The Girl in Pink Tights” („Dziewczyna w różowych rajstopach”). Od tej chwili jego kariera potoczyła się błyskawicznie; zagrał w kilkunastu filmach, z których światową sławę przyniósł mu „Cotton Club” Francis Forda Coppoli. W roku 1992 zdobył Tony Award dla najlepszego aktora za rolę w „Jelly’s Last Jam”; w 1999 roku zdobył Daytime

Emmy. – Był ostatnim z prawdziwych performerów: śpiewakiem, tancerzem, aktorem i wielką osobowością – wspomina George C. Wolfe, dyrektor Nowojorskiego Teatru Publicznego.



LADY DIANA MOSLEY

Lady Diana Mosley, 93, brytyjska arystokratka, jedna ze słynnych w latach 30. z urody i inteligencji sześciu sióstr Mitford, sympatyczka faszyzmu. Wywołując skandal, opuściła pierwszego męża Bryana Guinnessa i poślubiła sir Oswalda Mosleya, przywódcę Brytyjskiego Związku Faszystów. Na ich ślubie w 1936 roku pojawili się Hitler i Goebbels. Oskarżona o wrogość wobec kraju podczas II wojny światowej spędziła dwa i pół roku w więzieniu Holloway w Londynie. Po wojnie wraz z mężem przeniosła się do Francji. Była jedną z niewielu osób, które w tym samym czasie przyjaźniły się z Hitlerem i Churchilllem.



JACQUES DERAY

Jacques Deray, 74, francuski reżyser filmowy. Studiował sztukę dramatyczną u René Simona, lecz krótko pracował jako aktor. W roku 1952 został asystentem reżysera; współpracował między innymi z Luisem Buñuelem. Debiutował w okresie Nowej Fali – od 1960 roku kręcił z pasją filmy kryminalne. Wśród jego współpracowników znaleźli się wielcy francuscy aktorzy – producenci lat 60.: Alain Delon i Jean-Paul Belmondo. Do najsłynniejszych obrazów Deraya należą: „Basen” (1968), „Niekonwencjonalny” (1968) i „Un crime” (1993). Deray zachwycał subtelnością i umiejętnością ukazowania w filmach trwogi i lęku.



Zaprasza

W

Charles
Schillings

Klub Jexioro Łabędzie
30 sierpnia godz. 22.00

Na kolejnej lounge'owej sesji spodziewajcie się występu pełnego muzyki funk, soul, jazz i house. Charles Schillings, czesły gość kompilacji S. Pompuagnaca, przyjedzie do Warszawy promować swój najnowszy album, pt. „Overground House 5”. Bilety na występ, do nabycia poprzez witrynę: www.newmusicart.pl, w klubie oraz w Biletowniach Empik w Warszawie. Słowo ograniczona! Więcej informacji znajduje się na **WEDNEPL**

Rezerwacja biletów oraz informacja:
22/646 34 80 / New Music Art!



Już 27 września
zapraszamy na koncert
tworcy superprzeboju
„L'Amour, L'Amour”
Rouge Rouge

20 kin w całej Europie wyemituje 8 września koncert Davida Bowie transmitowany na żywo z Londynu.

To bezprecedensowe wydarzenie można będzie obejrzeć także w Polsce, w warszawskim Multikinie.

RENÉE ZELLWEGER dostanie 15 milionów dolarów za udział
w kontynuacji „Dziennika Bridget Jones”.

a właściwie
to...

PIOTR NAJSZTUB



Jasnogórski cud

Muszę się przyznać, że tego się po nim nie spodziewałem. Takiego wyczucia chwili, takiego w końcu, nie boję się tego słowa, miłosierdzia. Już sam ten gest powinien nam na nowo otworzyć oczy na prymasa Polski Józefa Glempa. I nie zapominajmy, że ten cud miał miejsce na Jasnej Górze, w miejscu znanym z ratunków „w ostatniej chwili”. Ale oddajmy głos Prymasowi i tej chwili. Przełożony polskiego Kościoła wobec stu pięćdziesięciu tysięcy pielgrzymów najpierw przeprosił Pana Boga za to, że Jurek Owsiak nie wpuścił Przystanku Jezus na Przystanek Woodstock, że „nie udało się Jurkowi Owsiakowi włączyć w nurt odrodzenia”, a potem – co za intuicja! – wyraził silną nadzieję, że „skupiona wokół Owsiaaka młodzież również może się nawrócić, wybierając opcję życia, a nie śmierci, i odnaleźć swoją drogę do Nieba”. Ten ratunek przyszedł chyba w ostatniej chwili, bo po ostatnim Przystanku Woodstock nad Jurkiem Owsiakiem zebrały się czarne chmury. Brakowało tylko lekkiego wahnienia ciśnienia

i ten idol młodych i starych straciłby uprzywilejowaną pozycję człowieka nie do ruszenia, byłby mokry od stóp do głów. Jego awantura z właścicielami straganów w Żarach, przewracanie stojaków z okularami słonecznymi i deptanie tych okularów, obcesowe traktowanie dziennikarzy, zmuszanie ich do oddawania swoich artykułów i zdjęć dla Fundacji i pojawiające się oznaki przemęczenia własnym gwiazdorstwem doprowadziły do tego, że po raz pierwszy media niezwiązane z Kościołem zaczęły go krytykować, porwały się na świętość. Wszyscy zaczęli czekać na kolejne potknięcie Jurka Owsiaaka.

I w takiej właśnie sytuacji z pomocą pośpieszył, wydawałoby się niechętny

mu, prymas Glemp. Atak Prymasa na Owsiaaka przywrócił „normalność”. Jurek znowu jest obrońcą wolności i swobody głoszenia poglądów (dla kręgów liberalnych) i człowiekiem zagubionym, sprowadzającym młodzież na manowce (dla kręgów mocno katolickich). Dziś musimy go bronić przed atakiem Prymasa, a nie atakować za agresywne wybryki. Musimy bronić naszego świata, „naszego” Owsiaaka. Jeszcze nigdy Jurek Owsiak nie zawdzięczał tyle polskiemu Kościołowi.

PS Wszyscy oglądaliśmy skutki wielkiej awarii elektrycznej w USA i Kanadzie. Politycy wyciągną z niej własne wnioski, naukowcy własne, a jeszcze inne inżynierowie od prądu. Swoje wspomnienia będą też mieli Amerykanie i Kanadyjczycy, którzy pozbawieni prądu nagle odkryli w sobie dreszcz towarzyszący poznawaniu najbliższych sąsiadów czy okazywaniu bezinteresownej pomocy nieznanym. A może to nowe doświadczenie rozciągnąć na cały świat? Może ogłosić jeden dzień na ziemi Dniem bez Prądu? Myślę, że gdyby choć jednego dnia przestały nas bawić maszyny na prąd, to przez resztę roku lepiej bawilibyśmy się z ludźmi. A w końcu na nich też jesteśmy skazani, podobnie jak na telewizor i czajnik. ■

WILHELM SASNAL



Artur Międzyrzeczki

(1922 – 1996)

Wyraźnie, niewyraźnie

Prawda jako wartość wyraźnie zwyżkuje
W ankietach (z 27 procent
Na 36)
Życie ludzkie niemniej wyraźnie
Spada (z 89
Na 75) rodzina wyraźnie
Awansuje (plus pięć) ojczyzna spada
Wyraźnie (z 84
Na 75) my krajowi
Autorzy też wyraźnie
Spadamy podczas gdy zyskują (widać to
Wyraźnie) zagraniczni koledzy
W oszałamiającym zapachu
Lotnisk świata (krajowcy niestety
Nawet wyraźna ekstrema
Śmierdzą Peerelem mniej albo więcej
Wyraźnie) krzywi się na to
Czytelnik tych lat ze swoją (wyraźną)
Skłonnością do tycia
I skłonnością do bycia
Podczas gdy niewyraźnie podnosi się poziom
Promieniotwórczych skażeń
Na lądzie morzu i w powietrzu
I godność zwyżkuje (z 49
Na 56)

raport mniejszości

Dla „Przekroju” ANDRZEJ DUDZIŃSKI



Nie da się zrozumieć sierpnia '80
bez zrozumienia Lecha Wałęsy.

A nawet LECH WAŁĘSA nie rozumie
samego siebie z tamtych dni.

Jak dziś mówi w rozmowie
z Piotrem Najszubem, był w amoku

Byłem wtedy w transie. Wielu rzeczy, które robiłem, sam nie rozumiałem. Wykonywałem, a potem, jak się zastanowiłem, to myślałem: „O mój Boże, to było idealne! To było nieprawdopodobne, najlepsze!”. A ja to mówiłem od razu, bez zastanowienia. Miałem wybitny refleks, wybitne szczęście, wybitne!

W 1980 roku miał pan 37 lat. Jakiego 37-letniego Wałęsę pan pamięta?

– Ja na coś podobnego czekałem 10 lat. Bo właściwie jako jedyny z dowodzących strajkiem w '70 roku przetrwałem. Wychodząc wtedy przegrany, powiedziałem sobie: „Boże, daj mi tu wrócić, jeszcze raz zatańczyć z komuną”. I przez 10 lat przerabiałem różne akcje, podziemie, Wolne Związki Zawodowe, więc byłem dość dobrze, jak na samouka, przygotowany do '80 roku.

Jak wyglądało wtedy pana życie poza działalnością podziemną?

– Choć byłem obciążony obowiązkami, żona, dzieci, to nieźle mi się wiodło, bo byłem taką „złotą rączką”. Wszyst-

ko, co brałem do ręki, to zamieniałem na interesy, nie uczciwe – nie kradłem. Musiałem dorabiać, jak chciałem mieć trochę więcej.

Co pan robił popołudniami, wieczorami?

– Dużo miałem nadgodzin. Jakies fuchy na stoczni i poza, znajomym naprawiałem samochody, instalacje, wszystko.

Czy pańskim zdaniem dzisiaj jakiś 37-latek mógłby powtórzyć pańską drogę?

– Miałby bardzo trudno, dlatego że jesteśmy bardzo mocno podzieleni. To jest kapitalizm, to jest demokracja i w związku z tym ktoś tam dobrze zarabia i nie ma ochoty na walkę, a ktoś gorzej zarabia i może miałby ochotę. Nie ma jedności. Rozbito te wielkie zakłady, więc nie ma silnej klasy robotniczej. Ci, którym się nie podoba, nie są w stanie się podnieść. Nie ma komu przewodzić.

A może raczej brakuje przywódców?

– Z moich doświadczeń wynika, że mniej więcej co 10 lat wyrastali nieformalni przywódcy grup. Przez swoje zachowanie, przez swoje słowa mieli posłuch. Oni przewodzili, ich głos

MATKA BOSKA

PRZESKOCZYŁA PRZEZ PŁOT

się liczył. Z nich wyrastali przywódcy. Dzisiaj prawdopodobnie też tak jest, tylko otoczenie się zmieniło. Dawniej przytłaczająca większość to byli niezadowoleni z systemu, dzisiaj przybywa ludzi zadowolonych. Dziś tak wyrosnąć na buncie jest znacznie trudniej, mimo że nie ma już policji politycznej.

Dla pana rocznica strajków z 1980 roku jest ważna? Wychodząc w tych dniach z domu, myśli pan: „Dzisiaj pada, a wtedy, w '80 roku, świeciło słońce...”? Myśli pan o tym?

– Nie, ja jestem do bólu praktykiem życiowym. Robię tylko to, co powinienem.

Głowa wolna od wspomnień?

– Od wspomnień tak. Moja główna myśl jest taka: życie mojego pokolenia spełniło się. Mamy wolny kraj. Mamy prawa, choć nie korzystamy z tego. Ta wolność jest niesprawiedliwa, ale to wolność, te szanse są nierówne, ale są. Dla mnie najważniejszą sprawą po uzyskaniu wolności była demokracja, pluralizm – ja do bólu w to uwierzyłem.

Nie żałuje pan tej wiary?

– Nie, choć dzisiaj mam rozterki... Moja filozofia była prosta: w pierwszym rozdziale zbudować monopol, który pokona monopol komunistyczny. I to było zadanie główne. A po przewrocie monopolu komunistycznego naprawdę wierzyłem, że moje drugie zadanie to pluralizm, demokracja. Stawiałem na to, że będzie 10, 15 lat wolności, która nas wyprowadzi na dobre partie, dobre związki. Ale też wierzyłem, że w następnym, trzecim rozdziale będę miał więcej do powiedzenia. Dziś mam wątpliwości, czy wodzowaniem nie pojechałbym dalej.

Jednak nie wierze, że ma pan głowę wolną od wspomnień z 1980 roku.

– Oczywiście mam wspomnienia, tylko jestem człowiekiem chwili. Tej chwili oddaję wszystko, mam braki w wykształceniu i inne też, więc koncentruję się na chwili maksymalnie, robię, ile tylko można, ale już do dawnej chwili nie wracam, bo ja mam następny problem, do którego muszę się przygotować. Myślę „teraz i jutro”. „Wczoraj” mnie nie interesuje.

NARODZINY SOLIDARNOŚCI
WIELKI RUCH SPOŁECZNY SOLIDARNOŚĆ ROZPOCZĄŁ SIĘ 14 SIERPNIA 1980 R. STRAJKIEM W STOCZNI GDAŃSKIEJ. STOCZNIOWCY ŻĄDALI PRZYWRÓCENIA DO PRACY ANNY WALENTYNOWICZ. NA ICH CZELE STANĄŁ ZWOLNIONY W 1976 ROKU LECH WAŁĘSA, KTÓRY SŁYNNYM SKOKIEM PRZEZ PŁOT DOSTAŁ SIĘ NA TEREN STOCZNI. DZIEŃ PÓŹNIEJ DO STRAJKU DOŁĄCZYLI INNE ZAKŁADY. 15 SIERPNIA W GDAŃSKU POWSTAŁ MIĘDZYZAKŁADOWY KOMITET STRAJKOWY Z LEchem WAŁĘSĄ NA CZELE. DO STOCZNI ZACZĘLI ZJEZDZAĆ Z CAŁEJ POLSKI OPOZYCYJNIŚCI WSPIERAJĄCY ROBOTNIKÓW: ARTYŚCI, NAUKOWCY, DZIENNIKARZE. KOMITET STRAJKOWY PRZEDSTAWIŁ RZĄDOWI 21 POSTULATÓW. 20 SIERPNIA RAZEM ZE STOCZNIĄ STRAJKOWAŁA CAŁA POLSKA – 750 TYSIĘCY OSÓB. 31 SIERPNIA LECH WAŁĘSA I WICEPREMIER MIECZYSLAW JAGIELSKI PO DZIEWIECIU DNIACH ROZMÓW PODPISALI W STOCZNI POROZUMIENIA GDAŃSKIE, KTÓRE UMOŻLIWIŁY POWSTANIE NIEZALEŻNEGO SAMORZĄDNEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO „SOLIDARNOŚĆ”.

A gdyby pan mógł coś w swoim postępowaniu z 1980 roku zmienić, to co by pan zmienił?

– Kompletnie nic.

Idealnie pan wtedy postępował?

– Tak. Od początku był w tym wszystkim palec boży. Nawet w tym moim skoku przez płot. Właściwie nie miałem wtedy żadnych szans na wejście do stoczni. Gdybym dotrzymał ustaleń, które między sobą robiliśmy, gdybym jechał tak, jak się umówiliśmy, na szóstą czy na siódmą, to nie miałbym szans. Po prostu by mnie zwinęli. A ja się spóźniałem z jakichś błahych powodów. Stocznia już się podnosi, szefowie bezpieki i policji naradzają się, co zrobić, ta grupa, która ma mnie pilnować, nie może się połączyć przez krótkofalówki, bez przerwy dzwonią, ja jadę późno tramwajem i tym sposobem dostaję się do stoczni fuksem. A więc od początku byłem wyznaczony, los mnie po prostu wyznaczył.

Bezpieka mnie nie zwija, a powinna mnie zwinąć. Wiedziałem, że jadą tym samym tramwajem, już ich znałem, bo parę lat się ścigaliśmy. I dojeżdżam do bramy, tam, gdzie teraz pomnik stoi. Próbuje wejść, ale wiem, że nie mogę się szarpać. Nie wpuszczają mnie, więc jakoś tam bokiem, bokiem, już bezpiekę chyba zgubiłem, idę na następną bramę – szkolną. Jest zamknięta, bo ona była otwarta tylko w konkretnych godzinach, jak wchodzili uczniowie, więc znów nie mogę wejść. Idę na następną bramę, przy kolejce, tam też podobna sytuacja. Wycofuję się i przeskakuję płot gdzieś na wysokości tej szkolnej bramy.

Wysoki był ten płot?

– Dość wysoki, z tym że nie ten płot, który tam dzisiaj stoi. Tam zaraz obok płotu stała jakaś wiata ceglana, ja przeskakiwałem między jakimś małym budynkiem a murem. Wchodziłem takim jakby tunelem, gdzieś na metr, półtora głębokim, między bramą a tą wiatą. Nie zastanawiałem się, moim zadaniem było wejść, a nie zapamiętać jakiś płot.

A na przykład nie żałuje pan, że wtedy dopuścił do komitetu strajkowego ekspertów i doradców z Warszawy?

– Najwięcej Borusewicz, a on był wtedy moim szefem, mówił: „Wygonić ich, wziąć pismo z poparciem i wygonić”. Inni też tak krzyczeli. A ja wtedy, ponieważ miałem to wszystko przemyślane i już go wtedy nie słuchałem, bo podejmowałem decyzje, czy im się to podobało, czy nie, bo miałem siłę, bo byłem stoczniovcem, a oni wszyscy przyjezdni, postawiłem sprzeciw. Oni chcieli zmonopolizować strajk, mówili: „Nikogo nie wpuszczamy”. A ja rozumiałem tak: musimy mieć jak najwięcej ludzi wartościowych, przyłączyć ich, żeby się nie wycofali, to zwyciężymy. Pierwszy chyba przyszedł Bądkowski, pisarz, więc ja go szybko robię rzecznikiem prasowym,

bez uzgodnienia z innymi. Panie! W stoczni mam pisarza, niech teraz strzelają! Taki Gruszecki przyszedł z politechniki, doktor, docent, to ja, panie, znów go od razu do prezydium! Chciałem dostać znacznych ludzi, bo wtedy będzie im trudniej, niech strzelają do profesorów. Ja tutaj sterowałem dość zdecydowanie. I jak było ciężko, jak mi się sprzeciwiali, to mówiłem: „To mnie zmiećcie, proszę bardzo”.

A gdyby zmienili?

– Nie, ja byłem już znany w stoczni, miałem duże doświadczenie. Byłem w jakimś takim transie, znałem rozwiązania, byłem wodzem, krótko mówiąc. Strajk się załamał co najmniej trzy razy, a oni nie wiedzieli, co zrobić, byli bezradni. A moim drugim fuksem było to, że zawiesiliśmy strajk trzeciego dnia. Po pierwsze, to było demokratyczne, bo już było prezydium i to ono zdecydowało, przegłosowano nas, a po drugie, zorientowałem się, że z tymi ludźmi, wielu było podstawionych przez dyrekcję i bezpiekę, nie da się dalej strajku prowadzić. I znów zbieg okoliczności, wpadam na cholerny pomysł: podanie się będzie najlepsze! My zostaniemy i już nie dopuścimy nikogo do dowodzenia, żadnych tchórzy i ludzi podstawionych, ci uciekną po zawieszeniu strajku. I tak było. Uciekli, a zostali tylko najodważniejsi, którzy chcieli walczyć dalej. Z tymi mogłem podjąć walkę. To było wybitne, wybitne. Wpadłem na to w ostatnim momencie, a gdybyśmy nie „wyczyścili” wtedy strajku, tobyśmy przegrali.

Pan mówi prawdę, czy dzisiaj pan dorabia strategię do tamtych wydarzeń?

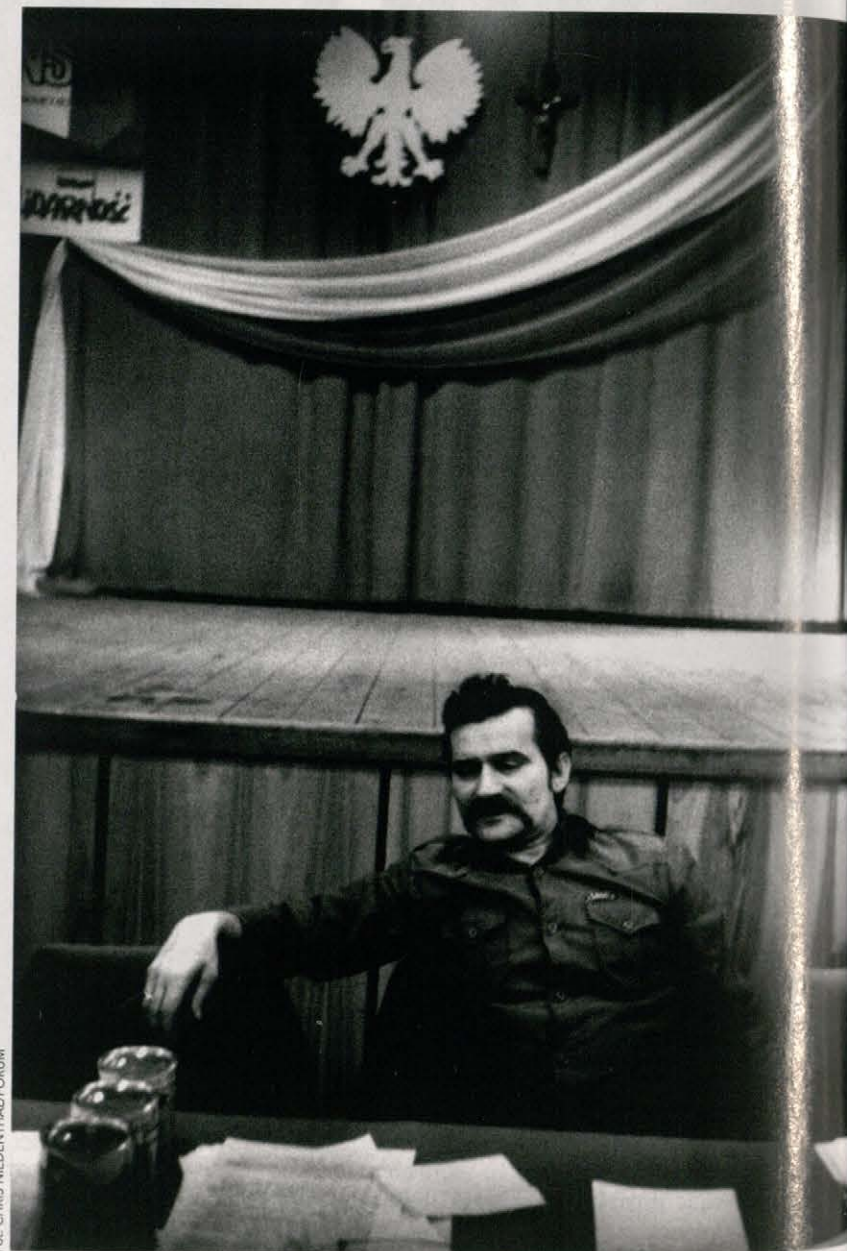
– Mówię prawdę, przysięgam, żadnych kłamstw. Pewno, że każdy będzie interpretację naciągał trochę dla siebie, ale główna prawda jest jedna. Przewodziłem i miałem sukcesy, choć mnie się sprzeciwiano. I Borusewicz, i kumple moi nie chcieli dopuścić Mazowieckiego, Geremka i innych. Miałem najwięcej kłopotu właśnie z moimi przyjaciółmi, którzy od razu chcieli postawić na demokrację, ale taką szeroką, na konsultację bez walki. A tu się pali, tu trzeba podejmować decyzje. Na przykład dyrekcja proponowała, że ci, co strajkują, nie dostaną pensji, a ci, co nie strajkują, dostaną. Ludzie już o tym wiedzą. A ja natychmiast „siadam na głosnik” – ci, co strajkują, dostają od nas podwójnie, a reszta mnie nie interesuje. Posłałem po pieniądze do księży, do Bogdana Lisa, do innych i wypłaciłem natychmiast. Merkel po pieniądze pobiegł, pożyczął. Chciano mnie pokonać w prosty sposób. Kobiety i żony przysły pod bramy, bez pieniędzy, lamentowały, że bieda. Przysły po pieniądze. Ja wiedziałem, co się dzieje, więc mówię: „Spalą nas, powiedzą nas ci bez pieniędzy”, więc szybko zorganizowałem wypłatę.

Naprawdę uważa pan, że nic lepiej nie mógł pan wtedy zrobić?

– Nie, z tych dużych spraw nic inaczej bym nie zrobił. Moim zadaniem było zbudować monopol, który pokona monopol komunistyczny. I tego dokonałem. Zwycięzcy się nie sądzą. A jak pan podważy jeden element, to trzeba się będzie zastanowić nad następnym, potem następnym i panu się wymyka ten sukces. Nie warto.

A wieczorami, w nocy, o czym pan myślał?

– Noce miałem spokojne, bo byłem i jestem wierzący... A zdarzyła się ta sprawa z obrazkiem, wcześniej ktoś mi powiesił na szyi różaniec. To był czas pielgrzymki na Jasną Górę. Jakaś kobieta wróciła z tej pielgrzymki i przy kamerach całego świata zawiesiła mi na marynarce obrazek Matki Boskiej. Ja mówię do tych kamer spontanicznie, że zawsze, dopóki będę pracował społecznie, to będę nosił ten obrazek. Dlaczego o tym mówię? Bo jak było ciężko, właściwie tu już nam grożą, że wjeżdżają, że wszystko się łamie,



Wtedy
słuchałem
wielu.
decyzję
podejmowałem
sam

Gwiazdowa zachorowała, to ja wtedy mówiłem: „Panowie, dyżury ustawione? To przerwa”. Ja się kładłem i mówiłem: „Matko Bosko, zrobiłem wszystko, co mogłem, teraz Twoja sprawa, ja się poddam; rób, co chcesz”.

I głowa wolna?

– Kompletnie. Zawierzenie. Matka Boska mi pomagała. Dlatego mogłem sobie odpocząć, a inni wariowali, nie wytrzymywali. Ja miałem kogoś, kto był silniejszy, i na niego się zdawałem. To mi pozwalało niczego się nie bać.

Opowiadał pan w podobny sposób o przebiegu tego strajku Papiieżowi?

– Nie, dlatego że nasze relacje są inne. Parę razy rozmawialiśmy o tym i Ojciec Święty zrozumiał i ja rozumiałem, że my się rozumiemy bez słów, to samo myślenie, ta sama religia.

Ma próbował pan z nim rozmawiać o tym, że – jak sam pan mówi – „palec boży” dotknął pana w 1980 roku?

– Nie. Ale przecież i ode mnie trochę zależało: nie wystawiać się za mocno, nie wystawiać ludzi, udawać, że się nie wie, co robić. Niech tak sobie komuniści myślą, a ja będę robił swoje. I tym sposobem ich przechrztyłem. I to jest też ten palec boży, że ta koncepcja podjęta była idealna. Bo gdybym mocno poszedł, grał bohatera, grał zarozumiałca, to bym nie przeżył!

Czy jest pan zarozumiały?

– Nie. Tylko tam, gdzie jestem czegoś pewien, to nie popuszczę nikomu i koniec. A tam, gdzie mam wątpliwości albo ktoś mnie przekona, a nawet dziecko może mnie przekonać, to odpuszczę. Wtedy słuchałem wielu, decyzję podejmowałem sam.

Pewnie wtedy przychodzili do pana załamani, przestraszeni strajkownicy. Co im pan mówił?

– Ponieważ byłem robotnikiem, to oni mi wierzyli. Że nie zrobię głupot. Byłem zdecydowany, ale nie wariat, nie połamam narodu na rzeź.

Jak pan ich przekonywał, żeby się nie bali? Bo chyba się bali?

– Wszyscy się bali oprócz mnie.

Jednak jest pan zarozumiały.

– Nie, ja byłem w amoku! Wiedziałem, że nie mam żadnych szans, ale człowiek pokonuje drabinę strachu. Zabili mój kumpla, niejednego zresztą, i w związku z tym wiedziałem, że mnie też mogą zabić, że tylko mogę iść do przodu, może popychała wiara, że jeśli mam zapisany krzyżyk, to na to nie poradzę.

Żadnego momentu zwątpienia?

– Żadnego. Dzisiaj mam więcej wątpliwości, o dziwo, niż bym się może i bał. A wtedy byłem w transie, nakręcony, może to była ta moja wiara w zwycięstwo? Wiara w to, że nie ma innego wyjścia?

Potem zdarzały się panu okresy takiego transu?

– Nie, takiego już więcej nie przeżyłem. Potem najważniejszą była już walka, choć też pełna wiary, do pierwszego zwycięstwa w wyborach prezydenckich. Wtedy wierzyłem w to, co robię. Wierzyłem, że Okrągły Stół był klęską i musimy zrobić drugi ruch – przejąć wojsko, policję, teczki bezpieczeństwa. Jak to zabierzemy, to jest zwycięstwo. I wierzyłem, że jest to szansa, ale musimy mieć prezydenta. Wygrałem wybory. W połowie pierwszej kadencji coś się stało. Wpadłem w jakąś chorobę, nie wiem, co się ze mną działo, były momenty, że traciłem świadomość, że prawie mdlałem. Lekarze badali mi ciśnienie, cukier, wszystko i nic nie mogli stwierdzić. Ja sobie dziś tłumaczę, że to było takie wypalenie. Tak intensywnie przez wiele lat pracowałem, że się wypaliłem kompletnie. Od połowy do końca kadencji byłem skończony.

Jak się objawiała ta słabość?

– Wie pan, jestem trzy godziny przed robotą, umysł pracuje świetnie, przychodzi na przykład do mnie na spotkanie premier Jan Olszewski, a ja nie mogę się skoncentrować. Coś tam mówię, ale jak najszybciej chcę skończyć, bo czuję, że mdleję. Raz chyba nawet z takiego spotkania wyszedłem i zemdlałem. Lekarze nic nie mogli znaleźć. Padałem często w kaplicy w Belwederze. Zaczęliśmy eliminować wszystko, aż do papierosów włącznie, basen, rower, kąpanie rano, bo ja rano zawsze długo w wannie siedziałem, masaże, wiele rzeczy pokasowaliśmy, ale to nic nie pomogło. Już zaczęła się prezydencka kampania wyborcza, a ja w dalszym ciągu słaby, nie zgłaszam się. Wreszcie miałem przebłysk świadomości: „Kurczę, przecież oni mnie powieszają!”.



LECH WAŁĘSA,
CHARYZMATYCZNY
PRZYWÓDCA SIERPNIA
1980, URODZIŁ SIĘ
W ROKU 1943
W POPOWIE. UKOŃCZYŁ
ZAWODOWKĘ W LIPNIU.
OD 1967 ROKU
PRACOWAŁ JAKO
ELEKTRYK W STOCZNI
GDAŃSKIEJ. DZIEWIĘĆ
LAT PÓŹNIEJ ÓWCZESNA
WŁADZA WYRZUCIŁA
GO Z PRACY
ZA „ZŁE WIDZIANE
WYSTĄPIENIA”.
W 1980 ROKU W STOCZNI
GDAŃSKIEJ ZOSTAŁ
PRZYWÓDCA STRAJKU
ZAKOŃCZONEGO
POROZUMIENIAMI
SIERPNIOWYMI. STANĄŁ
NA CZELE NSZZ
SOLIDARNOŚĆ.
W STANIE WOJENNYM
INTERNOWANY
W OŚRODKU RZĄDOWYM
W ARLAMOWIE.
UHONOROWANY
POKOJOWĄ NAGRODĄ
NOBLA W 1983 ROKU.
UCZESTNIK OBRAD
OKRĄGŁEGO STOŁU
W 1989 ROKU.
ROK PÓŹNIEJ
ZOSTAŁ PIERWSZYM
DEMOKRATYCZNIE
WYBRANYM
PREZYDENTEM RP.
W 1995 ROKU PRZEGRZAŁ
O WŁOŚ Z ALEKSANDREM
KWAŚNIEWSKIM
W WALCE O FOTEL
PREZYDENTA. DWA LATA
PÓŹNIEJ ZOSTAŁ
PRZEWODNICZĄCYM
CHRZEŚCIJAŃSKIEJ
DEMOKRACJI
III RZECZPOSPOLITEJ.
W ROKU 2000 PO RAZ
TRZECI WYSTARTOWAŁ
W WYBORACH
PREZYDENCKICH
– PRZEGRZAŁ Z KRETESEM.
MIMO TO WCIĄŻ
NALEŻY DO
NAJPOPULARNIEJSZYCH
LUDZI W POLSCE.
RAZEM Z ŻONĄ DANUTĄ
WYCHOWAŁ OŚMIORO
DZIECI.

Kto?

– Naród mnie powiesi, bo nikt nie ma szans wygrać z Kwaśniewskim. Ja też nie mam, bo jestem spóźniony, ale jak się nie zgłoszę, to będą uważać, że się podłożyłem, że się sprzedałem. No i zgłosiłem się, i adrenalina mi skoczyła w te wybory, i moja słabość prawie mi przeszła, choć nie do końca.

Może musi pan walczyć, żeby żyć? A jak jest teraz?

– Teraz, to właściwie nie ma mnie co poderwać. Pierwszy rozdział i drugi wykonałem. Trzeci rozdział jest nie do wykonania, nie będę już wodzem.

Czyli dopuszcza pan do siebie myśl, że już nie wkroczy tak mocno na scenę polityczną?

– Jeśli będzie u nas jako tako, to właściwie nie ma dla mnie miejsca. Im lepiej, tym mniejsza szansa, im gorzej, tym większa szansa. W demokracji ma rację ten, kto ma więcej pieniędzy, możliwości, układów, znajomości prasy.

Czy czasami ludzie pana zaczepiają i mają pretensje o nową Polskę?

– Teraz nawet więcej niż kiedyś, bo w demokracji ktoś musi być winny.

Pan dla niektórych już zawsze będzie winny.

– Ja nie przyznam nikomu racji, jeśli uważam, że jej nie ma. Zwykły człowiek, ten, co słyszał, że nakradłem, a sam nie ma dużo pieniędzy, mówi, że go zdradziłem, zostawiłem. A ja mu odpowiadam: „Zaraz, zaraz, to ty mnie zdradziłeś! Ja miałem pomysł, ja ci chciałem dać inną prywatyzację, ja chciałem zdążyć za złodziejami systemem prezydenckim i dekretemi, a ty się ich bałeś!”. Czy to nie było dobre? Wszystkie moje pomysły były dobre. Tylko że naród w pewnym momencie przestał mi wierzyć, a ból reform pomagał w tej niewierze.

Czy zdarzyło się panu, że ktoś panu powiedział: „Po co wyście ten strajk w '80 roku robili”?

– Nie, poważni ludzie, zdrowi, nigdy tak nie powiedzą. Rozumieją, że wolność jest lepsza od zniewolenia. Ja dałem wolność, a jak kto z niej skorzystał, to za to już nie odpowiadam.

Panie prezydencie, pan mówi: ja zrobiłem, ja dałem, ja wiedziałem...

– Bo tak było.

A może pan jest opętany manią wielkości? Pański spowiednik nie zaleca panu skromności?

– Nie, to nie chodzi o skromność. Taka jest prawda, więc czemu mam nie mówić prawdy? Tak, przeciwstawiłem się wszystkiemu, moim kolegom też, dlatego że tak widziałem zwycięstwo, a gdybym ich posłuchał, to byłaby klęska. Cały czas zresztą miałem problem z ludźmi, ale skąd miałem wziąć innych, no skąd, ja, elektryk z warsztatu samochodowego? Nie pomagali mi. Na przykład po wygraniu wyborów prezydenckich mówiłem mojemu konkurentowi, premierowi Mazowieckiemu: „Nic się nie stało, jedźmy dalej razem”. I do dzisiaj mam krechę z Mazowieckim za to, co on mi wtedy odpowiedział: „Pan chce, żebym ja pracował, a pan będzie śmietankę spijał, dlatego nie będę już premierem”. Wie pan, że ten cwaniak Wałęsa spija śmietankę! Ale przecież dla Polski pracowaliśmy, nie dla Wałęsy. I od tego momentu nie ma między nami porozumienia. Ja robiłem dla Polski, a że przez to zyskiwałem dla siebie, to w porządku. Nie robiłem odwrotnie, najpierw dla siebie, a potem Polska.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

GDAŃSK, 16 SIERPNIA 2003 R.

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce
w serwisie www.wiadomosci.wp.pl



Amerykański miesięcznik pierwszy padł ofiarą ciężkiego kryzysu, jaki gnębi całą światową branżę. Kwiecniowy numer „Penthouse’a” nie pojawił się w kioskach. Podobnie dwa następne. Powód? Brak pieniędzy na opłacenie druku. Jeszcze 10 lat temu nakład pisma osiągał pięć milionów, a fortuna jego założyciela Boba Guccione budziła zazdrość nawet wśród bogaczy.

HOLÉ HOLKY, CZYLI TAKŻE PO CZESKU

34 lata obecności magazynu „Penthouse” na rynku „męskich” pism to lata walki o wyzwoleńcze amerykańskie społeczeństwo. Walki, której areną z czasem stał się cały świat: miesięcznik ukazywał się w 15 wersjach lokalnych – od Afryki Południowej, przez Anglię, Niemcy i Czechy, po Japonię. Zdjęcia publikowane w piśmie były znacznie śmielsze niż te w „Playboyu”, głównie dzięki umiejętnemu doborowi modelek. Większość z nich stanowiły niemające specjalnych zahamowań zwykłe dziewczyny z sąsiedztwa. Całość uzupełniały pieprzne wywiady, populistyczne artykuły i od czasu do czasu piktogramy jakiejś gwiazdy. W najlepszym okresie nakład amerykańskiej edycji przekraczał pięć milionów.

Na dobrą sprawę problemy miesięcznika od paru lat nie są już tajemnicą.

Dostęp do rozbieranych zdjęć ma teraz każdy, kto umie kliknąć myszką. W dodatku za darmo. To tłumaczy kłopoty całego sektora. Jednak dystyngowany „Playboy” i jawnie świntuszający „Hustler” wciąż utrzymują się na falach, podczas gdy sytuujący się pomiędzy nimi „Penthouse” tonie. Redaktorzy pracują w domu. Oczywiście, gdy pismo się nie ukazuje, ta praca jest właściwie żadna. Podobnie i pensje – wydawca, spółka General Media, płaci każdemu zaledwie jedną czwartą należnych pieniędzy. Winę ponosi jedna osoba – Bob Guccione.

Ten właśnie człowiek, który od kilku lat walczy z rakiem krtani, wije się w rękach bankowców jak piskorz, byle tylko utrzymać gigantyczną posiadłość na Manhattanie. Dwie imponujące, połączone kamienice

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Wielbiciele „Penthouse’a”! Do kiosków!
W lipcu ukazał się zapewne ostatni w dziejach
numer najstępszego pisma soft porno.
Jego wydawca wystąpił o upadłość

AGOŃIA ŚWIERSZCZYKA

to nie tylko 45 izb i ogromna powierzchnia. To także olśniewająca kolekcja obrazów, które Guccione skupował od lat. A na ścianach w domu króla porno nie wiszą „laski z bobrami”, tylko Renoir, Picasso, Modigliani, van Gogh i Degas.

To właśnie ta kolekcja płócien stała się symbolem finansowej bez troski Boba i jednym z gwoździ do trumny imperium. Choć wcale nie największym.

NIEDOSZŁY KSIĄDZ

Guccione ma dziś 72 lata, od sześciu lat, czyli od śmierci żony, mieszka sam ze sforą psów i ochroną. Niemal nie udziela się w mediach. Dogorywa jak obywatel Kane z filmu Orsona Wellesa w sercu królestwa, które rozsypało się w ciągu kilku lat jak zamek z piasku. Człowiek, który je zbudował, nieumyślnie wyreżyserował także jego zagładę. Jest autorem kroniki zapowiedzianej kłęski.

W jej pierwszym rozdziale widzimy go jako kleryka na seminarium katolickim.

– Tam przeszedłem uzdrawiający okres dojrzewania – powie później. – Od tego czasu jestem niewierzący.

Ślub w wieku 18 lat, pierworodny syn, szybki rozwód – wkrótce młody i ambitny jankes, potomek włoskich imigrantów, rusza w świat jako artysta. Są lata 50., ferment artystyczny opanowuje Europę. Guccione zostaje wędrownym malarzem, paryska, potem rzymska, wreszcie londyńska bohema wchłania go bez reszty. Ciągnie za sobą drugą żonę i trójkę kolejnych dzieci. W Londynie do swej biografii dorzuca nowy zawód: dziennikarz. I tak naprawdę rodzi się na nowo.

CO MA TANIEC DO FINANSÓW

Na to, by powstał słynny Guccione, złożyło się kilka elementów: poseminaryjny kac; włóczęga po europejskich przystaniach artystycznych; bakcył wydawniczy złapany podczas pracy w tygodniku „London American”; rozczarowanie zbyt ambitnym obliczem atrakcyjnego skądinąd magazynu dla panów „Playboy”; wreszcie solidne przygotowanie finansowe. To ostatnie Bob Guccione pozyskał dzięki trzeciej żonie.

Kathy Keeton w rodzinnym RPA studiowała balet. W Londynie pracowała jako egzotyczna tancerka i „dama do towarzystwa” w jednym z nocnych klubów. Zajęcia estradowo-stolikowe nie stanowiły jednak jej hobby. Wolny czas spędzała na lekturze „The Financial Times”.

– To mnie w niej urzekło – wyznał Guccione wkrótce po trzecim ślubie. – Bez niej byłbym nikim.

Kathy Keeton towarzyszyła Bobowi przez 40 lat, budując wraz z nim imperium „Pent-

Po prawej:
Bob Guccione w latach 70.
Wtedy dołączył do grona
najbogatszych wydawców

Poniżej: Przez pierwsze dwa
lata istnienia pisma Guccione
sam robił zdjęcia na okładki



Po lewej: On mógł być cesarzem,
ale to cesarzowa Kathy dbała,
by gmach nie runął

Poniżej: Bankructwo, choroba,
smutek – starość Boba Guccione



house’a” i dbając o jego finansową konstrukcję. Niestety, w 1997 roku, w przedostatnim rozdziale kroniki zapowiedzianej kłęski, bohaterka umiera na raka piersi. Po tej stracie Guccione już się nie podźwignął. Chwiejąca się konstrukcja straciła ostatnią szansę odbudowy.

POLOWANIE NA KRÓLICZKI

Przecież jeszcze względnie niedawno nie zapowiadało kłęski. „Penthouse” dość szybko skolonizował niezajęty przedtem teren erotyki na granicy pornografii. Czy też, jak zaznaczał sam Guccione, po prostu pornografii. Dla niego w tym słowie nie kryła się porażająca nuta. Uważał, że zdjęcia publikowane w jego miesięczniku odpowiadają na potrzeby rynku, nie są zaledwie mętłym poszeptem i pensjonarską sugestią, czym zapowiadał się jego zdaniem „Playboy”.

„Penthouse” powstał właśnie jako odpowiedź na niedosłowność miesięcznika Hugh Hefnera. Był koniec lat 60., hipisowskie Lato Miłości obnażyło ludzi na dobre i przynajmniej na pozór wyzwoliło ich z obyczajowych zastrzeżeń. Amerykańska Komisja Prezydencka do spraw Obsceniczności i Pornografii po trzyletnich badaniach opublikowała raport, z którego wynikało, że pornografia nie czyni ludzi przestępcami czy zbrojcami, wręcz przeciwnie – w Danii po zniesieniu zakazu pornografii spadła gwałtownie liczba przestępstw na tle seksualnym. Komisja zalecała zniesienie zakazu publikacji wydawnictw ukazujących seks bez osłonek (oczywiście sprze-

dla nas tajemnic, jedyne, czego nie pokazujemy u kobiety, to migdałki.

W latach 70. i 80. fortuna Boba Guccione wzrosła astronomicznie. Znalazł się w gronie najbogatszych wydawców. A także pośród osób najbardziej zażarcie zwalczanych zarówno przez konserwatystów, jak i przez feministki. Na stronach „Penthouse’a” modelki w wuzdanych pozach same sprawiały sobie rozkosz, a nierzadko pozwalały się upokarzać mężczyznom. Teksty wyrażały bezkompromisowy protest przeciwko politykom, „demonstrując” ich głupotę i skłonność do oszustwa.

Jednak ambicje cesarza soft porno sięgały dalej. Z własnej kieszeni wyjął 17,5 miliona dolarów na produkcję filmu. W 1979 roku 75-letni wówczas sir John Gielgud, wybitny angielski aktor szekspirowski, oświadczył z dumą:

– Właśnie zagrałem w pierwszym swoim filmie pornograficznym.

W obsadzie „Kaliguli” oprócz Gielguda znaleźli się też tacy artyści, jak Helen Mirren, Malcolm McDowell i Peter O’Toole. Nakręcony na podstawie scenariusza Gore’a Vidala film ukazywał deprawację obyczajową na dworze rzymskich cesarzy, oferując widzom śmiały seks i krwawe jatki. Za kamerą stało kolejno kilku reżyserów, dziś pod filmem podpisany jest właściwie tylko Guccione, który samodzielnie reżyserował najbardziej odważne sceny.

BUSZUJĄCY W ARCHIWUM X

Po „Kaliguli” miał być następny fresk, film o carycy Katarzynie. I pierwsza porażka – film nie powstał. Choć może i dobrze.

Guccione namawiał Unabombera, by opowiedział „Penthouse’owi” swoją historię. Ted Kaczynski opisał, że woli bardziej szanowane pisma

niż dozwolona tylko dla dorosłych). W 1969 roku w Ameryce wyszedł pierwszy numer wydawanego dotąd w Londynie nowego miesięcznika erotycznego. Zdjęcia w nim publikowane były znacznie śmielsze niż w wysublimowanym „Playboyu”. Jego wydawca Bob Guccione zamierzał zdetronizować Hefnera i zostać cesarzem amerykańskiej rozwiązłości. „Jedziemy zapolować na króliki” – krzyczały reklamy i pokazywały „bunny’ego”, znak firmowy „Playboya”, w lunecie celowniczej.

EKRANIZACJA PENETRACJI

O ile niektóre zdjęcia dziewczyn z „Playboya”, dzieła znakomitych fotografików, spokojnie mogłyby trafić na wystawy artystyczne, o tyle „Penthouse” stawiał sprawę jasno: goła baba wygląda tak i tak. I nie tylko baba, jak przechwalał się Bob Guccione:

– Pierwsi pokazaliśmy włosy łonowe, lesbijki i erekcję penisa. Ciało kobiece nie ma

Teraz kronika zapowiedzianej kłęski staje się książką surrealistyczną. Bo jak inaczej nazwać te szalone inwestycje i pomysły? Na masową produkcję urządzeń do syntezy jądrowej wydał bez sensu 12 milionów dolarów. 40 milionów przeznaczył na badania, jak osiągnąć nieśmiertelność poprzez inżynierię genetyczną. 60 milionów własnych i prawie dwa razy tyle pożyczonych dolarów Guccione zainwestował w budowę kasyna w Atlantic City. Udało się wznieść jedynie rdzewiejący potem przez lata szkielet budynku.

Cesarz coraz częściej stawał się obiektem żartów. Kathy Keeton w grudniu 1995 roku była już zapewne ciężko chora i nie śledziła uważnie stron „Financial Timesa”. Inaczej na pewno by uprzedziła męża, że fotografie, jakie zamierzał opublikować kilka miesięcy potem, są nic niewarte. We wrześniu 1996 roku „Penthouse” pokazał światu rzekomo ukrywane przez rząd zdjęcia zwłok kosmitów z Roswell.

„Cudem zdobyte” fotografie opublikowane mimo groźby „bezlitosnej zemsty FBI” były w rzeczywistości znane wszystkim byłalcom Międzynarodowego Muzeum UFO działającego właśnie w Roswell. Przedstawiły lalki zbudowane na potrzeby filmu telewizyjnego. Guccione zapewniał, że dostał je za darmo, ale poinformowani ludzie z branży utrzymują, że wybulił na nie kilkaset tysięcy dolarów.

PORNO-SKATOLO-GRAFIA

„Penthouse” powstał po to, by pornografię uczynić powszechnie dostępnym towarem. W walce o swobodę obyczajową Guccione ginie teraz od własnego miecza. Najważniejszą przyczyną upadku jego imperium jest bowiem Internet. Zapewnia bezpłatny dostęp do lubieżnych zdjęć, na dodatek eliminuje wstydlive sytuacje w kiosku z gazetami.

Guccione zareagował historycznie: zdjęcia w jego miesięczniku nagle nabrały ostrości. To już nie były wuzdane panny z sąsiedztwa, zaczął pokazywać perwersję w najrozmaitszych gatunkach. Zbierzeńność zbratała się z kłosem. Tym samym Bob Guccione położył głowę pod topór – właściciele kiosków przestali eksponować „Penthouse’a” w witrynach.

Usiłował namówić słynnego terrorystę Unabombera, by na łamach „Penthouse’a” opublikował opowieść swego życia. Ted Kaczynski odpisał, że woli skorzystać z oferty jakiegoś bardziej szanowanego periodyku. Pismo dostało też kosza od Moniki Lewinsky, która miała ujawnić na jego łamach swoje wdzięki i wspomnienia.

KURNIKOWA, NIE-KURNIKOWA

W maju zeszłego roku Guccione opublikował sesję zdjęć plażowych Anny Kurnikowej. Po ukazaniu się miesięcznika wybuchł skandal. Rosyjska tenisistka pozwała wydawcę do sądu, twierdząc, że to nie ona. Drugi pozew wpłynął od modelki Judith Soltesz-Benetton, która domagała się odszkodowania za bezprawne wykorzystanie jej rozbieranych zdjęć. General Media stać było tylko na słowo „przepraszamy”, ale na odszkodowania dla obu pań już nie. Długi firmy sięgnęły kilkudziesięciu milionów.

Nakład ostatnich numerów to zaledwie 10. część tego, co „Penthouse” osiągał przed laty. Firmę obciążają kredyty o morderczych stopach procentowych. Sam Guccione obniżył sobie pensję niemal trzykrotnie, do 1,7 miliona dolarów rocznie.

– Dla miesięczników nie ma miejsca w tym biznesie – oświadcza z rezygnacją najbardziej ekstrawagancki samobójca finansowy Ameryki. – Przyszłość leży w Internecie. To mój cel. Tam wypłynę.

Ale niewielu wierzy, by w tej opowieści nastąpiło jakieś szczęśliwe zakończenie.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Musiąłem dożyć sędziwego wieku, aby wreszcie nauczyć się powiedzieć „nie wiem”.

FRANCIS BACON
(1561–1626),
FILOZOF, PRAWNIK I POLITYK

Koń sklonowany

Prometea – takie imię nadano pierwszemu końskiemu klonowi (na zdjęciu wraz z matką). Uczni długo nie mogli sklonować koni, ponieważ różnią się one od innych ssaków, takich jak krowy czy owce: mają wolniejszą przemianę materii, krótszy okres rozrodczy i bardzo wrażliwe komórki jajowe. Zapłodnienie in vitro w ich przypadku udało się dotychczas zaledwie dwa razy. Uczni, którzy doprowadzili do narodzin Prometei, twierdzą na łamach „Nature”, że jest zupełnie zdrowa i oczywiście genetycznie identyczna z matką. Z naukowego sukcesu cieszą się hodowcy, którzy chcą klonować wyścigowe czempiony, licząc na to, że będą równie silne i szybkie jak ich protoplaści. Francuska firma Cryozootech ma już nawet bank przechowujący komórki pobrane od cennych koni. Za taki depozyt trzeba zapłacić pięć tysięcy euro, a koszty klonowania mogą być kilkadziesiąt razy większe.



Zebyś wiedział

Plaster z galaretki

Czym opatrzyć głęboką ranę? Najlepiej tym, czego organizm sam używa do sklejania tkanek, czyli białkiem o nazwie kolagen – uważają biochemicy amerykańscy. Opracowany przez nich kolagenowy plaster jest dobrze tolerowany, wytrzymały, tani w produkcji i niekłopotliwy – raz nałożony nie wymaga zmieniania. Naukowcy twierdzą, że przyspiesza gojenie się ran o połowę. Preparat jest aktualnie w fazie testów, na rynek może trafić za kilka lat.



Superskokoczek

Nowy rekordzista skoków to pienik ślinianka (*Philaenus spumarius*) – niepozorny owad pospolicie występujący na łąkach i uznawany za szkodnika. Skacze on z siłą 414 razy większą niż ta, która jest potrzebna do uniesienia ciężaru jego ciała. U pchły (dotychczasowej mistrzyni) współczynnik ten wynosi 135, a u człowieka zaledwie dwa do trzech. Siła pienika tkwi w jego długich tylnych odnóżach, które w czasie spokojnego chodu są zupełnie bezużyteczne.



Aspiryna na białaczkę

Do licznych zalet znanego leku doszła jeszcze jedna. Wyniki badań przeprowadzonych w USA wskazują, że kwas acetylosalicylowy – powszechnie znany jako aspiryna – zmniejsza o połowę ryzyko wystąpienia białaczki u dorosłych. Musi jednak być zażywany regularnie co najmniej dwa razy w tygodniu i w niewielkich dawkach. Oczywiście takiej kuracji nie mogą stosować osoby z nadwrażliwością na ten lek (tak zwaną astmą aspirynową) czy cierpiące na chorobę wrzodową. Mechanizm przeciwbiałaczkowego działania aspiryny nie jest jeszcze znany. Na białaczkę najczęściej chorują dzieci, ale drugi szczyt zachorowań przypada na wiek średni i podeszły.



Kosmetyk sprzed 2000 lat

Niewielki cynowy pojemnik, który znaleziono w ruinach rzymskiej świątyni odkopanej w Londynie, zawiera dobrze zachowany krem z 50 roku naszej ery. Archeolodzy twierdzą, że to pierwsze tego typu znalezisko na świecie. Badając skład kremu, chcą ustalić, czym pielęgnowały urodę piękności starożytnego Rzymu.



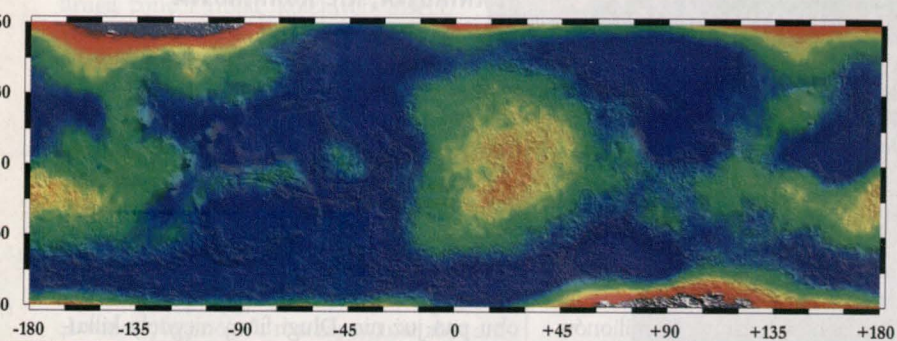
Zebyś czytał

Pośpiech jest znakiem nowych czasów, które pozwalają nam robić wszystko coraz szybciej tylko po to, byśmy mogli śpieszyć się także w „czasie wolnym”. Ale czy zdajemy sobie sprawę, że dyktatura czasu rządzi nami także poprzez windy, używki i pilota telewizyjnego? Dobra lektura dla śpieszących się – można ją czytać z doskoku.

JAMES GLEICK „SZYBCIEJ. PRZYSPIESZENIE NIEMAL WSZYSTKIEGO”,
PRZEL. JACEK BIERON,
Zysk i S-ka, Poznań 2003

Podziemne oceany Marsa

A jednak jest woda na Czerwonej Planecie, i to w dużej ilości – twierdzą uczeni z Los Alamos National Laboratory. Na podstawie pomiarów wykonanych przez sondę Mars Odyssey sporządzili mapę marsjańskich wód (kolor zielony i żółty) – tyle że mają one prawdopodobnie postać lodu zmieszanego z glebą. W niektórych rejonach (kolor czerwony) stanowią aż 50 procent jej masy. Woda ta może zostać wykorzystana przez uczestników przyszłych lotów załogowych na Marsa – zarówno do picia (po oczyszczeniu), jak i do produkcji paliwa rakietowego (gdy zostanie rozłożona na tlen i wodór). Poza tym taka ilość wody daje naukowcom nadzieję, że kiedyś istniało jakieś życie na Marsie. Czy tak było, przekonamy się na przełomie roku, gdy na Czerwoną Planetę dotrą nowe sondy kosmiczne.



CHRISTINE GORMAN TIME

ZABÓJCA KOBIET

Nie, nie chodzi o raka piersi.
To na serce umiera
więcej kobiet niż łącznie
na wszystkie rodzaje nowotworów

ZAWAŁ

Mięsień sercowy otrzymuje krew dzięki sieci tętnic wieńcowych. Jeśli któraś z nich zostanie zatkana, komórki mięśniowe zaczynają umierać. Serce bije nieregularnie, a jeśli obszar zniszczeń jest duży, może całkowicie się zatrzymać. Zawał serca u kobiet występuje najczęściej o 10–20 lat później niż u mężczyzn, ale częściej kończy się śmiercią. Często nie pojawiają się charakterystyczne dla mężczyzn objawy – ból w klatce piersiowej i ramieniu oraz trudności z oddychaniem. Lekarze sądzą, że jest tak dlatego, iż przyczyną zawałów u kobiet częściej jest skurcz naczyń krwionośnych, a nie zator wywołany przez miażdżycę.



DUSZNICA

To termin medyczny oznaczający ból w klatce piersiowej pojawiający się, gdy serce nie otrzymuje odpowiedniej ilości krwi i tlenu. Dusznica może być pierwszym objawem choroby wieńcowej. Kobiety częściej od mężczyzn skarżą się na taki ból, ale rzadziej prawidłowo rozpoznaje się u nich dusznicę. Lekarze dopiero zaczynają zdawać sobie sprawę, że jakiegokolwiek ból w klatce piersiowej, nawet pojawiający się u młodej kobiety, może być sygnałem choroby serca.

ale istotne różnice w tym, jak kobiety układ krążenia reaguje na stres, hormony, nadmiar tłuszczów nasyconych czy toksyn, takich jak składniki dymu tytoniowego. Pojawiają się też całkiem poważne różnice w tym, na ile zdecydowanie lekarze traktują kobiety z chorobami serca – nawet w izbie przyjęć, kiedy najbardziej potrzebują pomocy.

Hormony nie pomagają

Jedną z przyczyn kłopotów mogą być kampanie społeczne, które skupiały się na raku piersi. Różowe wstążki, dramatyczne filmy dokumentalne i gorączkowe poszukiwania nowych leków dały kobietom przeświadczenie, że powinny się bać przede wszystkim nowotworu. O chorobie serca myśli się na ogół, że to „miły rodzaj śmierci, bo dokonuje się właściwie natychmiast i w podeszłym wieku, kiedy już masz życie za sobą”. To dalekie od prawdy. Większość kobiet nie umiera wskutek zawału czy udaru, a około jedna trzecia z nich przez lata jest niepełnosprawna i chora. Dlatego w USA i wielu krajach europejskich ruszyły kampanie uświadamiające kobietom, że powinny bardziej dbać o swoje serce.

Takie kampanie są niezbędne. W zeszłym roku, po wielu badaniach, okazało się, że pigułki zawierające kombinację estrogenów i progestagenu nie chronią przed chorobą wieńcową kobiet po menopauzie (testy dotyczące samego estrogenu wciąż trwają). Nagle to, co wydawało się najprostszym, najbardziej eleganckim rozwiązaniem dla starzejącego się kobiecego serca – czyli uzupełnienie hormonów, które kobieta produkuje przed menopauzą – po prostu zniknęło.

– Pomysł na zmniejszanie ryzyka chorób serca za pomocą terapii hormonalnej zastępczej odwrócił naszą uwagę od znacznie ważniejszych nawyków zdrowotnych – mówi doktor David Ashton z UK Women's Heart Study. – A chorobom serca przecież można zapobiec, tyle że nie pigułkami hormonalnymi.

Lekarze nie zaczynają więc walki z kobietami zawałami od zera. Leki obniżające poziom cholesterolu takie jak statyny i leki na nadciśnienie takie jak beta-blokery z pewnością pomagają i mężczyznom, i kobietom. Podobnie zresztą jak zdrowa dieta i dużo ćwiczeń. Na pierwszym miejscu listy czynników ryzyka wspólnych dla obu płci jest palenie. Zaraz za nim: cukrzyca, nadciśnienie, nadmierny poziom cholesterolu, nadwaga i brak aktywności fizycznej.

Niektóre czynniki wpływają jednak na kobiety znacznie poważniej niż na mężczyzn, niwecząc zupełnie ochronę, jaką przed menopauzą zapewniają im hormony. Przykładem mogą być papierosy. Christa Gohlke-

-Bärwolf z niemieckiego Herz-Zentrum w Bad Krozingen twierdzi, że nikotyna przyspiesza nadejście menopauzy o mniej więcej trzy lata. Szczególnie szkodliwa jest, gdy działa na organizm od wczesnych lat. Jeśli kobieta zaczyna palić przed 15. rokiem życia, ryzyko śmierci z powodu zawału czy udaru rośnie 10-krotnie.

Nadużywanie alkoholu też jest groźne. Badania angielskie wykazują, że w przypadku kobiet wypijających tygodniowo więcej niż 21 jednostek alkoholu (czyli kieliszków wina albo małych piw) ryzyko wystąpienia udaru mózgu rośnie o 70 procent.

Zawał inaczej

Kardiolodzy są przekonani, że wiedzą, skąd bierze się atak serca u mężczyzny. Kłopoty zaczynają się zwykle wtedy, kiedy wewnątrz tętnicy wieńcowej przez lata odkłada się nadmiar tłuszczu – czyli blaszka miażdżycowa. Przepływ krwi przez tętnicę staje się niestabilny, a w końcu dochodzi do jej zatkania.

Choć budzi to kontrowersje, część badań wskazuje, że miażdżycę może nie być równie ważna u kobiet. Lekarze od dawna dziwili się, że u niektórych pacjentek z zawałem – zwykle u tych, które nie przeszły jeszcze menopauzy – badania wykazują tylko niewielkie ślady miażdżycy. Być może problem polega na tym, że u kobiet mniejsze naczynia

U kobiet przyczyną zawału może być skurcz naczyń wieńcowych, a nie miażdżycę

wieńcowe znacznie łatwiej zaciskają się przy najmniejszym śladzie stresu, odcinając dopływ krwi do części serca.

Istnieje też możliwość, że miażdżycę u kobiet działa inaczej. U pań „śmięci” takie jak tłuszcze nasycone wtapiają się w tętnice bardziej równomiernie. – Ten proces przypomina to, w jaki sposób mężczyźni i kobiety tyją – mówi doktor Noel Bairey Merz z Cenars-Sinai Medical Center w Los Angeles. – Kiedy mężczyzna przybiera na wadze, wszystko idzie mu w brzuch. Kiedy tyje kobieta, ciała przybywa jej wszędzie: w kostkach, w biodrach, w przedramionach.

Być może więc kobiety nie mają potężnych skupisk szkodliwych produktów w naczyniach, które zabijają tak wielu mężczyzn we wczesnym wieku średnim, ale ciągle odkładanie się tych produktów w tętnicach może

Wystarczy zapytać kobiet, jakiej choroby boją się najbardziej, a zdecydowana większość odpowie bez wahania: raka piersi. Być może przytoczą nawet złowieszczą statystykę, że jedna na osiem kobiet zapada właśnie na ten nowotwór.

Jednak większość kobiet nie zdaje sobie sprawy, że znacznie bardziej powinny obawiać się chorób serca, które dotyczą co trze-

cią z nich. Co roku ponad dwa miliony kobiet w Europie umiera z powodu choroby wieńcowej. To 43 procent wszystkich zgonów, co w porównaniu z rakiem piersi (pięć procent) dobitnie wskazuje, co naprawdę najbardziej zagraża płci pięknej.

Ludzie na ogół wciąż uważają, że choroba wieńcowa to problem głównie mężczyzn, ale w rzeczywistości nigdy nie wybierała płci pacjentów. Co więcej, z wielu powodów to

schorzenie częściej kończy się śmiercią u kobiet niż u mężczyzn i to kobiety częściej stają się niepełnosprawne wskutek udaru czy nieydolności serca.

Subtelne różnice

Fakt, u kobiet pierwsze oznaki choroby serca pojawiają się zwykle dopiero po 60. roku życia – czyli blisko 10 lat później niż u mężczyzn. Prawdopodobnie w młodszy

wieku chronią je hormony. Jednak powszechne przekonanie, że kobiety przed menopauzą nie mają problemów z sercem, jest po prostu błędne. W samej Wielkiej Brytanii choroba wieńcowa zabija co roku półtora tysiąca pań przed 45. rokiem życia.

Im więcej naukowcy dowiadują się o kobiecym sercu i o tym, co może się w nim zepsuć, tym bardziej uświadamiają sobie, że kobiety to nie „mniejsi mężczyźni”. Istnieją subtelne,

Fot. JOE LERTOLA DLA „TIME MAGAZINE”

sprawić, że problem dopada kobiety w wieku lat 50, 60, 70, a nawet 80.

To nie serce

Zrozumienie, dlaczego u kobiet i u mężczyzn pojawiają się różne objawy chorób serca, okazuje się trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Część naukowców sądzi wręcz, że owe różnice są przesadzone. Jeśli kobieta nie jest przekonana, że może być chora na serce, nie będzie uważała swych dolegliwości za objawy choroby serca, nawet jeśli są podobne jak u mężczyzny.

Prawda jest taka, że klasyczny zawał spopularyzowany przez teatr i kino – kiedy to człowiek

Nawet wyniki badań cholesterolu są mniej czytelne u kobiet

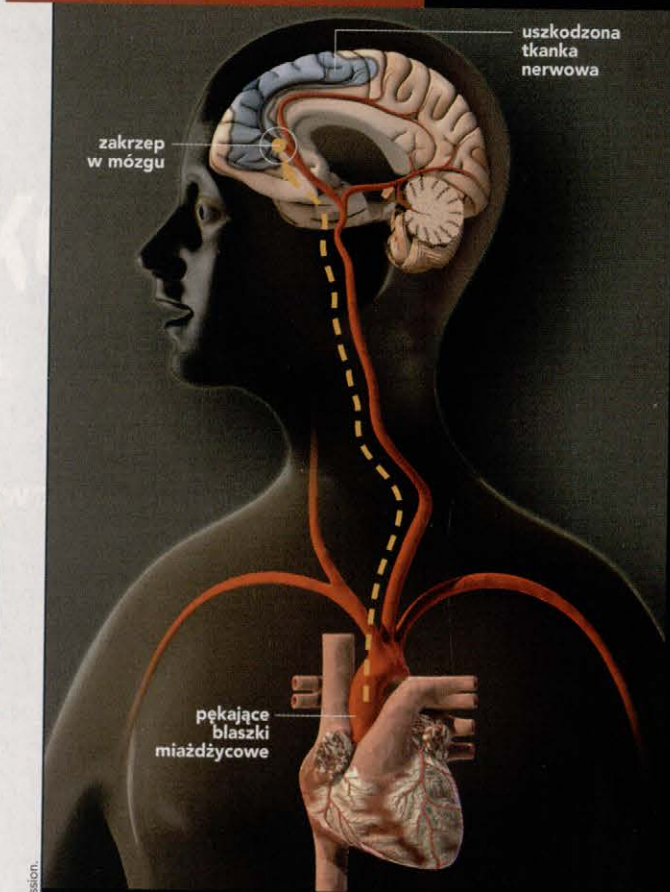
łapie się za pierś i upada na ziemię – to nie do końca prawda. – Połowa kobiet tego nie robi – mówi doktor Bairey Merz. – Ale w 40 procentach przypadków mężczyźni też nie mają typowego ataku serca.

Mężczyźni jednak od dziesięcioleci przyzwyczajają się do tego, że mogą dostać zawału, nawet kiedy czują się zupełnie zdrowi. O ile więc kobiety częściej odczuwają zapowiedź ataku serca w postaci przyspieszonego oddechu, nadmiernego zmęczenia czy uczucia podobnego do poważnej niestrawności, o tyle zwykle nie mogą uwierzyć, że owe objawy mają przyczyny sercowe. Co równie ważne, ich lekarze też często nie mogą w to uwierzyć. Nieraz odkładają niezbędne badania kobiet z zawałem serca albo nie dość intensywnie leczą takie pacjentki.

Najlepiej wie o tym 43-letnia Kathy Kastan, psychoterapeutka z Memphis w stanie Tennessee, która miała objawy klasyczne i te mniej powszechne. – Zauważyłam, że szybciej się męczę – mówi Kastan, która i kiedyś, i teraz często jeździ na rowerze, pływa, biega i chodzi. – Czasami musiałam przystawać, bo brakowało mi powietrza.

Po kilku wizytach u lekarza, który nie zorientował się, że pacjentka ma problemy z sercem, zemdląła kiedyś na ulicy podczas wakacji w Kolorado. – Złapałam się za pierś, obficie się pocila, czułam przeszywający ból w piersiach, wzdłuż ramienia i w górę, aż do żuchwy – mówi. Kiedy minęły jej te objawy, przypisała je temu, że znalazła się na większej wysokości nad poziomem morza.

W końcu po tym, kiedy zemdląła ponownie, przeszła bardziej kompleksowe i dokładniejsze



UDAR

Można go nazwać zawałem w mózgu. Zdarza się, gdy mózgowe naczynia krwionośne pękają lub zostaną zablokowane przez zakrzepy, które najczęściej pochodzą z serca. Jeżeli tkanka nerwowa zostanie pozbawiona tlenu, zaczyna obumierać. Efekt jest postępujące uszkodzenie mózgu, które może doprowadzić do paraliżu, a nawet śmierci. Kobiety częściej od mężczyzn umierają z powodu udaru (60 procent kobiet, 40 procent mężczyzn), mimo że to mężczyźni częściej go dostają. Lekarze nie są pewni, dlaczego tak się dzieje. Podejrzewają, że węższe naczynia krwionośne w kobiecych mózgach łatwiej ulegają zablokowaniu.

NIETYDOLNOŚĆ SERCA

Gdy serce nie jest w stanie pompować tyle krwi, by zaspokoić potrzeby organizmu, staje się przeciążone i powoli słabnie. Ponieważ za mało krwi wypływa z serca, zaczyna ona w nim zalegać, powodując jego powiększenie i niedokrwienie tkanek ciała. Pojawia się najbardziej charakterystyczny objaw – obrzęki nóg. Jedna piąta kobiet z niewydolnością serca umiera w ciągu roku od rozpoznania choroby. Zapewne dlatego, że trafiają do lekarza później niż mężczyźni i z bardziej zaawansowanymi zmianami. Z tego samego powodu dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn po zawale serca cierpi na jego niewydolność.



badania. Wykryto zwężenie w tętnicy wieńcowej, która w końcu wymagała by-passu, bo inne metody leczenia się nie powiodły.

Czas na zdrowie

Pół godziny aktywności fizycznej trzy razy w tygodniu obniża ryzyko choroby wieńcowej do 40 procent. Ale jak znaleźć na to czas? Szwedzkie badania pokazały, że u mężczyzn poziom hormonów stresu spada po powrocie do domu, a u kobiet rośnie, bo muszą się zmierzyć jeszcze z gotowaniem, sprzątaniem i opie-

ką nad dziećmi. A gdy nie ma czasu na ćwiczenia, pojawia się otyłość.

Nawet wyniki badania cholesterolu są mniej czytelne u kobiet. Choć wysoki poziom LDL, czyli tak zwanego złego cholesterolu, to doskonały wskaźnik pozwalający wykryć wysokie ryzyko choroby serca u mężczyzny, to kobiety najwyraźniej są bardziej wrażliwe na wysoki poziom tłuszczów zwanych trójglicerydami. Co więcej, kobiety o niskim poziomie HDL, czyli tak zwanego dobrego cholesterolu, są bardziej narażone na problemy z sercem niż mężczyźni.

Według amerykańskich zaleceń minimalny poziom HDL u kobiet i mężczyzn to 40 miligramów na 100 centymetrów sześciennych. Ale Christa Gohlke-Bärwolf twierdzi, że to za mało. – Mężczyźni powinni mieć 55 miligramów, a kobietom zalecam co najmniej 65 miligramów – mówi. Można to osiągnąć głównie poprzez dietę śródziemnomorską obfitującą w warzywa, owoce i tłuste ryby, takie jak łosoś czy tuńczyk.

Wigdy nie jest za wcześnie na profilaktykę. Badania prowadzone w Wielkiej Brytanii wykazały, że noworodki z niską wagą urodzeniową są bardziej podatne na rozwój chorób serca. Przyczyn zapewne jest kilka. Małe dzieci mają mniej komórek w nerkach, co zwiększa częstotliwość występowania nadciśnienia. Magazynują mniej cukru w mięśniach i wątrobie, a to z kolei sprzyja cukrzycy. I na dodatek częściej są narażone na stres w okresie noworodkowym.

Damski rozmiar

Na szczęście społeczność lekarska zaczyna przystosowywać się do nowych informacji o chorobach układu krążenia u kobiet. Te zagrożone zawałem można zidentyfikować dzięki nowemu testowi laboratoryjnemu na troponinę T – enzym uwalniany przez uszkodzone komórki mięśnia sercowego. Pozwala on wyłapać o 40 procent więcej przypadków niż dotychczas stosowane metody.

Kobiety mogą w końcu skorzystać z dobrodziejstw angioplastyki w takim samym stopniu jak mężczyźni. Angioplastyka to zabieg rozszerzania tętnic, podczas którego lekarze za pomocą cewników i baloników wprowadzają do naczyń rurki zwane stentami, które nie dopuszczają do zamykania naczyń. W przeszłości cewniki i stenty wykonywano tylko w jednym rozmiarze, takim, który pasował do większych tętnic u mężczyzn. W efekcie kobiety poddane takiemu zabiegowi częściej miały powikłania. Jeszcze do niedawna lekarze przepisywali kobietom i mężczyznom takie same dawki heparyny – leku na rozrzedzenie krwi. A to u kobiet prowadziło do krwotoków wewnętrznych. Mniejsze cewniki i stenty oraz niższe dawki heparyny powinny dać lepsze wyniki takich zabiegów u kobiet.

Same kobiety – i mężczyźni – też mogą wiele zrobić dla własnego zdrowia. Jednak dla kobiet najtrudniejszą rzeczą będzie zapewne pokonanie fałszywego poczucia bezpieczeństwa w latach przed menopauzą. A to może opóźnić początek choroby serca nawet o 10 lat.

CHRISTINE GORMAN

©2003. Time Inc. All rights reserved. Translated from TIME Magazine and published with permission of Time Inc. Reproduction in any manner in any language in whole or in part without prior written permission is prohibited.

Skróty i śródtytuły od redakcji.

LECZYĆ Z WYOBRAŹNIĄ

JAN STRADOWSKI: Czy w Polsce też rośnie liczba kobiet chorujących i umierających z powodu chorób serca?

JADWIGA KŁOŚ: Choroby układu krążenia, a szczególnie choroba wieńcowa i udar mózgu, są główną przyczyną zgonów u kobiet – jest ich ponadtrzykrotnie więcej niż zgonów spowodowanych nowotworami. Umieralność wzrasta wraz z wiekiem, choć u nas również zaznacza się trend wzrostu zachorowalności do 50. roku życia.

Wiadomo, dlaczego tak się dzieje?

– Z obserwacji epidemiologicznych wynika, że ogromne znaczenie ma nieprawidłowy styl życia. Kobieta z trudem dźwiga wyzwanie nowych czasów – musi zdobyć wykształcenie, następnie dbać o swoją karierę, a do tego realizować swoje życie

**Z doktor
Jadwigą
Kłóś,
przewodniczącą Sekcji
Polskiego
Towarzystwa
Kardiologicznego
– Choroby
Układu
Krążenia
u Kobiet
– rozmawia
Jan
Stradowski**



Doktor Jadwiga Kłóś uważa, że serca kobiet coraz częściej nie radzą sobie ze stresem

rodzinne. Wszystko to razem wywołuje ogromny stres.

A pigułki hormonalne? Miały chronić starsze kobiety przed zawałem, a podobno wcale tego nie robią.

– Chyba do końca tego nie wiadomo, bo badania amerykańskie dotyczyły niepełnej gamy leków możliwych do zastosowania. Ale istotnie, obecnie nie zaleca się stosowania hormonalnej terapii zastępczej w zapobieganiu i leczeniu chorób układu krążenia u kobiet.

Ale badania dowodzące, że choroba wieńcowa wygląda inaczej

u kobiet niż u mężczyzn, są chyba wiarygodne?

– Takie różnice istnieją, choć główne czynniki ryzyka są podobne. Jednak na przykład ryzyko zawału związane z paleniem papierosów jest wyższe u kobiet, a w Polsce obserwujemy wyraźny wzrost palenia, zwłaszcza u młodych kobiet. Kardiochirurdzy przyznają, że trudniej jest im operować kobiece serca.

Czyli kobiety należy leczyć inaczej niż mężczyzn?

– Raczej nie. Standardy postępowania w chorobach układu krążenia są takie same dla kobiet i mężczyzn.

Jak to? Skoro kobiety mają inne objawy, inny mechanizm rozwoju choroby, inne wyniki badań, to chyba powinny być inaczej traktowane?

– Postępowanie jest takie samo, ale u kobiet jest o tyle trudniejsze, że objawy są często nietypowe. Dlatego zarówno pacjent, jak i lekarz muszą mieć wyobraźnię i zarówno kobieta, jak i lekarz powinni domniemywać, że to, co się dzieje, może być zawałem. Mimo całego trendu w piśmiennictwie światowym dotyczącego dyskryminacji kobiet w leczeniu myślę, że obecnie w Polsce podobnego zjawiska nie obserwujemy.

A czy faktycznie jest tak, że kobiety zwlekają z pójściem do lekarza, bo nie wierzą, że mogą zachorować na serce?

– Niestety, tak. Dlatego potrzebne są wszelkie kampanie edukacyjne. Zapraszamy na najbliższą – IV Światowy Dzień Serca, który w tym roku wypada 28 września i poświęcony będzie zdrowiu kobiet. W czasie spotkań w Warszawie i Krakowie będziemy kładli – tak jak w Europie i Stanach Zjednoczonych – wielki nacisk na profilaktykę: właściwą dietę, rzucenie palenia, propagowanie ruchu i aktywności oraz dążenie do uporządkowania priorytetów w życiu.

Więcej o Światowym Dniu Serca – www.worldheartday.org

Na Helu można się czuć
jak na południu
Stanów Zjednoczonych

TRĄBY W WODZIE

Trąby powietrzne znamy doskonale – na szczęście tylko z telewizji, gdzie pokazywane są ogromne tornada szalejące w Stanach Zjednoczonych. Słynną aleję Tornado obejmującą środkową część USA nawiedza rocznie nawet 800 tornad. Wygląda na to, że okolice Helu możemy zacząć nazywać lokalną alejką.

Niemal co roku w czasie wakacji pojawiają się tam, niewielkie na szczęście, lejki sięgające z chmur aż do powierzchni morza. Wirują najczęściej nie dłużej niż kilkanaście minut, ale gdy znikną jedna trąbka, wkrótce pojawia się następna. Dopóki latają nad wodą, nie stanowią większego zagrożenia. Gorzej, gdyby wybrały się nad ląd. – Całe szczęście, że trąba nie poszła między Zatokę Pucką a Trójmiasto – mówi Longin Wójcik z Oddziału Morskiego IMiGW w Gdyni. – Silne prądy są w stanie przewrócić czy nawet przemieścić samochód osobowy.

Wiry powstające nad powierzchnią morza najczęściej nie wchodzą na ląd – zwykle przejście na twardy grunt powoduje gwałtowną zmianę układu ciśnień wewnątrz leja i jego załamanie się. Tak było w zeszłym roku – 14 września z północy nadleciała niewielka trąba, która w zetknięciu z plażą stała się grubsza, lecz jednocześnie oderwała się od ziemi i w ciągu kilku minut zniknęła.

Śsące chmury

Jak to się dzieje, że pod naszą szerokością geograficzną pojawiają się trąby powietrzne? Mechanizm jest ten sam co wszędzie. Na szczęście skala zwykle jest mniejsza niż w rejonach bliższych równika. Każdemu tego typu zjawisku towarzyszy charakterystyczna chmura – to jej przedłużeniem w stronę ziemi jest trąba. Są to cumulonimbusy – potężne,

Trąba, która pojawiła się w okolicach Władysławowa, na szczęście nie wyrządziła żadnych szkód. Gdyby jednak zamiast nad wodą pojawiła się nad lądem, plażowicze nie wypoczywaliby tak spokojnie

10 sierpnia nad Bałtykiem pojawiło się kilka trąb. Gdy jedna słabła, powstawały kolejne

gęste chmury przypominające kształtem wysokie góry czy wieże. Ich wierzchołki są zwykle spłaszczone i często rozszerzają się, nadając cumulonimbusowi charakterystyczny kształt kowadła o ciemnej podstawie. Taki typ chmur znają doskonale żeglarze, a także lotnicy – pod ich podstawą wieją zazwyczaj bardzo silne wiatry – często jeden niespodziewany podmuch może przewrócić żaglówkę lub porwać w górę nieostrożnego parolotniarza. Nieszczęśnik będzie pędził aż do chmury gnany wiatrem z taką samą prędkością, jakby spadał w dół. Właśnie takie silne, wstępujące wiatry odpowiedzialne są za powstawanie trąb powietrznych.

Czemu jednak tworzy się charakterystyczny lejek, a nie po prostu silny wiatr wiejący w linii prostej? Mechanizm jest taki sam jak przy tworzeniu się lejka podczas wypuszczania wody z wanny – cząsteczki są zasysane w dół (w wannie) lub w górę (w trąbie), jednak same też poruszają się ruchem poziomym. Poza tym nie znajdują się bezpośrednio pod punktem ssania, lecz dolatują do niego z boku. Z nałożenia tych dwóch kierunków ruchu powstaje spirala. W ten sam sposób opada wszystko, co jest zasysane do jednego punktu – nawet materia wpadająca do czarnej dziury.

Cumulonimbusy to ten sam rodzaj chmur, które wywołują burze. Dlatego trąbom powietrznym często towarzyszą pioruny i gwałtowne opady deszczu i gradu. Na szczęście chmura, która pojawiła się w pobliżu Helu, nie niosła ze sobą burzy. Inaczej byłoby w maju 2001 roku na Podhalu, gdzie trąba zniszczyła ponad sto budynków i wyrwała z korzeniami spory kawałek lasu. Towarzyszyły jej opady i wyładowania, które jeszcze powiększyły straty.

Z zaskoczenia

To, co sprawia, że domy, nad którymi przechodzi trąba, wręcz eksplodują, to różnica ciśnień. Wewnątrz leja jest ono niższe o ponad 100 hektopaskali. Gdy w budynku są zamknięte okna, pomieszczenie jest rozrywane przez wydostające się na zewnątrz powietrze. Zniszczenie sieje też wiatr – trąba wiruje nieraz z szybkością przekraczającą 400 kilometrów na godzinę.

Przed trąbą powietrzną trudno jest uciec – wir może przemieszczać się po ziemi z szybkością 200 kilometrów na godzinę, gwałtownie zmieniając kierunek ruchu. Zdarza się też, że pojawia się znienacka – wirujące powietrze nie jest widoczne, dopóki nie zassie ziemi lub wody albo ciśnienie wewnątrz leja nie spadnie na tyle, by nastąpiła kondensacja pary wodnej.

Takie niewidoczne wiry powstają często nad wodą. Początkowo jedynym znakiem tworzenia się leja jest ciemniejszy krąg na jej powierzchni. Niestety, jest on widoczny z pewnej wysokości, a więc człowiek znajdujący się na wodzie może być nieświadomy, że tuż obok coś zaczyna się dziać. W takim punkcie powietrze zaczyna wirować i lekko unosić się ku górze. Chwilę później z podstawy chmury zaczyna wysuwać się lejek. Mimo że wir utworzył już trąbę sięgającą wody, może pozostawać niewidoczny. Dopiero gdy wiatr osiągnie prędkość ponad 60 kilometrów na godzinę, zaczyna podrywać drobiny wody i tworzyć charakterystyczny kształt słupa.

Gdy trąba przesuwa się po wodzie, powstaje ciekawe zjawisko. W miejscu, po którym przed chwilą przeszła, zaczynają pojawiać się bąbelki. To efekt zmiany ciśnienia – wewnątrz trąby jest ono niskie, a więc w wodzie lepiej rozpuszczają się gazy. Gdy wir przesunie się dalej, ciśnienie gwałtownie rośnie, a gaz wydziela się w postaci pęcherzyków. Z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w butelce wody mineralnej – gdy tylko ją odkręcimy, ciśnienie spada i wydziela się gaz.

Nadmorskie trąby na szczęście nie spowodowały żadnych strat, jednak nie należy ich lekceważyć. Mający sporą siłę wir mógłby unieść kąpielącego się człowieka na wysokość kilkudziesięciu metrów. – Ratownicy i kąpiący się powinni być świadomi, że gdy takie zjawisko pojawi się w zasięgu wzroku, warto je obserwować, ale z bezpiecznego miejsca – ostrzega Longin Wójcik. – Nie można stawać pod drzewami, nie wolno też pozostawać w morzu.

Oby nasze nadmorskie trąby pozostały tylko oswojoną wersją kataklizmu albo jeszcze jedną turystyczną atrakcją.

PIOTR STANISŁAWSKI

TRĄBA POWIETRZNA

– silny wir powietrzny, który powstaje pod chmurą burzową i sięga od jej podstawy do ziemi lub powierzchni wody. W odróżnieniu od niewielkich wirów powstających przy ziemi trąba rozszerza się ku górze.

TORNADO

– lokalna nazwa trąby powietrznej występującej w południowo-wschodniej części USA i nad Zatoką Meksykańską.

CYKLON

– układ wiatrów wiejących wokół ośrodka niskiego ciśnienia zwanego okiem cyklonu (w którym panuje bezwietrzna pogoda). Wiatry wiejące w cyklonie osiągają 360 kilometrów na godzinę, towarzyszą im bardzo silne opady deszczu powodujące powódzie. Zwykle cyklony wywołują znacznie większe straty niż trąby powietrzne – w 1970 roku cyklon w Pakistanie spowodował śmierć 300 tysięcy osób.

TAJFUN

– lokalna nazwa cyklonu występującego w północno-zachodniej części Oceanu Spokojnego.



[odjazd]

Niebiański Francuz

W nowym kabrioletcie Renault MÉGANE CC kierowca ma niebo nad głową nawet podczas strasznej ulewnej i wcale nie moknie! A wszystko za sprawą składanego dachu, który nie jest zrobiony z metalu, lecz z grubego szkła (3,15 mm). W Mégane dach składa się w 22 sekundy i kotwicz się automatycznie do słupków. Około 80 tysięcy złotych www.renault.pl
W Polsce w sprzedaży od września

[zabawa]

Pomarańczowy szpieg

Idealna zabawka na wakacje nad wodą. Łódź podwodna RADIO CONTROLLED SUBMARINE nie ma torped, więc nie zagraża amatorom kąpiele. Jest mała, zwinna oraz cicha, bo zasilają ją baterie. Można nią sterować z brzegu lub na przykład z roweru wodnego. Łódź jest pomarańczowa, więc widać ją nawet w mętnej wodzie. Około 130 złotych www.gadgetshop.com



[pomysł]

Okrągły kieliszek
LE GRAND BLOB to wymarzony shaker na integracyjne imprezy w niewielkim gronie. Wystarczy zmieszać odpowiednie drinki, a potem, zamiast przelewać go do kieliszków, wypić prosto z „mieszadełka”. Shaker firmy MIAM MIAM ma cztery ustniki. www.miam-miam.org



[od rzeczy]

Zamiast grzywy

To nie jest żart! Okulary dla psów niemieckiej firmy DOG GOES są hitem tego lata. Producenci nie nadążają z realizacją napływających tysięcy zamówień. Okulary wyglądają jak gogle, a dzięki specjalnie zaprojektowanym elastycznym paskom nie spadają z psich oczu. Cena zależy od rozmiaru – najtańsza para kosztuje około 300 złotych. www.dog-goes.com



Dla Bonda
Zegarek WQV-10 firmy CASIO ułatwi pracę każdemu agentowi specjalnemu. Ma wbudowany miniobiektyw z dwukrotnym zoomem. Zegarek robi zdjęcia, które wyświetla w kolorze na cyfrowym ekranie. Wyświetla je za pomocą podświetlenia i przesyła je do drukarki. Zapamiętuje sto zdjęć. Jest wodoodporny. 1395 złotych
W salonach Casio



[wylizanka]

**PIĘĆ POMYSŁÓW...
JAK ZORGANIZOWAĆ
NIEBANALNY PIKNIK**

1. Kup na giełdzie samochodowej nieprodukowaną już toyotę picnic. W japońskim wanie zmieścisz siedem osób, dziecko, gigantyczny koszyk piknikowy, a może nawet parasol (model z 2000 roku kosztuje 50 tysięcy złotych).

2. Zamów przez Internet płytę hiszpańskiej piosenkarki Jeanette z zespołu Pic-Nic. Zasłoń okna, połóż się wygodnie, a hipisowskie ballady buntowniczkę z gitarą wprowadzą cię w stan nirwany (płyta Pic-Nic na www.fnac.es kosztuje około 80 złotych).

3. Zarezerwuj pokój w indyjskim hotelu Picnik w południowym Chennai (dawny Madras). Przed wylotem nie zapomnij powiadomić szefa, że to nie będzie krótki relaks doba w standardowym pokoju – około 70 złotych).

4. Zorganizuj słodki piknik w każdym sklepie ze słodyczami znajdziesz czekoladowe batoniki Picnic firmy Cadbury. Pudełko jakości rozleniwia cię na resztę dnia (baton – 2 złote).

5. Zaproś znajomych na Piknik pod Wiszącą Skalą – film z 1975 roku o trzech dziewczętach, które znikają bez śladu w Dniu Świętego Walentego w 1900 roku. Podczas projekcji wyjdź po cichu. I nie wracaj (6 złotych – kaseta z wypożyczalni).

Na niebanalny piknik
przygotuj**50 158** złotych.

[pop moda]

Retrokomputery

W co bardziej tradycyjnych domach widuje się jeszcze taki obrazek: w kąciu na szafce stoi dla ozdoby stareńka, najlepiej przedwojenna, maszyna do pisania. Jack Tramiel, emigrant z Polski,

z pochodzenia Żyd (przeżył Oświęcim), zaczął od remontowania takich właśnie maszyn. Od lat 60. kierował amerykańską firmą Commodore, a później koncernem Atari – stworzył imperium 8-bitowych komputerów domowych, które w latach 80. chciał mieć każdy. Dziś produkowane przez niego maszyny zajęły miejsce jako ozdoby mieszkań albo przedmioty z kolekcji trzydziestolatków.

Komody i spektrumny

Bez wgłębiania się w technologię pierwszych komputerów domowych – były to urządzenia dość prymitywne.

Programy wgrywały się za pośrednictwem magnetofonu. W Polsce kasety z nimi można było kupić na bazarze (były lata 80.) albo nagrać z nadawanej przez radio audycji „Radiokomputer” (!). Nie było twardych dysków, a stacje dysków były drogie i trudno dostępne. Ale wraz z modą na lata 80. te stare pudełka wracają. Po pierwsze, można zaopatrzyć się w emulatory – programy, które pozwolą zagrać w większość gier z 8-bitowych komputerów, w tym kultowe „Arkanoid”, „Boulder Dash” czy „River Raid” – i uruchomić programy użytkowe na współczesnym pececie. Po drugie, same maszyny, które kiedyś były bardzo popularne (Commodore’a C64 sprzedano w blisko 20 milionach egzemplarzy, ma on wciąż około sześciu milionów użytkowników), ciągle są dostępne i niezawodne. Po trzecie, ich posiadanie to dowód przeciwstawiania się bolesnemu trendowi – że wszystkie komputery muszą być takie same. Fani retrokomputerów to zorganizowany ruch. Impreza Vintage Computer Festival (ostatnia edycja w maju tego roku w Monachium) zbiera największych fanatyków 8-bitowców z całej Europy. Obejmuje wystawy, prelekcje i giełdę. Coraz

więcej też kolekcjonerów starych „kompów”. O tym, że w Polsce mamy prawdziwych zbieraczy „komód” (Commodore’ów), „atarynek” (Atari) i „spektrumien” (ZX Spectrum – nazywane też „gumiakiem” od gumowych klawiszy), przekonać się można, odwiedzając strony www.8bit.pl, www.pawel.tpi.pl i www.nostalgia.pl. Na zachodzie Europy są już specjalne sklepy dla miłośników komputerów retro. W Polsce – od niedawna – oddzielne stoiska na giełdach komputerowych.

Sprzedać? Trzymać!

Kolekcje to spełnianie młodzieńczych marzeń.

Kiedyś Commodore, Spectrum czy Atari to był wydatek rządu 500 dolarów. Dziś stać na nie każdego. Commodore C64 kosztuje około stu złotych, cały zestaw ZX Spectrum (48 kB pamięci – jakieś trzy tysiące razy mniej niż przeciętny współczesny pecet!) to zaledwie 50 złotych. Atari 65 XE – 50 złotych. Hasło na pudełku: „Bezcenna moc”. Przy odrobinie

szczęścia każde z tych urządzeń można kupić za parę złotych na targu. Jest jeszcze polski Elwro 800 Junior, który pomagał wprowadzać komputery do szkół. Był to z grubsza komputer przypominający ZX Spectrum, ale zamknięty w obudowie zastępczej – jak przystało na lata 80. Obudowa pochodziła z muzycznych organów Elwirka. Miała nawet podstawkę na nuty! Dziś – aż 80 złotych. Commodore upadł w połowie lat 90., marka Atari przechodziła z rak do rąk. Teraz wracają. W przygotowaniu jest reaktywacja słynnego Commodore’a C64. Firma Atari wróciła jako ważny producent gier wideo – choćby przebojowej „Enter The Matrix”, gry uzupełniającej historię znaną z dwóch filmów braci Wachowskich. Z niepokojem patrzyłem dotąd na kolegę, który trzyma C64 w korytarzu pod lustrem, dla ozdoby. Teraz chyba sam coś takiego nabędę, bo to niezła lokata kapitału.

BARTEK CHACIŃSKI





Czego potrzebuje
nowoczesna
Businesswoman?



SIEMENS SL 55



Jesteś kobietą biznesu, prowadzisz aktywny tryb życia ale równie ważny jest dla Ciebie kontakt z rodziną. Jesteś wymagająca i szukasz niebanalnego stylu. Siemens SL55 to telefon z charakterem i klasą. Spełni wszystkie Twoje oczekiwania. Teraz dostępny w promocyjnej cenie w ofercie Era Biznes.



BIZNES
Możesz więcej

„CIAŁA” HISTORIA

Na wezwanie „Przekroju”
spowiada się **ANDRZEJ SARAMONOWICZ**,
scenarzysta i reżyser, współtwórca filmu
„Ciało” już porównywanego do „Rejsu”

ZDJĘCIA IGOR OMULECKI

Andrzej Saramonowicz: Urodziłem się 23 lutego. Moja matka nie wiedziała, że to święto Armii Czerwonej. Poszedłem do podstawówki jako nadrozwinęty sześciolatek. W trzeciej klasie dałem się jednak namówić na rolę Wróbelka w przedstawieniu karnawałowym. W środku najważniejszej kwestii pękły mi rajstopki. Do samej matury pozostawałem na wewnętrznej emigracji.

Gdy nie dostałem się na studia po raz pierwszy, postanowiłem, że będę chirurgiem. I zatrudniłem się jako sanitariusz na bloku operacyjnym. Nosilem w koszyku odcięte nogi, piersi i inne narządy – taki patomorfologiczny Czerwony Kapturek. Po tym na medycynę nie zdawałem. Przez wiele lat nie wiedziałem, co chcę w życiu robić.

BYŁEM OPERATOREM MŁOTA

Wiele rzeczy za łatwo mi przychodzi. To niebezpieczny stan, bo wydaje się wówczas, że wszystko jest w zasięgu ręki bez najmniejszego wysiłku. I z tej lekkomyślności ponosi się porażki. Nie dostałem się też na prawo i na polonistykę, bo mi się nie chciało systematycznie uczyć, zwłaszcza że żadne z tych studiów specjalnie mnie nie interesowały. Rodzice dostawali palpacji serca. By uciec przed wojskiem, trafiłem do samochodówki, a potem zdałem na historię. Ale

jej nie skończyłem, bo w trakcie studiów zachłsnąłem się dorosłością, jaką dała mi praca w „Gazecie Wyborczej”. Początek lat 90. to fascynujące momenty budowania wolnego państwa i niezależnego dziennikarstwa. Jednego byłem baczny obserwator, drugiego – uczestnikiem. I warsztatowo cholernie dużo w „Gazecie” się nauczyłem, co wykorzystuję teraz w pisaniu dla filmu i teatru. A młotem pneumatycznym pracowałem w elektrociepłowni Żerań jako student. Młot nazywał się Archimedes. Ciekawe, jak nazywał się młot, który to wymyślił?

JAK ZOSTAŁEM FILMOWCEM

W 1992 roku z moim przyjacielem Grzegorzem Łoszewskim postanowiliśmy napisać scenariusz. Nie mieliśmy komputerów, więc Grzesiek przyjeżdżał do „Gazety” po moich dyżurach i nocą pisaliśmy tam opowieść o karpackich góralach. Producent, któremu ją pokazaliśmy, powiedział, że interesują go wyłącznie współczesne historie. Więc napisaliśmy „Iarot” – rzecz o agentach, co w 1993 roku było bardzo ważne. To była historia o młodym chłopaku, który w domu zmarłego dziadka, listonosza, znajduje niewysłane listy z lat 50.–80. – donosy mieszkańców małej miejscowości adresowane do Urzędu Bezpieczeństwa. Dziadek, domyslał się, co jest w listach, nie przekazywał ich dalej, być może ratując życie

wielu osobom. Chłopak postanawia opublikować listy jako własne opowiadania, dostaje nagrody. Ale przychodzą anonimy, żeby nie drukował kolejnych – okazuje się, że w tych historiach odnajdują się dawni nadawcy donosów, dziś prominentne osoby życia publicznego.

Telewizja kupiła od nas ten pomysł, ale po dwóch latach obietnic, zwodzeń i nakazów niestannych poprawek machnąłem na to ręką. W międzyczasie odszedłem z „Gazety”, byłem rzecznikiem prasowym festiwalu w Opolu i Sopocie i robiłem w „Jedynce” programy filmowe. I właśnie na telewizyjnych korytarzach poznałem Tomka Koneckiego i Tomka Madejskiego.

O Koneckim słyszałem już wcześniej. Kiedy pracowałem w „Gazecie”, Maciej Chmiel, wówczas z Programu 1 TVP, zapytał, czy nie opisałbym programu „Swojskie klimaty”, bo prowadzi go taki fajny fizyk. Pomyślałem: „Dlaczego mam opisywać jakiegoś fajnego fizyka? Sam jestem fajny, a nikt mnie nie opisuje”. Potem się okazało, że tym fizykiem był Konecki.

Chmiel nie kłamał – Tomek Konecki rzeczywiście okazał się bardzo fajny. Poza tym przypominał mi mojego przyjaciela z liceum. Okazało się, że mam kobietą niemal intuicję – jeszcze w szkole średniej Tomek chodził z dziewczyną, z którą był też ten mój przyjaciel. A która – jak mi wyznała po latach – i do mnie odczuwała pewną słabość. Nasze losy płatały się od dawna. Dziś łączy nas z Koneckim wielka przyjaźń.

JAKO SFRUSTROWANY KRYTYK

Jako krytyk filmowy, który pisał nierealizowane scenariusze, jeździłem na Festiwal Filmów do Gdyni i frustrowałem się, bo widziałem filmy, które powstawały na podstawie historii znacznie gorszych niż moje. Myślałem: „Cholera, dlaczego nikt nie chce dać mi szansy, a dostają ją ludzie, którzy wielokrotnie zawiedli?”. Chodziłem do producentów i mówiłem: „Zaufaj mi, a będiesz na mnie zarabiał”, lecz oni patrzyli na mnie jak na głupka. A od czasów „Pół serio” bez względu na to, czy mam szansę na nagrodę, czy nie, siedzę na gdyńskim festiwalu spokojnie. Bo robię swoje. Bo odnalazłem sens swojej pracy. Bo wiem, że ta część mnie, która jest zawodem, idzie w dobrą stronę.

„Pół serio” zrobiliśmy z Koneckim i Madejskim podstępem. Mieliśmy w „Jedynce” magazyn filmowy o tym samym tytule. Powiedziano nam, że nie mogą to być same „gadające głowy trujące o teoretycznych problemach kina”, tylko że „ma być żywo”. No to zaproponowaliśmy, że dodamy scenki fabularne ilustrujące dyskusje krytyków. Kiedy oni o kinie kobiecym, to my filmik o tym samym, kiedy oni o fenomenie „Gwiezdnych wojen”, to my wariację na ten temat. Robiliśmy to przez rok – jeden dzień zdjęciowy w miesiącu. Wiedzieliśmy, że powstanie z tego fabuła i że któregoś razu przyjdziemy do szefów Programu 1 TVP, położymy im na biurku kasety i powiemy: „Wyprodukowaliście film. Możecie go wyrzucić lub wyemi-

tować”. I tak zrobiliśmy. Radosław Piwowarski, który wówczas w „Jedynce” rządził, zdecydował się wysłać nas do Gdyni. Tam jury pod kierownictwem Juliusza Machulskiego dało nam koszt nagród. Oba panom jesteśmy wdzięczni, bo pomogli nam wejść w „mainstream” polskiego kina.

„DZIURA MAJOWA”

Niestety, po Gdyni telewizja – której „Pół serio” spadło z nieba, bo powstało za cenę programów telewizyjnych (łącznie około 200 tysięcy złotych) i jako fabuła nie kosztowało nic – tak długo kłóciła się o pieniądze z dystrybutorem, że film trafił do kin dopiero pół roku od festiwalu i od razu wpadł w „dziurę majową”, kiedy nikt w Polsce nie chodzi do kina, bo są komunie, czas randek i długi polski weekend. „Pół serio” obejrzało więc „tylko” 50 tysięcy widzów. Wtedy byłem rozczarowany, ale teraz – kiedy widzę zestawienie z innymi filmami offowymi, na które idzie tysiąc, dwa tysiące widzów – myślę, że to był niezły wynik. To jest zresztą film, który jako odezwany od rzeczywistości za oknem się nie starzeje. Jestem przekonany, że z biegiem lat będzie się podobał coraz bardziej.

Na „Pół serio” nie zarobiliśmy ani grosza, bo zrekliśmy się praw finansowych za możliwość wypuszczenia filmu do kin. Uznaliśmy, że korzyść będzie większa i nie pomyliliśmy się. Chcieliśmy zrobić „Ciało” – scenariusz, który napisałem już w 2000 roku – a nagrody za „Pół serio” spowodowały, że zaczęliśmy być brani pod uwagę. Wcześniej to było niemożliwe. Kto dałby zrobić film fizykowi i dziennikarzowi?

JAK POWSTAŁO „CIAŁO”

Latem 1997 roku napisałem parę odcinków „13. posterunku”. Wtedy Paweł Mossakowski z Canal Plus zaproponował mi napisanie dużej fabuły. Jestem mu bardzo wdzięczny nie tylko dlatego, że mi zaufała, ale przede wszystkim za to, że zawsze mnie wspierał, mówiąc, bym się nie załamywał kolejnymi odmowami. A było

ich sporo. Scenariusz „Ciała” skończyłem w styczniu 1998 roku. Od razu zaproponowaliśmy go z Mossakowskim Markowi Piwowarskiemu, ale powiedział, że to nie jego poczucie humoru. A potem jeszcze Juliuszowi Machulskiemu, Maciejowi Ślesickiemu, Radosławowi Piwowarskiemu i Olafowi Lubaszence. Też nie chcieli, argumentując, że polski widz potrzebuje czegoś prostszego.

Zresztą po nagrodach w Gdyni za „Pół serio” też nie było łatwo. W lipcu 2001 roku produkowania „Ciała” odmówił TVN. Dostaliśmy wówczas z Koneckim kuriozalny list, w którym zalety scenariusza okazały się jego wadą: „Od dawna nie trafił do nas materiał literacki tak świeży i odmienny od scenariuszy,

„Ciało” nie miało być źródłem refleksji, tylko źródłem śmiechu

które krążą na rynku. Naszą stację adresujemy jednakże do masowego odbiorcy, tymczasem Pański projekt niesie ze sobą ryzyko dotarcia tylko do widowni niszowej”. Zamiast nas TVN wyprodukował wówczas „Gulczas, a jak myślisz?”... Dopiero latem 2002 roku spotkaliśmy Mariusza Łukasiewicza, finansistę o artystycznym usposobieniu, który dał nam na „Ciało” własne pieniądze, i produkcja ruszyła.

Lubię żart na granicy dobrego smaku. Pamiętam notkę, którą redagowałem w „Gazecie”

w grudniu 1991 roku, o dwóch mężczyznach z Rumunii, którzy oblawszy zwłoki alkoholem, usiłowali je przewieźć pociągiem osobowym, wmawiając współpasażerom, że delikwent jest nietrzeźwy. Dałem do tego tytuł „Pijany w trupa” i następnego dnia dostałem ochrzan w redakcji, że nie można tak sobie żartować. Zapamiętałem to i nierzaz myślałem, co by było, gdyby coś się jeszcze w drodze z tym trupem stało. Kiedy Mossakowski zaproponował mi napisanie scenariusza, pomyślałem, że połączę tę historię z dziejami braci syjamskich, z których jeden jest złodziejem, a drugi uczciwym człowiekiem, i babci-kilerki. Tak powstało „Ciało”.

DWA ZAMACHY

Miesiąc temu Stefan Laudyn, szef Warszawskiego Festiwalu Filmowego, dał mi kasety z rosyjskim filmem „Mechaniczna suita” z 2001 roku, w którym też jest trup w pociągu, również walizka spada mu na głowę, a właściciel walizki przekonany, że jest zabójcą, wyrzuca zwłoki przez okno. Bardzo chciałbym, żeby ten film ktoś ściągnął do Polski i pokazał obok „Ciała”. Widzowie mieliby niezłą zabawę.

Takie przypadki są niesamowite. Na początku lat 90. pisałem opowiadanie, w którym bohater twierdzi, że gdyby nie udany zamach dokonany na Adolfa Hitlera w 1934 roku, świat byłby lepszy i spokojniejszy, a jego rodzina nie przeżywałaby żadnych tragedii. Taki rodzaj alternatywnej wersji historii. Zarzuciłem to, właśnie zacząłem pracować w „Gazecie”

i redagowanie całkowicie mnie pochłonęło. Jakie było moje zdumienie, kiedy wiele lat później przeczytałem powieść Macieja Lepianki „I w następnym dniu”, w której również Hitler ginie w zamachu, i to w dodatku tego samego dnia – 14 czerwca 1934 r.! Z tym że jego o godzinie 14.15, a mój kilkadziesiąt minut wcześniej. To zdumiewający przypadek i długo o nim myślałem – że może nawet w świecie fikcji są jakieś determinanty i ograniczenia, których przeskoczyć się nie da.

KOMEDIA TO DESER

„Ciało” jest komedią o trupie. Nie bałem się o tym pisać, bo dla mnie śmierć, umieranie, zwłoki to nie są tematy tabu. Nie mam w sobie lęku przed śmiercią jako stanem. Boję się bólu, cierpienia, umierania jako stanu długotrwałego. Niebýt mnie nie przeraża. Przykre jest jedynie to, że następnego dnia wstanie słońce, ludzie wyjdą na ulice i będą siedzieć w knajpach, w których nas nie będzie. Łatwiej byłoby mi zginąć w towarzystwie, na przykład w katastrofie atomowej, która pochłonie całą ludzkość.

W moim ulubionym skeczu Monty Pythona przychodzi facet do zakładu pogrzebowego z matką w worku i chce ją pochować. A w zakładzie proponują mu, że lepiej ją zjeść. To absurdalnie koszmarnie, ale jeżeli pokonasz granicę lęku i obrzydzenia, to zaczynasz chichotać. „Ciało” nie miało być źródłem refleksji, tylko źródłem śmiechu. Komedia to deser, a od deseru nie wymaga się, żeby nas nasycił, tylko żeby uprzyjemnił ucztę.

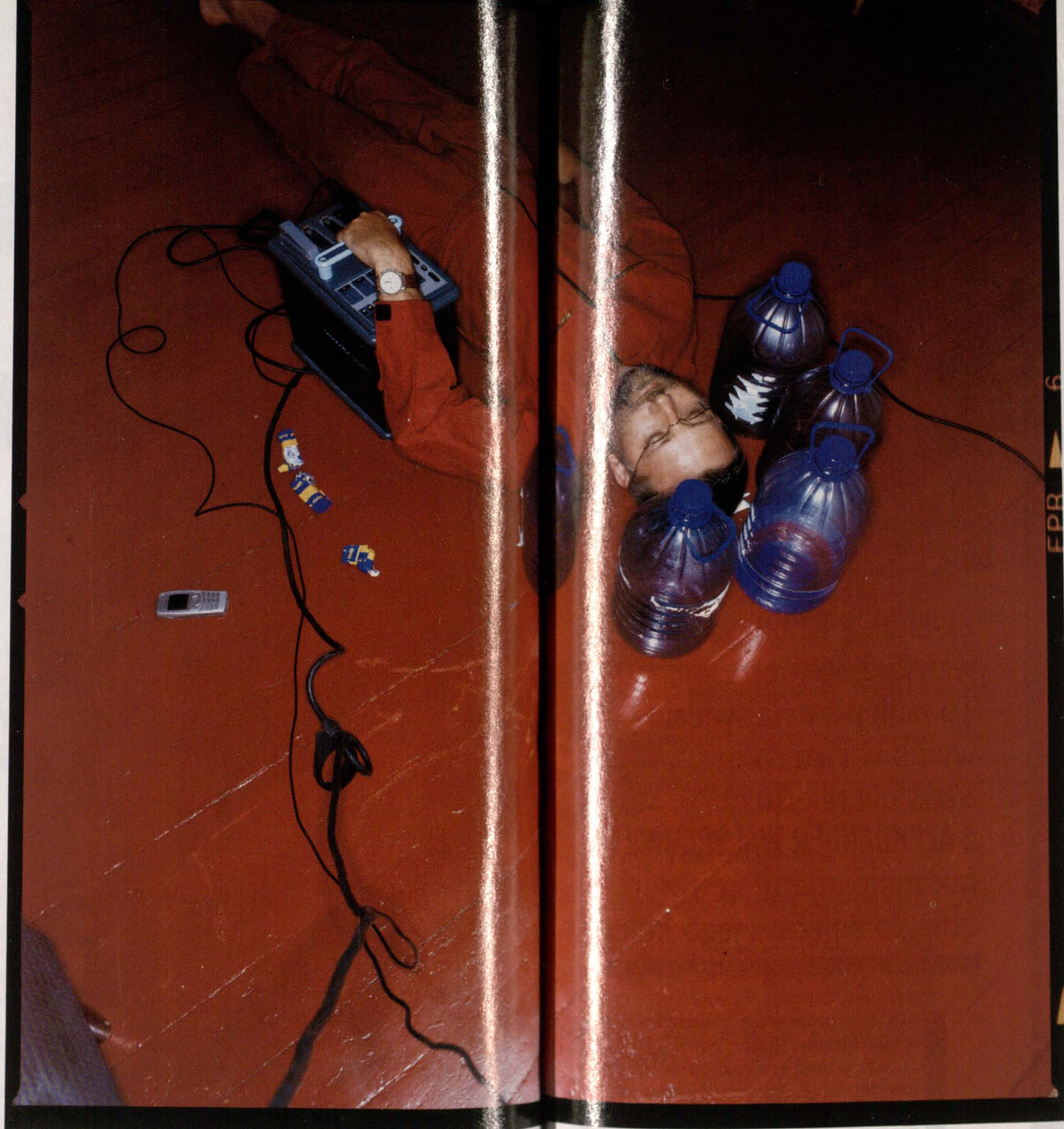
JESZCZE ZROBIMY POWAŻNY FILM

Sztukę „Testosteron” napisałem, by nie paść w depresję. Po Gdyni zrobiło się wielkie halo, ale ciągle nikt nie chciał zrealizować „Ciała”. Więc postanowiłem spróbować w teatrze. Spotkałem się w knajpie z Rafałem Rutkowskim, aktorem z teatru Montownia. Powiedziałem mu, że mam pomysł na film o facetach, którzy siedzą i gadają o kobietach, coś jak „Piwne rozmowy braci McMullen” albo „Sprzedawcy”. Że chcę opowiedzieć, jak trudno jest myśleć o sprawach wzniosłych i duchowych, kiedy hormony cię pchają w zupełnie inną stronę. Rafałowi oczy się zaświeciły: „A może zrobić to w teatrze?”. To był superpomysł – tekst napisałem w trzy tygodnie, a premiera była za cztery miesiące. Cztery miesiące, a nie lata, jak w filmie! „Testosteron” dał mi bardzo dużo – przez rok sto spektakli, zawsze pełna widownia, niektórzy przychodzili po wiele razy. Ja też! Widok sali wyjącej ze śmiechu był mi potrzebny. Dawał potwierdzenie, że moja praca ma sens...

Teraz napisałem sztukę „Polska, 2 maja” dla Teatru Narodowego. Ogromne przedsięwzięcie, ponad 20 aktorów, wielka dekoracja. Premiera ma być w styczniu, reżyserować będzie Agnieszka Glińska, która robiła też „Testosteron”. To bardzo poważna rzecz – chciałbym uniknąć opinii, że jestem „panem od rozśmieszania”. Nie dam się wepchnąć do żadnej szuflady, dlatego w przyszłym roku z Koneckim i Madejskim zrobimy film poważny – „Krzyż”, którego bohaterem jest ksiądz, wspaniały i pełen charyzmy, który staje przed wielkim dylematem moralnym i religijnym.

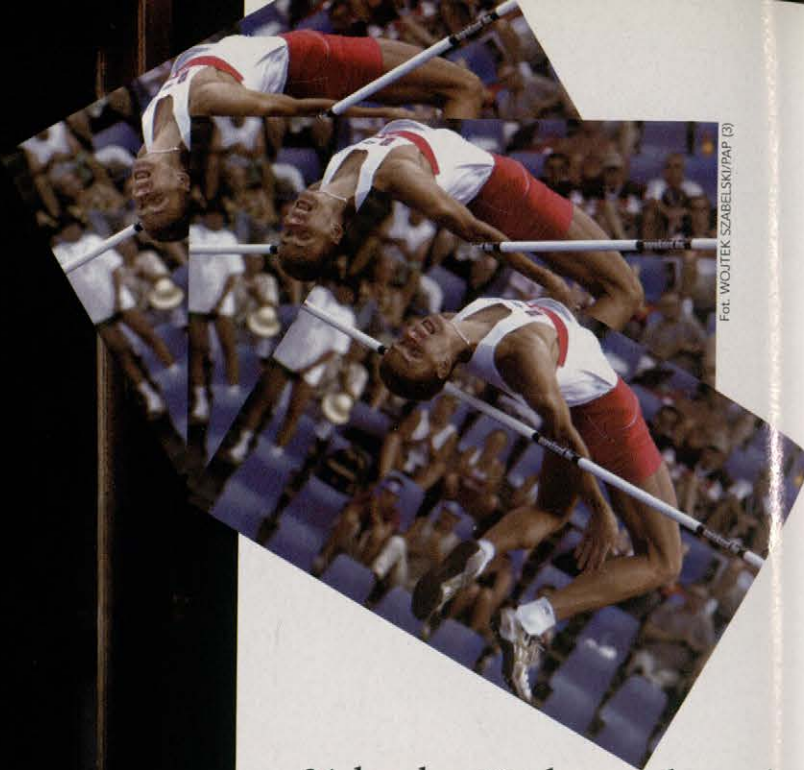
NOTOWAŁ OLGIERD NIEWIADOMSKI

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl





ALEKSANDER WIELKI



Fot. WOJTEK SZABELSKI/PAP (3)

21-latek z Krakowa skoczył
wzwyż 2,36 metra.
To najlepszy na świecie
wynik w tym roku.
Szok był tak duży,
a **ALEKSANDER WALERIAŃCZYK**
tak mało znany, że świat
obiegło zdjęcie... jego koleg

Jeszcze w czerwcu na otwartych mistrzostwach Krakowa skoczył ledwie 2,15 metra. Miesiąc później pojechał na młodzieżowe mistrzostwa Europy do Bydgoszczy, ale w zwycięstwo wierzył tylko trener Piotr Bora. Gdy Waleriańczyk po raz drugi wziął rozbieg, aby skoczyć 2,36 metra, operatorzy telewizji włączyli kamery tylko z obowiązku. I wtedy wydarzył się cud.

21-latek żwawo podbiegł do skoczni. Przez ułamek sekundy wisiał nad poprzeczką. Gdy spadał na materac, po policzku trenera już płynęła pierwsza łza szczęścia. Podopieczny Bory właśnie przeskoczył 2,36 metra, a to znaczyło, że Polak – z dnia na dzień – niespodziewanie stał się jednym z najlepszych na świecie skoczków. Na sierpniowe mistrzostwa świata w Paryżu polski zawodnik pojedzie jako faworyt. Ten sukces oznacza jednak coś znacznie ważniejszego. Waleriańczyk już zapowiada, że 2,40 metra nie stanowi pułapu jego możliwości. Jeżeli mu się uda, uratuje całą dyscyplinę sportu. Przez kilka ostatnich lat nad skokami zawisła ciemna chmura. Okazało się bowiem, że rekordy w skoku wzwyż zawodnicy zdobywali na koksie.

Nie nie zapowiadało, że Alik – jak nazywa młodzieżowego mistrza Europy mama – będzie skakał wzwyż. Wydawało się raczej, że jego przeznaczeniem jest pływanie.

MOJE GACIE

Gdy miał półtora miesiąca, rodzice zabrali go nad jezioro. Chłopakowi kąpiel w lodowatej wodzie bardzo się spodobała. Gdy miał kilka lat, pływał już doskonale. Zapisany do szkoły sportowej wygrywał międzyszkolne zawody bez treningów. Zanim jednak dał się poznać jako zawodnik, zasłynął jako podwórkowy łobuziak i kłopotliwy uczeń. – Ze starszym o rok bratem stanowili mieszkankę wybuchową – wspomina mama. – Jeden bawił się w domu zapalkami, drugi właśnie powodował powódź. Byli nierozłączni.

Nauczyciele w podstawówce szybko zdali sobie sprawę, że poskromienie Waleriańczyka w granicach z cudem. Mama musiała zrezygnować z pracy. Jednak głównym ratunkiem, nie tylko przed kłopotami w szkole, lecz także przed nieodpowiednim towarzystwem z nowoborskiej dzielnicy, okazał się właśnie sport.

Alik wstawał o piątej. Półtorej godziny później był już na pierwszym treningu. Potem lekko, znowu trening i znowu zajęcia. W ciągu dnia wskakiwał do basenu trzy razy. Na matematykę czy polski nawet nie zdejmował mokrych kąpielówek. Do domu wracał kompletnie wyczerpany. Pewnego dnia, siedząc w tramwaju, usłyszał nad głową prawdziwą litanie w zwisk pod swoim adresem. Starsza pani tłumaczyła mu, że jest niewychowany. – A ja po prostu nie miałem siły wstać – skarżył się potem mamie. Rodzice postanowili przerwać w końcu tym mordęgę. Nie przypuszczali wtedy, jak bardzo kilka lat ciężkiego treningu przyda się przyszłemu sportowcowi. Na razie jednak chłopak odkrył nową miłość. Motocykle.

CO RAZ WYŻEJ

Ojciec Alika jest mechanikiem samochodowym. Być może to on zaraził Aleksandra zamiłowaniem do dłubania w mechanicznych urządzeniach. Bracia błyskawicznie odkryli również uroki szybkiej jazdy. Najpierw mieli motorynkę, która teraz stoi zabezpieczona w garażu. Wkrótce kupili emzetę. Potem jeszcze nowszy model. Znikali na całe dni. W chwili gdy rozmawiam z mamą sportowca, właśnie przychodzi do niej SMS: „Mamo, kupiłem yamahę!”.

Zanim jednak chłopak przekroczył prędkość 200 kilometrów na godzinę (po treningu lubi kilka razy okrążyć Kraków), wpadł w oko trenerowi Piotrowi Borze. Ten odkrył bowiem na szkolnych zawodach, że dryblas dobrze skacze w dal. – Aleksandra wyróżniały dwie rzeczy: duża stopa i doskonała koordynacja ruchowa – mówi. – Szybko doszedł do wniosku, że powinien trenować o wiele trudniejszą dyscyplinę, skok wzwyż.

Jego pierwsze skoki nie były imponujące. W granicach 160 centymetrów. Szybko jednak przysły sukcesy na miarę możliwości. W roku 1998 16-latek skoczył 181 centymetrów, rok później już 204. W zeszłym roku skakał jeszcze poniżej 228, ale był już halowym mistrzem Polski i... Irlandii.

Dziś Aleksander ma 195 centymetrów wzrostu i waży za dużo. Intensywnie zrzuca zbędne kilogramy, więc – jak skarży się mamie – jest permanentnie głodny. Najważniejsze jednak, że jest głodny sukcesów. Gdy miesiąc temu w Bydgoszczy skoczył 2,36 metra, powiedział dwie rzeczy. Że jest kompletnie zszokowany i że się odblokował. Tuż po skoku, obłożony przez osłupiałych dziennikarzy, na pytanie, co to oznacza, odparł bez namysłu: – Skoczę 2,40!

Jeśli uda mu się to w Paryżu – zostanie mistrzem świata. Nikt w tym roku nie skacze wyżej od Polaka.

ERA ALEKSANDRA

Osiągając najlepszy wynik w tym roku, Waleriańczyk kłął pod nosem jak szewc. Okazało się, że stadion w Bydgoszczy nie sprzyja biciu rekordów. Między bieżnią a murawą jest za wysoki krawężnik. Po kilku krokach rozbiegu zawodnik musiał zrobić susa nad przeszkodą, która w jego podświadomości urosła do rozmiarów rowu z wodą. Zdekoncentrowany, przy pierwszej próbie trafił kolanami w beton.

Dopiero drugi skok oczarował wszystkich. Jednak niektórzy uważają, że zawodnik popełnił błąd. Najlepszy polski skoczek wzwyż Artur Partyka od razu mu to wytknął, a właściwie wykrzyczał w twarz: – Strzeliłeś byka! Dlaczego nie skakałeś 2,40?!

Trener Piotr Bora uważa jednak, że dobrze się stało. Co by było, gdyby prawie zupełny gołowąs w tym sporcie nagle, ni z gruchy, ni z pietruchy, skoczył tylko pięć centymetrów gorzej od rekordu świata? Od razu pojawiłyby się podejrzenia, że zawodnik jest na prochach. – Nie mamy się gdzie śpieszyć – mówi Bora. Marzy, aby kariera skoczka potrwała przynajmniej kilka lat. W tej dyscyplinie sportu bywa tak, że jeden udany skok zdarza się raz na całe życie. Dlatego trening młodego mistrza może szokować. Aleksander po rozgrzewce staje do rozbiegu i skacze 2,30. Każdy, kto zajmuje się tą dyscypliną, wie, że to niebotyczna wysokość i na treningach skacze się o wiele, wiele niżej. Polscy lekkoatleci są jednak pewni, że Waleriańczyk dogoni wkrótce popularnością innego skoczka – Adama Małysza. Rekordzista Polski w skoku wzwyż Artur Partyka (jego rekord to 2,38 metra) również jest tego pewien. Zaraz po zawodach w Bydgoszczy przyznał: – Mój czas się skończył, właśnie zaczęła się era Aleksandra.

MICHAŁ WÓJCİK

WEZYR Holiday Service

1490 zł
3* HB - 1 tydzień
Alanya Hotel Bilkay

1990 zł
4* ALL - 1 tydzień
Alanya Hotel Klas

Najlepszy czas na Turcję!

O naszą ofertę pytaj w najbliższym biurze podróży



ODEON
TOURS

WEZYR Holiday Service
tel. 022 8281826

00-355 Warszawa, ul. Tamka 38

www.wezyrholidays.pl

ŚWIECI

ŚWIECI

ŚWIECI



Fot. MAREK SAWADKA/REPORTER



Andrzej Jakimowski ZMRUŻYŁ KAZIMIERZ

Na IX Festiwalu Filmowym i Artystycznym w Kazimierzu Dolnym w kategorii polskiego filmu fabularnego zwyciężył film „Zmruż oczy” w reżyserii Andrzeja Jakimowskiego. – To dość osobisty film – zdradził nam reżyser. – Jest próbą odpowiedzi na pytania, które stawia mi w życiu moja córka, choć fabuła nie zawiera konkretnych analogii do rzeczywistości.

Film opowiada o dziewczynie, która ucieka od rodziców do byłego nauczyciela pilnującego starego pegeeru. Ten stara się nakłonić ją do powrotu – bohaterka obserwuje starcie postaw i wartości wyznawanych przez nauczyciela i swojego ojca.

Andrzej Jakimowski ma 40 lat. Jest absolwentem Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, skończył też Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Dotąd realizował głównie filmy krótkometrażowe i dokumentalne, jest także producentem. „Zmruż oczy” jest jego pełnometrażowym debiutem fabularnym, ale zdobył już wiele nagród, między innymi wyróżnienie FIPRESCI na festiwalu w Mannheim.

Film wejdzie do kin w październiku.



Fot. PAWEŁ ULATOWSKI/AG



Lantame Ouadja Z TOGO DO WISŁY

Kapitan piłkarskiej reprezentacji Togo jest kolejnym graczem z Czarnego Lądu, który trafił do zasadniczego składu mistrza Polski – Wisły Kraków. 26-letni Lantame Ouadja otrzymał zaproszenie na zgrupowanie Wisły podczas ostatniego tournée klubu po Francji. Wcześniej grał w genewskim klubie Servette i katarskim Al Saad, ale ostatnio nie miał stałego pracodawcy. W barwach swojego kraju rozegrał od 1994 roku prawie 60 meczów, wystąpił też trzykrotnie w turniejach o Puchar Narodów Afryki.

W meczu z Anderlechtem Bruksela w eliminacjach Ligi Mistrzów jeszcze nie wystąpił, choć został włączony do kadry i obserwował mecz z ławki rezerwowych. Na razie zadebiutował w wygranym przez krakowian 2:0 spotkaniu z Górnikiem Polkowice. Gra na pozycji defensywnego pomocnika lub stopera.

Ponieważ Ouadja mówi płynnie po francusku, świetnie dogaduje się z trenerem Henrykiem Kasperczakiem, który pracował niegdyś jako szkoleniowiec w Tunezji.



Fot. SERGIUSZ PECEK/AG

Wiera Jelinek PASTOROWA PASTOREM

Wierni z parafii Kościoła ewangelicko-reformowanego w Żelowie koło Bełchatowa już niedługo będą uczestniczyć w nabożeństwach prowadzonych przez pierwszą w Polsce kobietę księdza. 14 września, dwa lata po zaliczeniu egzaminów uprawniających do święceń, na urząd pastora oficjalnie zostanie wprowadzona Wiera Jelinek, 43-letnia absolwentka warszawskiej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. Da jej to prawo odprawiania pełnej liturgii, a nawet samodzielnego prowadzenia parafii.

Pani Wiera pochodzi z rodziny protestanckiej. W Żelowie pracuje już od 22 lat, była tam katechetką, udzielała chrztów, odprawiała pogrzeby, pomagała mężowi kierować parafią. – Wiera już wcześniej prowadziła nabożeństwa, zastępując męża, ale nie mogła nałożyć togi ani udzielać komunii. Dopiero teraz będzie mogła to zrobić – dowiedzieliśmy się w parafii w Żelowie. A jak należy zwracać się do pierwszej kobiety księdza?

– Ludzie często nazywają pastora księdzem, ale do Wiery należy chyba zwracać się „pani pastor”.



SPADA



Marian Markiewicz NIELEGALNY RADNY

19 listopada 2002 r. radny z ramienia SLD-UP został zaprzyszczony na kolejną kadencję. Tego samego dnia kielecki sąd rejonowy po trwającym ponad rok procesie skazał go na 16 miesięcy pozbawienia wolności z zawieszeniem na cztery lata za znęcanie się nad rodziną. Dołożył do tego nakaz zwrotu kosztów sądowych i nadzór kuratora.

Marian Markiewicz, choć powinien automatycznie złożyć mandat radnego, ani słowem się nie zająknął na temat wyroku. Przez dziewięć kolejnych miesięcy beztrudnie brał udział w obradach i posiedzeniach, oczywiście pobierając za to wynagrodzenie. Kosztów sądowych nie zwrócił, obowiązkowe kontakty z kuratorem także zlekceważył.

Zapanowała konsternacja. Rada Miasta nie bardzo wie, co w tej sytuacji robić: czy domagać się od radnego zwrotu pieniędzy, czy unieważniać uchwały, w głosowaniu nad którymi Markiewicz brał udział. – Szkoda, że znów przydarza się Kielcom coś takiego – powiedział reporterom „Echa Dnia” prezes Sądu Okręgowego w Kielcach Mirosław Gajek. – To fatalnie świadczy o poziomie społeczeństwa i braku szacunku do prawa.

Filigraany

Nowy format reklam
w „Przekroju”
– ogłoszenia
modułowe

Jeden moduł
formatu
60 x 79 mm
tylko 1800 zł
– cena netto

60 x 79

Zadzwoń
i zamów!

Jagna Federowicz
Tel./faks
(0-prefiks-22) 58 42 590
Tel. kom. 0 501 608 851
jagna.federowicz@edipresse.pl

Istnieje
możliwość
łączenia
modułów

60x163



23 - 24 sierpnia 2003

VI Turniej Rycerski

na Zamku Królewskim w Łęczycy

walki konne i piesze, bitwa o zamek, turniej łuczniczy
turniej bojowy melec, sąd nad czarownicą, koncert muzyki dawnej

www.leczyca.um.gov.pl

Serdecznie zapraszamy





Fragment
wielowarstwowej galerii
malowideł naskalnych
w Eagle's Reach.
Odkrywczy
udostępnił prasie
zaledwie kilka zdjęć
swojego znaleziska.
Unikatowym
rysunkom zwierząt
towarzyszą odciski dłoni
anonimowych artystów
– dowód, że potrzeba
zaznaczenia
własnego istnienia
wspólna jest
wszystkim ludziom

MARCEL ANDINO VELEZ

Niedaleko Sydney odkryto jedną z największych i najlepiej zachowanych galerii aborygeńskiej sztuki naskalnej. Przez ośiem lat naukowcy nie pisnęli nawet słowem o znalezisku. Nadal nie chcą zdradzić jego lokalizacji

NAJSTARSZE GRAFFITI

Gazety pytały naukowców z Muzeum Australijskiego w Sydney:
„Co takiego odkryliście, że nie chcecie tego pokazać?”



Po lewej:
Malowidła
wykonane
w stylu
rentgenowskim,
charakterystycznym
dla Aborygenów
północnej Australii.
Przedstawiają
rybę barramundi
i postacie
mitycznych
przodków

Po prawej:
Postać przodka
z Epoki Snów.
Wydatny penis
w sztuce
Aborygenów
symbolizuje siłę,
odwagę
i płodność.
Zachodnia
Ziemia Arnhema



Przy dobrej pogodzie Park Narodowy Wollemi widać z najwyższych pięter drapaczy chmur w Sydney. Porośnięte gęstym lasem niewysokie wzniesienia Gór Błękitnych pełne jaskiń, skalnych rozpadlin i głębokich, niedostępnych wąwozów to największy obszar dzikiej przyrody w tym rejonie Australii. Park narodowy ustanowiony w 1979 roku chroni pół miliona hektarów dziewiczej puszczy. Do bram parku z zatłoczonego centrum Sydney jedzie się około półtorej godziny, wliczając korki na obwodnicach i drogach wylotowych. Ale miejsce, w którym znaleziono jaskinię z ponad 200 bezcennymi rysunkami, nieprzypadkowo nazywa się Eagle's Reach – „Tam, gdzie sięgają orły”.

DO CZTERECH RAZY SZTUKA

Choć to tak blisko wielomilionowego miasta, aż trzykrotnie ekspedycje do Eagle's Reach musiały zawrócić z drogi. Pierwszą przerwała gwałtowna powódź, która omal nie zatopiła biwakującej pod skalnym występem grupy naukowców. Rok później wielogodzinna piasz-

wędrówkę uniemożliwiły upały przekraczające 40 stopni Celsjusza.

W taki gorący pochód wśród rozpalonych skał jest niemożliwy. Nie ma też szans na znalezienie źródeł wody umożliwiających spędzenie kilku dni przy znalezisku. A transportowanie wody razem ze sprzętem biwakowym z oczywistych względów odpadało. Ekspedycję po raz kolejny odłożono.

Cztery miesiące później, gdy grupa archeologów, antropologów, przedstawicieli lokalnej społeczności Aborygenów i strażników parku była gotowa, by ponownie wyruszyć, część parku ogarnęły pożary. Oddzielone skałami wąwozy Eagle's Reach były co prawda bezpieczne, ale nie dało się do nich zbliżyć – wszędzie po drodze płonął las.

– Myśleliśmy, że to jakieś przekleństwo. Że nam się nie uda. W końcu, w maju tego roku, postanowiliśmy spróbować jeszcze raz. Warunki były sprzyjające – opowiada „Przekrojowi” doktor Paul Taçon, szef ekspedycji, archeolog z Muzeum Australijskiego w Sydney. Mimo dobrej pogody Taçon uznał wędrówkę za jedno z najniebezpieczniejszych

i najbardziej wyczerpujących doświadczeń w swoim życiu.

Nawet prowadzenie badań nad sztuką naskalną w Kimberley i na Ziemi Arnhema – najbardziej gorących i niedostępnych rejonach północnej Australii – nie było dla tego znanego archeologa takim wyzwaniem. Porównując skalę zamalowaną 12 warstwami rysunków, malowideł i szablonów, z których większość pochodzi sprzed czterech tysięcy lat, dotarli o świcie, po całym dniu marszu i nocy spędzonej pod gołym niebem.

– Gdy w końcu doszliśmy na miejsce, wąską kotlinę spowijała gęsta mgła. Minęło kilkadziesiąt minut, nim się roziała. Pierwsze, co wyłoniło się z kłębow pary, to była realistycznie wymalowana głowa drapieżnego ptaka, którego oczy były w nas wpatrzone. Takich chwil się nie zapomina – relacjonuje Taçon.

SEKIERA, BUMERANG, RĘKA, WOMBAT

Odkrywca wspinał się naskalnej galerii – pozostaje anonimowy. Wiadomo jedynie, że jest strażnikiem leśnym, pracownikiem parku na-

rodowego. Australijscy strażnicy leśni to jednak nie panowie z brzuskami i wąsami. Tygrysniami samotnie przemierzają chronione obszary. Wspinają się po skałach, penetrują jaskinie, wiodą traperski żywot.

W 1994 roku strażnik David Noble podczas takiej wędrówki dokonał jednego z najważniejszych odkryć botanicznych XX wieku. W samotnej rozpadlinie skalnej natrafił na jedyne na świecie stanowisko drzew iglastych znanych dotąd tylko ze skamielin sprzed 150 milionów lat.

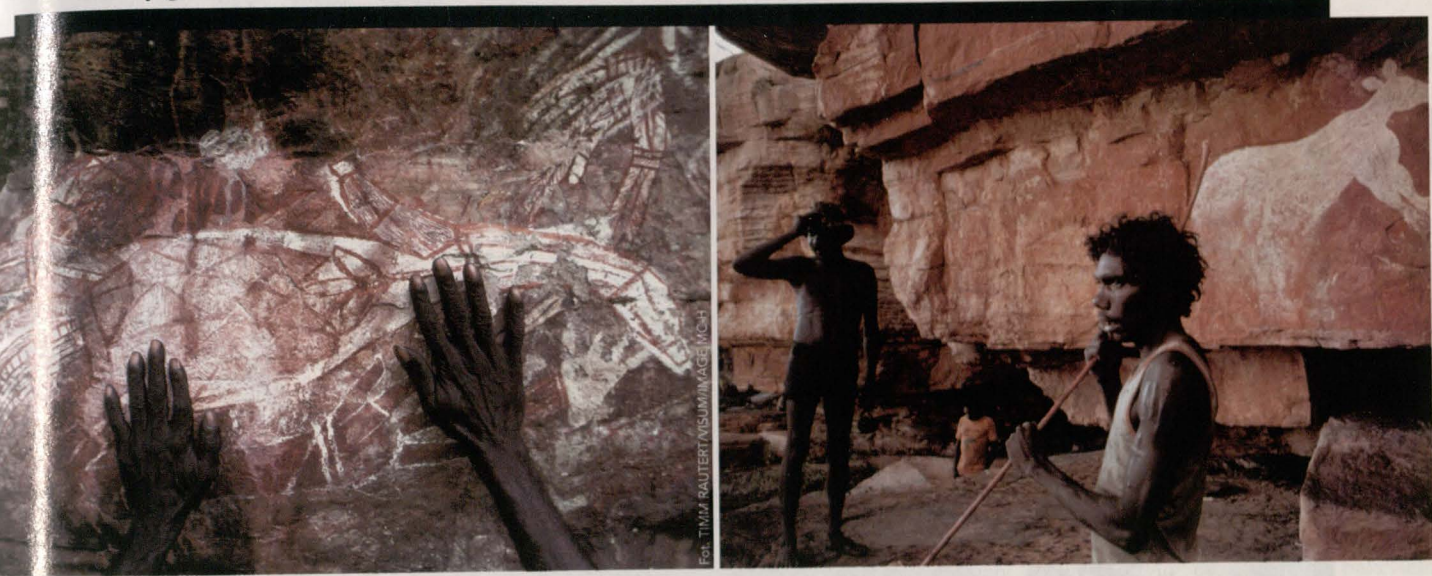
Sosna nazwana *Vollemia nobilis* to prawdziwy żyjący dinozaur wśród roślin. W dolince rośnie około 40 dorosłych osobników tego gatunku, kilkanaście drzew ma ponad tysiąc lat. Tak jak rysunki z Eagle's Reach dokładne miejsce występowania odkrytych roślin zostało utajnione. Zbieg okoliczności sprawił, że rok po odkryciu *Vollemii* inny strażnik zawędrował do groty pełnej malowideł. Ta była jednak znacznie trudniej dostępna niż dolinka z drzewami. Odkrywca nie miał ze sobą sprzętu fotograficznego. O swym znalezisku poinformował władze parku, te zaś



Po lewej:
Malowidła
Wandjina
z regionu
Kimberley,
białe postacie
otoczone
promienistą
aurą pobudzają
od lat fantazję
ufomaniaków

Po prawej:
Rysunki
rentgenowskie
i malowidła
plemienia
Rembarung
przedstawiające
kangura.
Zachodnia
Ziemia Arnhema

Tłumy turystów i wyznawców New Age pielgrzymują dziś do aborygeńskich sanktuariów, zamieniając je w targi medycyny naturalnej



Fot. TIMM RAUTERT/VEBIM/AGE/AGE

przekazały informację do Muzeum Australijskiego w Sydney.

Uzyskanie wszystkich pozwoleń na ekspedycję, a potem zebranie odpowiednich funduszy, zajęło Paulowi Taçonowi ponad pięć lat. Potem przyszły wspomniane niepowodzenia. Z relacji strażnika wiedział, że na ścianach groty zachowało się bardzo wiele rysunków i że są tam odciski rąk i narzędzi. I wielki rysunek wombata – australijskiego niedźwiadka-torbacza – który wyglądał jak żywy.

Właśnie ten wombat zasugerował naukowcom, że może chodzić o wyjątkowej klasy odkrycie. Nigdy dotąd nie natrafiono na jego przedstawienie w sztuce naskalnej Aborygenów, a przynajmniej nie na takie, na którym można by tego zwierza łatwo zidentyfikować. Znaczna część z tysięcy australijskich malowideł naskalnych zachowana jest nie najlepiej. Aborygeni tworzyli bowiem swą sztukę nie w głębi jaskiń, lecz w miejscach, gdzie dociera światło słoneczne, najczęściej pod łatwo dostępnymi nawisami skalnymi. Wraz ze światłem do malowideł ma więc dostęp wiatr, a także deszcz i wilgoć.

Tu, w Eagle's Reach, jedynym szkodnikiem jest... wombat. Taki sam jak ten wyrysowany przed wiekami węglem drzewnym. Zwierzę ma norę niemal na wprost malowideł i, pracując nad jej pogłębieniem, posypuje kurzem prehistoryczne wizerunki. Naukowcy postanowili jednak nie przeszkadzać mu – skoro nie zniszczył rysunków do tej pory, pewnie nic im z jego strony nie grozi. A być może to jego przodków upolowali w tym miejscu Aborygeni. Rysunki naskalne przedstawiające zwierzęta zawsze miały związek z magią łowiecką i z wierzeniami totemicznymi.

Dziś na oglądających naskalne rysunki najsilniejsze wrażenie robią zwykle odciski

dłoni. – Z pewnością odbicia rąk na skałach miały znaczenie rytualne. Ale prehistoryczni ludzie na pewno nie byli wolni od prostego odruchu, by zaznaczyć, że „tu byłem” – twierdzi Paul Taçon.

Aborygeni, tak samo jak prehistoryczni mieszkańcy Europy, Ameryki Południowej i Azji, przykładali do skały dłoń i obryzgiwali je farbą żutą w ustach. Trudno o bardziej jaskrawy dowód, że sztuka jest dla człowieka drogą do nieśmiertelności. Bezimienny mieszkaniec Australii, który przed tysiącami lat przyłożył rękę do czerwonej skały, dawno obrócił się w proch. Ale dzięki farbie i woli artysty dziś tę dłoń obejrzą między innymi tysiące czytelników „Przekroju”, w lipcu, gdy ogłoszono odkrycie, obejrzają ją też miliony Australijczyków.

Oprócz dłoni artyści z Wollemi – bo z pewnością nie była to jedna osoba, raczej pokolenia wtajemniczonych mieszkańców tego regionu – utrwalił na skale także swe narzędzia: siekiere i bumerang. Dla nas jest to po prostu siekiera i bumerang. Ale dla Aborygenów przez kilkadziesiąt tysięcy lat te dwa narzędzia, oprócz dzidy, oszczepu, koszyków z kory i kilku prostych instrumentów, to były jedyne znane wytwory rąk.

Aborygeni nie znali tkactwa, garncarstwa, obróbki metali. Nie budowali domów. Całą swą kulturę – a to kultura odróżnia człowieka od zwierząt – wyrażali nie w wynalazkach i udogodnieniach, lecz w przebogatym życiu duchowym i w sztuce właśnie. Zresztą, duchowość i sztuka to przez dziesiątki tysięcy lat było to samo.

OCHRĄ I WĘGLEM

W chwili przybycia do Australii pierwszych kolonistów angielskich w 1788 roku konty-

nent zamieszkiwało według różnych szacunków od 250 tysięcy do miliona mieszkańców. Rozproszeni na gigantycznych obszarach nie mieli żadnej wspólnej tożsamości. Dzielił się na setki grup mówiących odrębnymi językami, często zupełnie odmiennymi. Wedle europejskiej chronologii żyli w epoce kamienia łupanego – paleolicie. Nie uprawiali roślin, nie hodowali zwierząt.

Kobiety za pomocą kopaczek wygrzebywały z ziemi pożywne korzenie i bulwy, zbierały owoce, łowiły ryby i polowały na drobne zwierzęta. Mężczyźni również łowili ryby (choć inaczej niż kobiety) i polowali na grubszą zwierzynę. Grupy klanowe wędłowały po olbrzymich terytoriach w poszukiwaniu wody i żywności.

Przez tysiąclecia – kultura Aborygenów jest najdłużej istniejącą kulturą ludzką – nie zachodził tam żaden postęp. Idea postępu pomogła Europejczykom zdobyć i zdewastować większą część świata. Aborygeni wierzyli i nadal wierzą, że ich zadaniem jest utrzymanie świata w porządku, który ustanowili Przodkowie w okresie stworzenia zwanym Epoką Snów.

To właśnie wiara w mitycznych Przodków, którzy nadali światu kształt, wyznaczyli relacje między żywiołami, zjawiskami przyrody, roślinami, zwierzętami i ludźmi, jest wspólnym elementem mitologii wszystkich Aborygenów. Pod koniec Epoki Snów potężni stwórcy wcielili się w krajobraz, skały, drzewa i strumienie. W tych świętych miejscach żyją do dziś i przyglądają się ludziom. Więź z Przodkami utrzymywana jest dzięki rytuałom i sztuce, dlatego dla Aborygenów odwiedziny w miejscach, gdzie znajdują się malowidła naskalne, zawsze oznaczają obcowanie z sacrum.

Sztuka naskalna jest jednak dla Aborygenów tylko częścią ich ekspresji artystycznej. Odbabiają oni także pnie drzew, narzędzia i wykonują gigantyczne rytualne rysunki na powierzchni ziemi. No i poddają artystycznej obróbce swoje ciała – nakłuwają je i pokrywają różnymi farbami. Wszystko, co należy do świata ludzi, musi być przetworzone przez sztukę – w odróżnieniu od świata przyrody, który pozostaje dziki, nietknięty.

Niezwykła różnorodność sztuki Aborygenów nie wyraża się w kolorystyce. Jak Australia długa i szeroka znano tylko kilka podstawowych barwników. Czerń otrzymywano z węgla drzewnego, czwóglonej kory lub rud żelaza. Biel – z kaolinu i palonego glinu. Na północy, na Ziemi Arnhema, wydobywano żółtą ochrę. Najpowszechniejszym barwnikiem była i jest czerwona ochra uzyskiwana z krzemionek. Innych kolorów nie używano (poza zielononiebieskim glaukonitem stosowanym lokalnie na północy kontynentu). Barwnikami wymieniano się i handlowano. Ekspedycje mężczyzn pokonywały czasem setki kilometrów, by od innego plemienia odkupić pożądany barwnik.

Każdy kolor miał w sztuce mitologiczne uzasadnienie – tak jak w średniowiecznej ikonografii europejskiej. Czerwony był raczej kolorem walki, biały – pokoju. O ile malowidła na ciele i rysunki na ziemi i pniach wykonywano okazjonalnie, o tyle dzieła sztuki naskalnej wymagały regularnych napraw. Duchy tak długo przebywały w świętym miejscu i obdarzały ludzi łaską, jak długo ci dbali o rysunki.

Stąd tak wiele warstw w grocie Eagle's Reach. Jak ustalili naukowcy, większość rysunków powstała 40 wieków temu, ale Aborygeni opieko-

wali się tym świętym miejscem aż do początków XIX wieku.

Niewielkie różnicowanie kolorystyczne nie oznacza, że sztuka Aborygenów była jednorodna. Od słynnych przedstawień Wandjina z regionu Kimberley – białych sylwetek o twarzach pozbawionych ust, z aureolami i promieniami bijącymi wkoło – przez tak zwane malarstwo rentgenowskie przedstawiające wizerunki ludzi i zwierząt „wraz z zawartością”, czyli tym, co się kryje pod skórą, po sceny rodzajowe z życia mimi – małych, płochliwych duszków żyjących wśród skał – sztuka pierwszych mieszkańców Australii jest niezwykle bogata.

Malarstwo kropkowe, które dziś staje się znakiem rozpoznawczym sztuki Aborygenów na świecie, jest czymś w rodzaju cepelii. Ten rodzaj sztuki został wyrwany z kulturowego kontekstu innych „kierunków w sztuce” aborygeńskiej. Tymczasem wombat namalowany cztery tysiące lat temu w grocie Parku Narodowego Wollemi nie ma nic wspólnego z malarstwem kropkowym. – Jest wycieniowany tak fachowo, że wygląda jak trójwymiarowy. Jakby miał zaraz się poruszyć – mówi Paul Taçon.

POD WISZĄCĄ SKAŁĄ

Decyzja, by zataić położenie groty, podsyciła ciekawość opinii publicznej. Australijskie gazety pytają: „Co tam takiego znaleźliście, że nie chcecie tego pokazać?”. Inne znane lokalizacje sztuki naskalnej należą do najpopularniejszych atrakcji turystycznych Australii.

Malowidła w Parku Narodowym Kakadu odwiedza około 200 tysięcy osób rocznie. Wyobraźnię szczególnie pobudzają malowidła Wandjina – przy odrobinie dobrej woli

można dopatrzeć się w nich wizerunków starożytnych astronautów. Mity niektórych plemion Aborygenów mówią, że ich przodkowie przybyli z gwiazd. Wokół Wandjina zawsze kręcą się grupy rozmaitych ufologów, dänikenomaniaków i łowców przygód.

Do miejsc, gdzie Aborygeni zostawili malowidła, pielgrzymują dziś wyznawcy New Age. Zmieniają święte miejsca Aborygenów w targi medycyny naturalnej. Energetyzują się tam na różne sposoby. Tymczasem dla rdzennych mieszkańców Australii te miejsca to prawdziwe sanktuaria.

Dopiero ostatnie lata przynoszą Aborygenom poprawę ich statusu. Biali Australijczycy z trudem, ale coraz dokładniej zdają sobie sprawę z krzywd, jakie wyrządzili najstarszym plemionom Ziemi.

Niestety, w najwcześniejszej skolonizowanej południowo-wschodniej Australii społeczność Aborygenów jest najbardziej wyniszczona. Nie przetrwały mity. Nikt ze starszyzny nie potrafi odczytać znaczenia odkrytych rysunków. Pozostały domysły antropologów. I aura świętego miejsca.

– Krajobraz świętych miejsc Aborygenów ma w sobie moc. Zupełnie jakby ludzie specjalnie wybierali takie miejsca, gdzie twórcza potęga przyrody jest szczególnie widoczna. Jakby próbowali wspomóc własną twórczość twórczością przyrody – mówi Paul Taçon.

Wspólnie z radą naukową Muzeum Australijskiego Aborygeni postanowili nie ujawniać lokalizacji nawet w fachowych piśmie archeologicznych. Tak jak dawniej dostęp do świętego miejsca będą miały tylko duchy i osoby wtajemniczone.

MARCEL ANDINO VELEZ



KONRAD DULKOWSKI
FOT. ROBERT KRZANOWSKI/7PICTURES

Warszawski Grochów, niedaleko ronda Wiatraczna, weekendowe popołudnie. Pan wyprowadza psa, dzieci ścigają się na rowerach pomiędzy klombami.

Ktoś staje na krawędzi dachu 20-piętrowego wieżowca. Przekracza ją i leci w dół. Zawisa na linie na wysokości czwartego piętra. Mieszkańcy osiedla leniwie spacerują, nie zwracają uwagi. Tylko jeden mężczyzna z torbą zakupów przystanął i patrzy w górę. Pewnie nietutejszy.

PRODUKT POLSKI

Dream jumping uprawia się jedynie w Polsce. Wymyślił go, a potem opatentował Tomek Zieliński, wśród entuzjastów sportów ekstremalnych znany jako Magfly.

Historia zaczęła się sześć lat temu. 20-letni wówczas Tomek mieszkał w Głogowie. Spróbował wejść na fragment murów starej fosi z powybijanymi dziurami po ceglach. To wystarczyło, by zaraził się bakcylem wspinaczki skalkowej.

Dalsza droga była standardowa – klub alpinistyczny, wyjazdy w góry. Przełomowym momentem stał się kurs spadochronowy. Było wyżej, nie było czego się przytrzymać, choćby małego wylotu skalnego. Więcej adrenaliny. I może na spadochroniarstwie by się skończyło, gdyby nie mała niedogodność.

– W trakcie skoku jest moment takiego przytłumienia – tłumaczy Magfly. – Nagle jesteś nieważki. Żołądek, serce czy co tam jeszcze podchodzi do gardła, brakuje tchu. Jedni to lubią, inni nie.

On nie lubił. Nie chciał jednak zrezygnować ze skoków, adrenalina uzależnia. Bungee? Szybko się zmienił. Za krótki swobodny spadek, lina szybko ciągnie do góry.

– Ważna była też dostępność konstrukcji, z których można skakać. W przypadku bungee potrzebny jest dźwig, z mostów nie wolno.

Próbował więc skakać z drzewa. Miało zaledwie dziewięć metrów wysokości, ale już wtedy czuł, że to jest to. Swobodny spadek o wiele dłuższy niż przy bungee, hamowanie bardzo łagodne i można skakać prawie wszędzie.

– Nazwa sama przyszła do głowy w trakcie pierwszego skoku w tandemie – Magfly dopina alpinistyczną uprząż. – W trakcie lotu spojrzałem w twarz partnera. Miał zamknięte oczy, wyglądał, jakby śnił.

Przechyla się poza krawędź dachu i... już go nie ma.

JAK TO DZIAŁA?

Potrzebne są dwa wysokie obiekty obok siebie. Idealnie nadają się do tego osiedla z blisko położonymi blokami. Pomiędzy budynkami rozwiesza się swobodnie zwisającą linę. Do niej za pomocą bloczka podłączona jest kilkumetrowa taśma, do której przypina się skaczący.

Najpierw leci się w dół, aż taśma się napręży. Wtedy swobodny spadek przestacza się w zjazd po linie, nie mniej ekscytujący. Ta część skoku służy także wyhamowaniu impetu spadku.

SEN
O
LATANIU

Stoję na krawędzi dachu 20-piętrowego wieżowca. Za chwilę mam skoczyć w dół. Wyraźnie widzę 63 metry pionowej ściany i żółty napis „Droga pożarowa”. „Czerwone będzie pasowało do żółtego” – przychodzi do głowy idiotyczna myśl

Pierwsze skoki z wieżowców Sky Team, grupa znanych Tomka i miłośników swobodnego spadania, wykonywał w Polkowicach, potem przenieśli się do Warszawy, gdzie znaleźli wyższe budynki.

Początkowo skoki były zarezerwowane dla osób po kursie wspinaczkowym – kandydat musiał umieć zjechać na linie z wysokości kilku pięt. Teraz delikwenta po skoku opuszcza się na ziemię bez dodatkowych akrobacji i skakać może każdy. Najmłodsze były dwie 11-latk, najstarszy pan po sześćdziesiątce. Jediną przeszkodą jest strach. Jednak ci, którzy go przełamali, zwierają się, że skok zmienił ich życie.

– Tutaj stajemy wobec perspektywy absolutnej, życia lub śmierci – mówi psychoterapeuta Janusz Sztencel. – Nagle sprawy, wokół których biegamy na co dzień, wydają się małe i śmieszne. Podobnie zachowują się ludzie, którzy na przykład przeżyli śmierć kliniczną.

W psychoterapii stosuje się metodę polegającą na skoku z parapu na ręce współuczestnika zajęć. To pomaga nabrać pewności siebie.

– Spadanie często pojawia się w snach jako symbol lęku – mówi Sztencel. – Natomiast sen o lataniu jest snem o nowych możliwościach, o przekraczaniu barier. Stąd już krok do samodoskonalenia, do wypłynięcia na szersze wody.

CUDZE EMOCJE

Na dachu panują surowe reguły – wejście tylko po zarejestrowaniu się u strażnika, żadnych papierosów czy alkoholu. Zdobyć zezwolenie od administracji budynku trwało ponad pół roku. Urzędnicy otwierali szeroko oczy, gdy słyszeli, po co grupa młodych ludzi chce wchodzić na dach. A potem rozkładali ręce, twierząc, że nie ma na to przepisów.

– Na początku policja przyjeżdżała do nas przynajmniej raz w tygodniu – opowiadają skoczkowie. – A pani z bloku naprzeciwko krzyczała, że wpadnie my jej przez okno do mieszkania.

Dzisiaj widok spadającego z wieżowca człowieka dziwi już tylko przyjezdnych. Policja przyjechała ostatnio tydzień temu. Magfly wręczył im pozwolenie na używanie dachu, po czym rozpedził się i wyskoczył obok przerażonych funkcjonariuszy próbujących go złapać.

W pierwszy skok debutanta angażują się wszyscy. – Nie masz co się bać, tylko co trzeci ma wypadek – naigrawają się ze stojącego na krawędzi. Sprawdzają, na ile jest odporny psychicznie. Psychoterapeuta Janusz Sztencel uważa, że dream jumping jest świetną metodą inicjacyjną dla młodych ludzi.

– Kiedyś przejściom na kolejny poziom rozwoju, na przykład gdy chłopiec stawał się wojownikiem, towarzyszył odpowiedni rytuał – mówi. – Dzisiejsza młodzież znajduje własne rytuały, szczególnie w strukturach nieformalnych, wręcz przestępczych. Chłopcy się tną albo dokonują wyjątkowo brutalnych przestępstw. W tym świetle należy docenić skoki z wieżowców jako rytuał pozwalający na przekroczenie barier psychicznych. Ważna jest też obecność kogoś, kto ma większe doświadczenie i prowadzi inicjowanego przez rytuał.

Magfly przy nas oddaje swój 1408. skok. W debutantach ceni odwagę i szanuje przyznanie się

do strachu. Chociaż czasem trudno powstrzymać kpiny, jak w przypadku mężczyzny, któremu w trakcie lotu puściły zwieracze, chociaż na dachu udawał twardziela, co to niejedno w życiu przeżył.

READY, SET, GO!

Świat najpełniej poznaje się empirycznie, więc zakładam alpinistyczną uprząż. Dragon – członek teamu – sprawdza i dociąga pasy na udach i ramionach. Czuję się spętany jak baleron, ale ucisk dodaje mi pewności, że nie wypadnę. – Wyciągnij spodnie w kroku, bo jak ściśnie, to będziesz śpiewał sopranem – pada fachowa porada.

Do tej pory żartowałem wraz z innymi, ale z minuty na minutę coraz mniej mi jest do śmiechu. Za to chłopakom wręcz przeciwnie. – Miło było poznać, szkoda, że tak krótko się znaliśmy – Dragon podaje mi rękę z udawaną powagą.

Mam nadzieję, że nie posuną się do powtórzenia zasłyszanego dowcipu, gdy w chwilę po skoku ktoś krzyknął za spadającym: „Poczekaj, nie podpiałem!”.

Lęk przed upadkiem jest jednym z pierwszych strachów człowieka

Najbardziej doświadczeni skoczkowie potrafią wykonać pięć salt, zanim lina się napręży. Można skakać parami, trójkami, z rowerem lub deską snowboardową przypiętą do nóg



Brzydka pogoda nie jest żadną przeszkodą. Z dachu można skakać nawet w śnieżnej zadymce. – Widoczność półtora metra. Przekraczasz próg i znikasz reszcie z oczu – opowiada Magfly. Najdłuższą, trzymiesięczną, przerwę w skokach spowodowała nie aura, ale zakaz wydany przez Obronę Cywilną w związku z wojną w Iraku

Magfly wydaje instrukcje.

– Masz stanąć na krawędzi, o tutaj, ręce połóż na pierś. Usłyszysz komendę: „Ready, set, go!” i skaczesz.

Najtrudniejsze jest przełamanie naturalnych ludzkich odruchów. Wiem, że to bezpieczne, przecież nikomu nie się nie stało. Ale mój instynkt samozachowawczy krzyczy: „Co ty robisz?! Zabijesz się!”. Czuli bym się lepiej, gdyby można było czegoś się przytrzymać. Jakiegoś drążka, ściany, poręczy. Tymczasem nie ma nic – stoję na wąziutkim kawałku betonu, mam przed sobą 20-piętrową otchłań.

Mam wrażenie, że stoję już kilkanaście minut. – Ready... set... – brzmi jak komenda dla plutonu egzekucyjnego – ...go!

SPOKÓJ

Słyszę swoje walące serce i rzucam się w przepaść.

Wrażenie jak z filmów animowanych: na moment zawisam w powietrzu, po czym walę się w dół, jakby ktoś mną cisnął. Przeciążenie, kątem oka widzę uciekające w górę balkony. Ależ szybko! I powoli coś mnie odciąga od ściany, wiem, że naprężyła się łącząca mnie z liną taśma. Już nie frunę, zawieszony w uprząży pędzę poziomo po linie. Przeciwny blok zbliża się szybko. Uderzę! Nie, zawracam i hamuję w połowie odległości między budynkami. Wysoko, jakieś czwarte piętro, a mnie wydaje się, że tak niziutko. Krzyczę radośnie. Ktoś podnosi głowę i zaraz opuszcza niespecjalnie zainteresowany. Nikogo nie obszedł mój wyczyn.

– Chłopiec przechodził rytuał inicjacji i od tej pory musiał zachowywać się jak wojownik – mówi Sztencel. – Szkoda zachodu, jeśli skok powoduje tylko doraźne rozładowanie emocji i nie pociąga za sobą głębszych zmian rozwojowych.

Wracam samochodem z warszawskiej Pragi, mimo pustych ulic nie wciskam mocno pedału gazu, jak to mam w zwyczaju. Świat za oknem wydaje się trochę nierealny, odległy. Jestem nienaturalnie spokojny, wyciszony. Niedzielny kierowca zajeżdża mi drogę. Hamuję ostro, po czym spokojnie wymijam zawalidrogę.

Znajomi nigdy mi nie uwierzyli, że nawet go nie skłamałem.

KONRAD DULKOWSKI

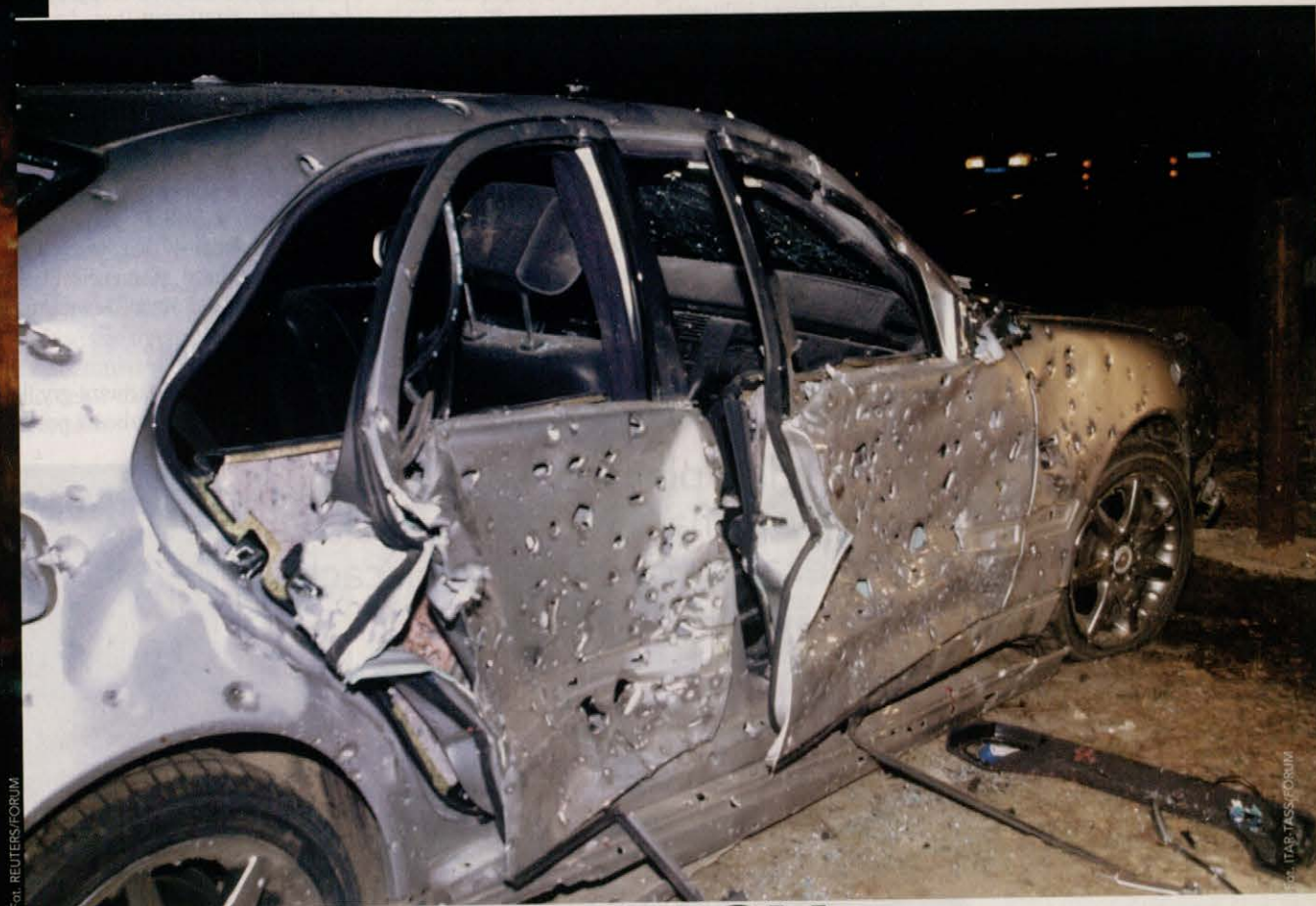
W co się bawią? w Rosji



Rosyjscy bogacze lubią się bawić ekstremalnie. Płacą tysiące dolarów, by palić wsie, rozbijać samochody albo walczyć z faszystami. Setka kaskaderów pomaga im wytworzyć odpowiednią dawkę adrenaliny



JELENA CZERDANCEWA



NOWYCH RUSKICH DOLINA MARZEŃ

Najpierw, by nieorientowanym wyjaśnić, o co chodzi, przypomnijmy treść hollywoodzkiego filmu „Gra” z Michaeliem Douglasem. Bohaterem jest cieszący się pomyslnością biznesmen, którego życie jest nudne jak flaki z olejem. I nagle – nie wiadomo jak – z kont w banku znikają pieniądze, jego samego zaczyna ścigać banda najemnych morderców. Partnerzy w biznesie zdradzają go i oszukują. Bohater przedziera się przez wszystkie kręgi piekła, by na końcu dowiedzieć się, że to była gra, w której uczestnictwo wykupił mu brat z okazji urodzin. A teraz, i to nie gdzieś w Hollywood, ale u nas – pod Tułą – kinowe fantasmagorie stają się rzeczywistością. Za odpowiednią opłatą można znaleźć się w kinowym świecie i stać się uczestnikiem gry, która mrozi krew w żyłach.

Drogą przez bezludny las mknie samochód, w którym siedzi zleceniodawca i trzech towarzyszy podróży. Klient zna tylko temat gry – „Zaginiony Świat”. Wie, że będą amazonki, targi niewolników, jezioro ze smokiem plującym ogniem... Wszyscy w samochodzie są tak zajęci rozmową, że kierowca nie zauważa

wielkiego kamienia sterczącego pośrodku drogi. Samochód podskakuje i leci do rowu. Wyciągają gracz: – Szybciej! Wylaź! Za chwilę wyleci w powietrze!

Ledwie zdążyli się wygrzmolić i trochę odczołgać, a samochód eksploduje.

– W życiu nie widziałem takiego wypadku – gracz z przerażeniem patrzy na płomienie. Nie zauważa, że w krzakach schował się operator i fotograf filmujący i fotografujący wszystko. Kasety wideo i zdjęcia klient otrzyma po zakończeniu imprezy. Dopiero wtedy dowie się, że wypadek był początkiem ekstremalnej gry, za którą sam zapłacił.

A w lesie jest osiem „placów gry”. Pracuje tam zespół 110 osób: aktorzy, pirotechnicy, iluzjoniści, charakteryzatorzy. Wynajęto nawet kompanów do wypitki, bo klient ma w swej charakterystyce punkt: „Lubi wypić”... A tuż po wypadku drogowym jeden z jego przewodników schował się w krzakach i dzwonił dokąś z komórki:

– Podziękuj pirotechnikom, ślicznie płonimy. Klient ma już pełno w gaciach!

– Jasne. Co z nim? Lekarz? Coś ty! My z nim jak ze śmierdzącym jajkiem!

– Ale przecież klient nie zamawiał wypadku drogowego? – dziwię się, gdy dyrektor Zawodowego Zrzeszenia Kaskaderów Tuła Nikolaj Gubienkow i reżyser gry Aleksander Stecenko opowiadają, jak „zabawiają graczy”.

– Oni płacą za dawkę adrenaliny. Gdyby wiedzieli wszystko wcześniej, gra byłaby nudna – sprzeciwiają się. – Jeden z klientów się wygadał, że boi się węży i denerwują go wielkie, wrzeszczące baby. W czasie gry wzięliśmy go do niewoli, przywiązaliśmy do pala, a obok powiesiliśmy dwa pytony. Wyl jak Mowgli. No, potem troszkę go pocieszyliśmy. Wiedzieliśmy, że lubi masaż, więc „chiński mnich” (doktor z prywatnej kliniki) mu go zrobił. Gracz przyszedł do siebie i wtedy napadli na niego rozbójnicy – takie baby,

mu ukryte wskazówki: „Oj, byliśmy w tym korytarzu z lewej, pamiętam ten kamień”. „Maszerujemy w prawo” – rozkazuje gracz. Wylazi z tych pieczar niebywale zadowolony – nie tylko sam znalazł wyjście, lecz także uratował dziewczęta.

Ale zgubić się w pieczarach nie jest jeszcze tak strasznie, jak zostać w nich zasypanym. Tam są takie wąskie korytarze, że miejscami trzeba pełznąć. Gracz pełza, przed nim ciemność i nie widzi, że na krawędzi nad nim siedzi dwóch naszych pracowników, którzy w odpowiednim momencie kładą mu na plecy kamień. „Zasypało mnie!” – wrzeszczy jak zarzynany.

PODPALAMY DOM?

Komplikacja scenariusza gry, liczba nawrotów akcji zależą tylko od grubości portfela klienta. On sam

Klienci nie tylko płacą za swój strach, lecz także potrafią wystraszyć obsługę, tonąc w niezaplanowanych miejscach czy gubiąc się na bagnach

z których każda waży prawie cetnar. Wepchnęły go do klatki, biegały dookoła i wrzeszczały. Klient do dzisiaj z przerażeniem opowiada o tym przyjacielom.

GWAŁCĄC I ZABIJAJĄC

– Nim zaczniemy grę, poznajemy klienta przez miesiąc, czasami potrzebujemy dwóch. Mężczyźni zawsze zgrywają supermenów i strasznie kłamią. Pytasz takiego, jak długo może wstrzymać oddech. Odpowiada: „Dwie minuty!”. Zapisujemy, a on się jeży: „A to do czego?”. „A tak, na wszelki wypadek, gdybyśmy mieli wrzucić pana do wody”. „Zaraz, zaraz! Zapiszcie 40 sekund!”.

– Gracz sam wybiera grę i swoją w niej rolę. Pod niego piszemy scenariusz. No, na przykład chce być mongolskim chanem, który prowadzi swe wojsko, paląc wsie, gwałcąc i zabijając.

– Chwileczkę, co to znaczy gwałcąc?

– No, to tak obrazowo mówiąc. Para prostytutek specjalnie nie zawyży faktury za grę. Ale gracze jeszcze nigdy nie chcieli prawdziwego seksu, adrenalina i tak wali im uszami.

– Gwałty z rekwizytornią, a ryzyko?

– Prawdziwe, prawdziwe. Trasy wielu gier przechodzą przez pieczary. Pod Tułą są takie jaskinie, że zginąć w nich to żadna sztuka. Gracz idzie w pieczary, a z nim dwie dziewczyny, „modelki”. Za przewodnika dajemy mu aktora, a gracz myśli: specjalista-speleolog. Aktor jest energicznym mężczyzną, który wie wszystko. Gracz zaczyna mu ufać, odpręża się. A tu nagle przewodnik gubi się, znika. Gracz zaczyna rozumieć, że został sam. Z babami. Krótko mówiąc: problemy. Musi wziąć się w garść i jeszcze uspokajać dziewczęta w rodzaju: „Trzymajcie się mnie, nie zginiemy”. I zaczynają błdzić.

Nie podejrzewa, że jedna z „modelek” to autentyczny speleolog, zna te jaskinie od A do Z. Ona zaczyna niezauważenie wyprowadzać go stamtąd, daje

mówi, ile gotów jest wydać: pięć, dziesięć tysięcy dolarów czy więcej. Średnia cena „historycznego” kostiumu dla zleceniodawcy to około 700 dolarów. Domki do podpalania kosztują zaledwie sto dolarów. Nazwisko klienta, który zapłacił najwięcej za swoją grę, i suma, jaką wyłożył, są tajemnicą handlową. Wiadomo tylko, że zażyczył sobie: „Chcę, by za mną stała armia!”. Zabrakło firmowych kaskaderów, trzeba było zapraszać z Moskwy 200 ludzi w koczugach. Gra toczyła się na terenie Kremla w Tułach, z którym firma ma umowę. Solidna gra trwa kilka dni, w tym czasie idzie tyle pieniędzy, jakich średni kołchoz nie zarobi w ciągu pięciolatki.

Ale są i gry „dla ubogich”. Na przykład można zrzucić się z przyjaciółmi po 500 dolarów i zagrać w II wojnę światową. Gracze zabijają faszystów, ci też nie pozostają dłużni. Taka zabawa może zamienić się

w planie operację wojskową z użyciem samochodów, a nawet czołgów.

NO DOBRA, ALE DLACZEGO TONIEMY?!

– Czy zdarzają się niezaplanowane niespodzianki?

– O, bez przerwy. Jeden z „russkich bojarów” postanowił popływać na łódce. Sam ją wybrał, akurat tę jedną, która była atrapą. Takie atrapy są lekkie, używa się ich do podpalania (w czasie walk na wodzie). A on ważył 120 kilogramów plus koczuga – kolejne 30. Na dodatek wziął ze sobą fotografa i wioslarzy. Odbili. Odpłynęli dość daleko od brzegu, a łódeczka cicho zaczęła tonąć. Zbraniał: „Aj! Oj! Ej! Dłaczego toniemy! Ja jestem w koczudzie!”. Pływać w rynsztunku to jakby z kamieniem u zęby. Normalny człowiek i na łódzie samodzielnie go nie zdejmie. My też dostaliśmy wtedy dawkę adrenaliny.

my im podarki poza programem. Oczekują świętego Graala, Złotej Ikony, a trafiają na milicję. Wiążą ich, wypychają do samochodu i wiozą na posterunek. Milicjanci, rzecz jasna, to też nasi aktorzy.

Gracze sami szukają nowych doznań. Mamy klienta, który wykupił już trzy gry. W końcu wymyślił własną. „Zbudujmy – mówi – miasto. Każdy będzie w nim miał swoją rolę, bez przebierania się w kostiumy. Gubernator, ochrona, chłopci: żyją, pieniądze zarabiają. Będzie więzienie, kasyno, policja i urząd skarbowy. A ja będę barbarzyńcą, który przyjdzie tam z parą przyjaciół i spróbuje przeżyć. Pieniądze albo ukradniemy, albo zarobimy. Nie wyjdzie – będziemy głodować. Złapiecie – wsadzicie do więzienia”.

Jeszcze postawił warunek, że wszyscy zaczynają grę bez niego. I nikt nie wie, kiedy on się pojawi. Zbudo-



Fot. REUTERS/FORUM (2)



Zdjęcia przedstawiają autentyczne wydarzenia: milicyjne obławy, efekty gangsterskich porachunków, ćwiczenia oddziałów specjalnych. Wszystkie te podnoszące poziom adrenaliny zdarzenia są inspiracją dla graczy, którzy chcą je przeżyć i mieć gwarancję, że nic im się nie stanie. Zdjęcia z prawdziwej gry otrzymują wyłącznie jej uczestnicy

Drugi incydent też przytrafił się nam na wodzie. Gracz – „mongolski chan” – ruszył przez bagno. Za nim szedł wierny sługa (Mistrz, czyli prowadzący grę), niosąc żonę chana. Przed rozpoczęciem gry penetrowaliśmy bagno i znaleźliśmy ścieżkę. A chan wlaź w sam środek bagna. Idzie tak powoli, powoli. Wierny sługa został na ścieżce, ale i jego zaczyna zasysać. A my wszyscy na drugim brzegu! Patrzymy, sługa rzucił już żonę i tkwi w bagnie po szyję. Żadnych ubezpieczających w pobliżu. Wtedy Mistrz jedyny raz naruszył zasady gry. Powiedział: „Proszę, rzecz jasna, o wybaczenie, ale tonę w bagnie nie na żarty”. Graczowi udało się go wyciągnąć.

ZAGRAJMY W URZĄD SKARBOWY!

– Czy po grze pokazujecie klientom całą „kuchnię”? – Tak. Ale pierwszą grę przeżywają na maksa! Kiedy wykupują drugą (a bywało, że i третią), przygotowuje-

waliśmy miasto na starym wyrobisku. Miasto-atrapa ożyło! Gra zaczęła się rozwijać poza scenariuszem. Doszło do pałacowego zamachu stanu, chociaż nie było go w planie, spłonęła knajpa, a miała stać do końca.

– Nie boicie się, że pewnego razu przyjdzie do was ktoś z baaardzo grubym portfelem i zamówi porwanie samolotu przez terrorystów? Nie dla siebie, ale powiedzmy dla swego znudzonego przyjaciela.

– Nasi zleceniodawcy to romantycy. A tym, którzy chcą brutalnych rozrywek, walk full-contact, odmawiamy. Porwanie samolotu to bardzo brutalna niespodzianka. I bardzo droga. Ale teoretycznie możliwa.

JELENA CZERDANCEWA, TUŁA
©KOMSOMOLSKA PRAWDA
TŁUMACZYŁ ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

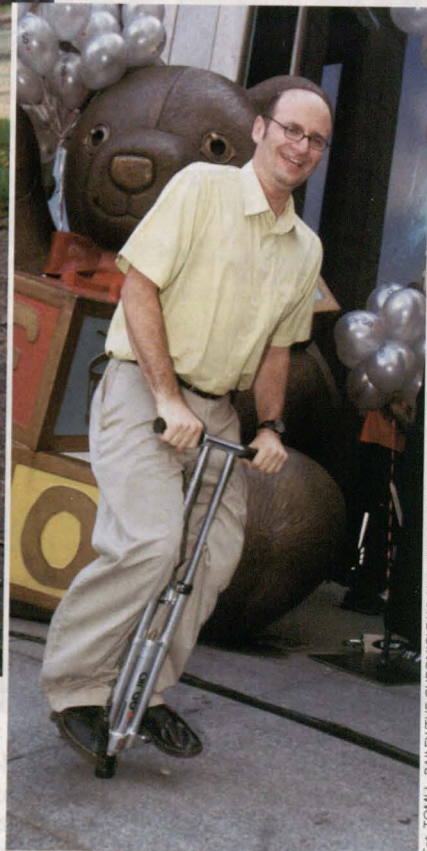
PATYK MAŁEJ POGO

współczesnego urządzenia „pogo stick” (patyk). Gdyby jeszcze mądry rolnik wiedział, że za kilkadziesiąt lat w dalekiej Ameryce za jego pomysł ludzie będą płacić nawet po sto dolarów...

Co może być pociągającego w bezustannym skakaniu na pogo sticku? Nie do końca wiadomo. Podobnie jednak jak wiele właściwie bezsensownych czynności – pogo stick po prostu wciąga. W latach 20. zeszłego wieku Amerykanie mogli między innymi obejrzeć ślub pary skaczącej na wiadomo czym. Szaleństwo trwa. Bite są coraz to nowe rekordy. Najdłuższy przeskakany dystans: 23 mile (około 37 kilometrów);



Dawno temu, w zeszłym wieku, w Birmie żył sobie biedny rolnik, który miał córkę o imieniu Pogo. Mała Pogo była bardzo pobożna i chciała każdego dnia chodzić do świątyni, żeby się modlić. Niestety, drogę do miejsca modłów zagradzały dziewczynce ostre kamienie i błotne bajory, a biedny ojciec nie miał pieniędzy na buty dla córki. Na szczęście zadośćuczynieniem za biedę rolniczej rodziny był bystry umysł taty Pogo. Z kilku patyków wymyślił on urządzenie, które pozwoliło małej dziewczynce kilkoma skokami przebyć przeszkody na drodze do świątyni. Wspomnienie tamtej historii przetrwało w nazwie



Fot. TOMIL L. BAILEY/THE CHRONICLE/AP, KATHY WILLENSIAP

najszybsze wskoczenie na szczyt CN Tower w Toronto (1899 schodków): 57 minut; najszybsza mila (1,6 kilometra): 12 minut i 16 sekund. Pogo stick funkcjonuje też poza przemysłem zabawkarskim. Wokalista Red Hot Chili Peppers na najlepszej płycie zespołu śpiewał o lunatykach na pogo stickach, a grupa System of a Down nagrała piosenkę „Bounce” w całości poświęconą wynalazkowi biednego rolnika z Birmy. (raf)



W KULKI ZE MNĄ GRAJ

Ten sport nie jest u nas popularny? – dziwi się Ryszard Fijolek, prezes walbrzyskiego klubu petanque. – Ależ w ostatnich zawodach brało udział 360 osób.

Stolicą petanque albo inaczej boule jest Dolny Śląsk. Gra przywędrowała do Walbrzycha po II wojnie światowej. Przewieźli ją ze sobą polscy górnicy, którzy wrócili na te tereny z Francji. Ryszard Fijolek twierdzi, że boule ma wielowiekową tradycję. Kiedyś ponoć w petanque grali napoleońscy żołnierze armatnimi kulami, oczekując na rozpoczęcie bitwy.

Zasady są bardzo proste – zapewnia Ryszard Fijolek. – Rzuca się dużymi metalowymi kulami w mniejszą, drewnianą, nazywaną w tej grze świnką.

Do zabawy potrzebne są dwie drużyny po trzy osoby, 12 metalowych kul ważących po 700 gramów i jedna mała drewniana o przekroju 30 milimetrów. Jeden z zawodników rzuca świnką, tak by upadła w odległości nie mniejszej niż sześć i nie większej niż dziesięć metrów od rozgrywających. Potem gracze po kolei rzucają metalowymi kulkami. Ten, który dorzuci swoją najbliższą świnkę, otrzymuje punkt. Jeden set to 13 punktów.

Kilka tygodni temu na turnieju w Walbrzychu graliśmy od 10 rano do 22 – opowiada prezes. – To zabawa dla każdego. W boule mogą grać zarówno siedmioletnie dzieci, jak i 70-latkowie. Mamy tu jedną panią, która niedawno skończyła 74 lata i jest mistrzynią. To pomaga w zachowaniu dobrej kondycji.

W Polsce działa już 12 klubów petanque. – Swojej reprezentacji nie ma jedynie Wybrzeże Gdańskie i Łódź – twierdzi Ryszard Fijolek. (saj)

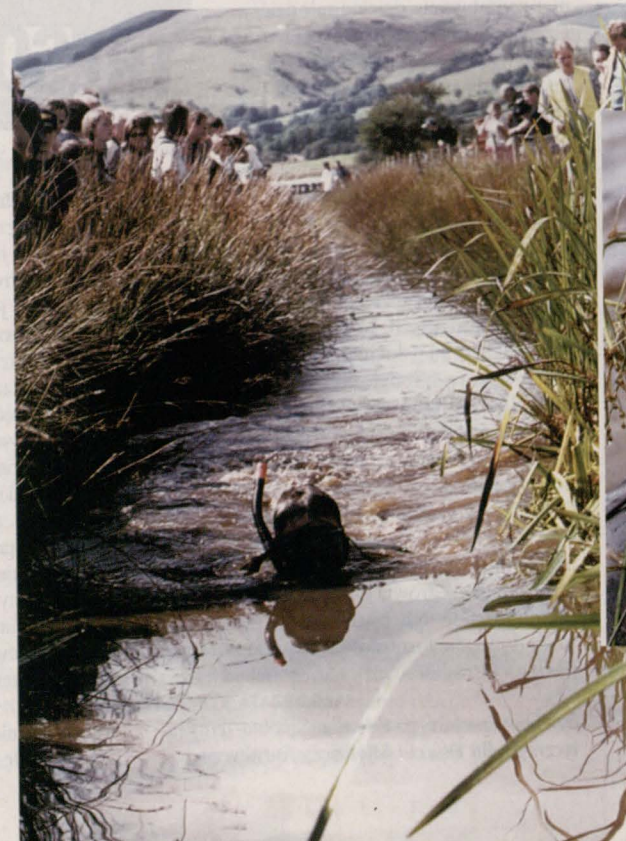


Fot. JAMES A. SUGAR/CORBIS/FREE

BRUDNI, ALE SZCZĘŚLIWI

Amatorzy nurkowania w bagnie torfowym i w rowach melioracyjnych powinni odwiedzić miasteczko Llanwrtyd Wells w Wielkiej Brytanii. 25 sierpnia odbędą się tam doroczne mistrzostwa świata w nurkowaniu i pływaniu w nurcie bagnistej rzeki. Wystarczy zaopatrzyć się w maskę z fajką, pletwy i – opcjonalnie – kombinezon, a następnie przepłynąć dwa odcinki po 60 jardów (około 55 metrów) w czasie krótszym niż godzina i 45 minut (taki wynik uzyskał ubiegłoroczny zwycięzca Philip John). Pytanie, po co ktokolwiek miałby dobrowolnie nurzać się w śmierdzącym mule, pozostaje bez odpowiedzi, aczkolwiek w zeszłym roku w zawodach wzięła udział rekordowa liczba uczestników – 93 osoby.

Llanwrtyd Wells jest najmniejszym miasteczkiem w Walii, ale słynie z wielu atrakcyjnych i tylko tam uprawianych sportów, na przykład wyścigów człowieka z koniem. (pmp)



Fot. INAPRESS/BE&W (3)



Fot. UK PRESS/BE&W (2)

ŻONA POWINNA BYĆ LEKKA

Estończycy zdominowali tegoroczne mistrzostwa w noszeniu żon w Sonkarji w Finlandii. Wygrali po raz szósty z rzędu, dystansując Finów, pomysłodawców zawodów. Dyscyplina zrodziła się podobno w XIX wieku, kiedy to bandy rzeźmieszków napadały na fińskie wioski i uprowadzały żony osadników. Zawody odbywają się na torze o długości 287 jardów (około 263 metrów), wygrywa najszybszy. Trasa jest od przeszłości. Estończycy swą supremację zawdzięczają zapewne wprowadzeniu nowatorskich metod noszenia żon. Dawniej kobiety siadały mężom na barana i trzymały się ich głów. Estonki obejmują męża nogami za szyję i zwisają głową w dół, co pomaga partnerowi utrzymać równowagę, a może również zmniejsza opór powietrza. Waga kobiet też odgrywa niebagatelną rolę – te z Estonii były tak lekkie, że wprowadzono dolny limit – 49 kilogramów. Michael Toohey, mistrz Ameryki Północnej w noszeniu żon, zdumiał się, gdy zobaczył Estończyka robiącego rozgrzewkę przed wyścigiem: – Oni myślą, że robią to na serio! – wykrzyknął. O profesjonalizmie zwycięzców świadczy postawa Margo Uusorg, dziewczyny (jeszcze nie jest prawdziwą żoną) noszonej przez obecnego mistrza świata. Na pytanie, czy nie przeszkadza jej intymny charakter zawodów, Margo odparła: – Gdy go poznałam, nosił już inną kobietę, więc nie mogę narzekać.

Finowie nagradzają zwycięską parę piwem w ilości odpowiadającej ciężarowi żony. (pmp)



Artykuł JOANNY GORZELIŃSKIEJ „TRESOWANIE DO ŻYCIA” („P” 30/3031) opowiadający o sposobach terapii dzieci autystycznych oraz komentarz Wojciecha Eichelbergera do tego materiału („P” 31/3032)

wzbudziły wielkie emocje czytelników oraz opisanych w nich osób. Przedstawiamy niektóre z nadesłanych listów.

Odpowiedź z Ośrodka

Autyzmem zajmuję się od 16 lat, a od 10 lat prowadzę opisywany w artykule Ośrodek w Gdańsku i jego filię w Gdyni. Doprowadziłam do jego powstania, kiedy nie było jeszcze w naszym kraju żadnych zorganizowanych form pomocy dla dzieci z autyzmem. Zajął się tym problemem, ponieważ jestem matką autystycznego chłopca. Kiedy mój synek miał dwa lata, byłam w rozpacz, dziś, kiedy jest 18-latkiem po wielu latach terapii w Ośrodku, jestem dumna z jego osiągnięć. (...)

W naszym Ośrodku stosujemy metody pracy oparte na analizie behawioralnej stosowanej, czyli rozwijanej od przeszło 50 lat dziedzinie nauki zajmującej się wykorzystaniem praw teorii uczenia się w praktyce. Pracujemy na wzór najlepszych w świecie ośrodków (...). Wyboru metod dokonujemy na podstawie dogłębnej analizy zachowań każdego z naszych podopiecznych. Podstawowym elementem naszej pracy jest jak najczęstsze nagradzanie.

Uwzględniając indywidualne preferencje dziecka, nagradzamy je i chwalamy za każdy, nawet najmniejszy, wysiłek dotyczący nauki, samodzielności i właściwego zachowania. Każdy uczeń ma indywidualnego terapeutę i indywidualny program uwzględniający wszystkie umiejętności, które umożliwią mu samodzielne życie. Uczymy porozumiewania się, czytania, pisanie, umiejętności posługiwania się terminarem, zegarem, pieniędzmi, samoobsługą, bycia w grupie, inicjowania kontaktów z innymi ludźmi, muzykowania, jazdy konnej i opieki zwierzętami. Ćwiczone umiejętności dzielone są na bardzo małe kroki, aby łatwiej było je dziecku opanować i aby mogło ono jak najczęściej osiągać sukcesy. Często ćwiczenie trzeba powtarzać setki razy, zanim dziecko opanuje na przykład kolejne słowo czy gest. W przypadku dzieci autystycznych angażujących się w zachowania niepożądane nie jest możliwe ani właściwe prowadzenie terapii opartej wyłącznie na nagradzaniu. Te zachowania to agresja i autoagresja (...), zachowania niszczycielskie, zachowania autostymulacyjne (na przykład nieustanne kręcenie czy postukiwanie przedmiotami, tysiąckrotne zapalanie i gaszenie światła, otwieranie i zamy-

kanie szuflad czy powtarzanie tych samych fragmentów reklam, przestrzeganie sztywnych rutyn, takich jak zawsze takie same trasy spacerów, oglądanie zawsze tego samego kanału telewizyjnego lub ubieranie się zawsze w takie same zestawy ubrań), a także nieakceptowane społecznie formy kontaktu z innymi (na przykład obwąchiwanie i dotykanie obcych). Zachowania te nie są w żaden sposób zwinione przez dziecko, skazują je jednak na całkowitą społeczną izolację. Naszym celem jest nauczenie dziecka podstawowych norm społecznych i postawienie granic. Niestety, najczęściej nie da się tego zrobić poprzez wyjaśnienie dziecku, że powinny być grzeczne, przez dawanie im słownych zakazów ani poprzez dobry przykład, ponieważ nie rozumieją one mowy i nie uczą się przez naśladowanie. Konieczne jest stosowanie innych, specjalistycznych metod pracy nad tymi patologicznymi zachowaniami. Część z nich zawiera element przymusu, na przykład kierowanie ręką dziecka, żeby podniosło szklankę, lub dotykanie jego pleców, żeby szło we właściwym kierunku. Przytrzymywanie na materacu jest procedurą najbardziej restrykcyjną, zarezerwowaną dla najtrudniejszych zachowań. Dziecko w ataku szału gotowe jest rozbić sobie głowę o ścianę, a terapeuci nie mogą do tego dopuścić. Starają się, aby w trakcie przytrzymywania nie sprawić dziecku bólu, nie poniżają go ani nie wyładowują na nim swoich negatywnych emocji, kiedy stają się obiektem agresji. (...)

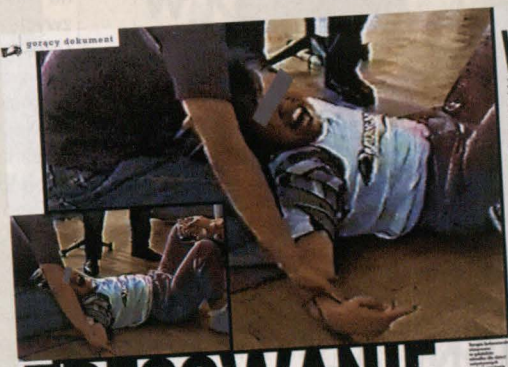
Niestety, w większości placówek w naszym kraju nie ma wypracowanych metod pracy nad trudnymi zachowaniami. Najczęstszym rozwiązaniem jest unikanie problemu, czyli nieprzyjmowanie dzieci i młodzieży z zachowaniami agresywnymi i autoagresywnymi do szkół i przedszkoli. Jeśli znajdują się one w szpitalach psychiatrycznych, poddawane są działaniu leków psychotropowych i unieruchamiane w pasach lub kaftanach bezpieczeństwa na wiele godzin.

W wyniku takich działań doraźnie się uspokajają, jednakże wcale nie uczą się lepszego funkcjonowania. Dzięki prowadzonej przez nas terapii dzieci rozwijają się i mogą żyć w swoich rodzinach. Mogą jeździć środkami komunikacji miejskiej, chodzić na koncerty czy po zakupy z rodzicami. Część z nich trafia do masowych szkół i przedszkoli. Przemoc wobec dzieci jest w naszym kraju realnym zagrożeniem. Problem ten nie dotyczy jednak prowadzonego przeze mnie Ośrodka. W ciągu ostatnich dwóch lat mieliśmy dwie kontrole z kuratorium, jedną kontrolę z Ministerstwa Edukacji i Sportu oraz Ministerstwa Zdrowia i dwa postępowania prokuratorskie. Nie potwierdziły one zarzutów i donosów formułowanych pod adresem naszego Ośrodka. (...)

MAŁGORZATA RYBICKA
dyrektor Specjalnego Ośrodka Szkolno-Terapeutycznego dla Dzieci i Młodzieży Autystycznej

Niebezpieczeństwa radykalnego behawioryzmu

W związku z artykułem Joanny Gorzełińskiej czujemy się jako grupa Przeciwko Przemocy w Terapii Osób z Autyzmem przy KIA O/Gdańsk zobowiązani do zabrania głosu. Krytyka, jakiej podjęła się nasza grupa, nie dotyczy samej terapii behawioralnej, którą – jeśli występuje w wersji *gentle teaching* – uznajemy jako jedną z wielu metod przydatnych w pracy z dzieckiem autystycznym, ale eksperymentu behawioralnego zaszczepionego w Ośrodku w Gdańsku przez J. Skarę i A. Karlsena, a propagowanego z wielkim entuzjazmem w całym kraju przez ich polskich uczniów. Przyjęto w nim strategię karania „za wszystko”, co często prowadziło do pogłębiania zaburzeń dzieci, lęków, oporów, agresji. Panowie ci zapomnieli, że dzieci autystyczne są bardzo różne, mają różny potencjał intelektualny, zróżnicowane możliwości motoryczne i różne osobowości. Także charakterystyczne dla autyzmu trudności w komunikowaniu się, kontaktach społecznych i zachowaniu, zaburzenia sensoryczne i często metaboliczne, występują u poszczególnych autystów w różnym



TRESOWANIE DO ŻYCIA

nasileniu. Ten stan implikuje cały proces terapeutyczny i edukacyjny, który musi być za każdym razem dopasowywany do dziecka i jego możliwości. Dlatego nie można mówić o istnieniu jednej czy „najlepszej” terapii autyzmu. Dzieci z autyzmem nie są agresywne czy autoagresywne z natury swojej choroby, choć takie zachowania mogą się czasami uzewnętrznić. Za każdym razem potrzebna jest wnikliwa obserwacja pacjenta. Przyczyny mogą być bardzo różne, na przykład nadwrażliwości sensoryczne, alergie pokarmowe, kandydoza, ale także często lęk czy złe dobranej terapii (na przykład stawiająca zbyt wysokie lub zbyt niskie wymagania). Nie możemy pozostawiać bez komentarza stwierdzenia p. Kozłowskiego, że poza terapią behawioralną dzieci będą siedzieć i się kiwać. Zaprzeczam temu historia dzieci odebranych z Ośrodka.

Kubuś i Arek uczęszczają do klasy integracyjnej w szkole masowej w Gdańsku. Z dobrą

chęcią zaliczyli testy kompetencyjne do klasy dwartej. Chłopcy uczestniczą w życiu klasy szkolnej, na przykład biorą co roku udział w konkursach klasowych przedstawieniach... Anetka Filip chodzi do szkoły życia w Gdańsku. Anetka, która będąc w Ośrodku pod opieką dwóch terapeutek, straciła dwa zęby (rodzice dotąd nie mogą uwierzyć, że to był nieczęsty wypadek), bezkolizyjnie uczestniczy w zajęciach grupy, gdzie na pięciorgo dzieci przypada jeden nauczyciel. Także Filip, który przeżył głęboką traumę w prowadzonej według modelu norweskiego klasie (o czym wspomina autorka „Tresowania do życia”), z radością chodzi do swojej nowej szkoły.

Podobnie rzecz się ma z gdyńskimi młodymi autystami: Wojtkiem, Kasią i Szymkiem, którzy chodzą do gdyńskiego Ośrodka Adaptacyjnego. 18-letni Szymon, który wcześniej bez chęci wykonywał schematyczne ćwiczenia, rozpoczął w swojej nowej placówce naukę czytania i pisanie i odnosi już pierwsze sukcesy. Wszyscy robią postępy w rozwoju kontaktów społecznych, co wcześniej sprawiało im spore trudności. Mateusz, tak beceremonialnie opisany przez terapeutkę Blok (czy etyka zawodowa nie zabrania p. Blok naruszania dóbr osobowych pacjenta?) i trzeba tu zaznaczyć: nieprawdźwie (pomyłono zainteresowanie fakturą džinsu i firmowymi naszywkami z zainteresowaniem płciowością), przeżył traumę najcięższą. Wcześniej ufnie i radośnie witający z imienia i nazwiska znane mu osoby, teraz unika kontaktów z ludźmi, paraliżuje go lęk. Jego zachowanie doskonale mieści się w opisie zespołu stresu pourazowego, który dotyczy ofiary gwałtów i przemocy, niezależnie, czy te osoby mają IQ w normie, czy też poniżej...

Jak widać, prezentowany radykalny behawioryzm może być groźny w skutkach, co odczuło już wiele dzieci z autyzmem. Dziękujemy Redakcji za próbę podjęcia dyskusji.

W imieniu grupy Przeciwko Przemocy w Terapii Osób z Autyzmem

EWA SZMYTKOWSKA

Autyści bywają pogodni

Bardzo dziękuję za wyważony komentarz Wojciecha Eichelbergera do artykułu „Tresowanie do życia”. Zrozumiałam, że Pan Wojciech nie znał opisaną metody i na wszelki wypadek zostawił lekko otwartą furtkę na stosowanie przymusu wobec dzieci z autyzmem (prawdopodobnie w bardzo uzasadnionych wypadkach). Problem w tym, że opisywani behawioryści nie analizują przyczyny złych zachowań, ale skupiają się tylko na ich likwidacji. Co to znaczy „złe zachowania”?

U mojego syna złym zachowaniem było jego „pogadywanie” w czasie zajęć, co w nowej szkole jest odbierane przez nauczycieli jako komunikat o aktualnym stanie psychicznym syna, o jego akceptacji zajęć. W nowej szko-

le nikt nie zastrzega mu dłoni ust i po dwóch latach on przestał również nam zastrzegać usta. Bo kto nam zaręczy, że autysta – wobec którego stosuje się wykręcanie rąk („tak na przyszłość, bo każdy autysta staje się agresywny”), przytrzymywanie, zastraszanie ust, przysiadanie – nie wykorzysta tego w przyszłości przeciwko nam? Przez całe 17-letnie życie mojego syna Wojtkę uczyłam jego starszego o trzy lata brata, że nie może stosować przemocy wobec młodszego brata, bo nie wiadomo, jak Wojtek zareaguje, gdy dorośnie. Oczywiście nie oznacza to, że niepełnosprawnemu bratu wolno było wszystko. Stanowcze „nie”, ignorowanie krzyków, pokazanie własnych emocji poprzez robienie smutnych min i przekazywanie informacji, że „będę płakać”, „że jest mi przykro, kiedy się tak zachowujesz”, pomaga do tej pory. Terapeuci behawioryści nie chcieli stosować takiego rodzaju wyciszania syna, ponieważ nie chcieli nim manipulować. W prywatnej rozmowie Arild Karlsen przyznał mi, że procedury trzeba jak najbardziej „unormalniać”, że lepiej jest pokazać dziecku mimiką twarzy, że nie odpowiada nam jego zachowanie, niż wprowadzać na ulicy procedurę „wstań – siadaj”, ale zakończyło się tylko na rozmowie.

Ośrodek gdański robi wiele złego w dziedzinie informacji – określenie „autyzm” kojarzone jest z dzieckiem agresywnym lub autoagresywnym, niebezpiecznym, takim, które całe życie będzie musiało być pod specjalną (drogą) kontrolą. Dziecko z zespołem Downa to radosny przytulaniec (ale nie zawsze), a autysta to strach, zagrożenie. Słowo „autyzm” zamyka wiele drzwi do edukacji. Uważam, że przyczyniła się do tego polityka Ośrodka, a także stowarzyszenia SPOA.

Sama byłam kiedyś w tym stowarzyszeniu i często buntowałam się na izolowanie dzieci autystycznych. Moim zdaniem autyzm to upośledzenie jak każde inne, jak w każdym innym są cięższe i cięższe przypadki, a to, że często nie widać upośledzenia na twarzy dziecka, to powinno być tylko atutem. Poza tym przestałbym wreszcie widzieć w tych dzieciach tylko zagrożenie, złe zachowania. To często bardzo pogodne dzieci mające zdolności w wielu dziedzinach. Dzięki mojemu autystycznemu synowi raz w miesiącu jestem w operze, rozpoznaję niektóre arie czy koncerty symfoniczne, niektóre, bo on zna się na tym lepiej. Słucha też Dire Straits, Raz, Dwa, Trzy, potem Beethovena i Obywatela GC. Chodzimy do kina, na wystawy, do muzeów, daję mu dużo samotności, bo jest nastolatkiem, który tego potrzebuje. Są miejsca, do których go nie zabieram, żeby sobie ułatwić życie (księgarnie, bo wybiera dobre drogi książki przyrodnicze), ale nie wszędzie zabieram też moje zdrowe dzieci, również dlatego, żeby sobie ułatwić życie...

Serdecznie pozdrawiam. Mam nadzieję, że dyskusja będzie trwała i przyniesie rozwiązanie najlepsze dla dobra dzieci.

BEATA MRÓZ-GAJEWSKA
oligofrenopedagog, mama Wojtki



Copyright © 2003 Nokia. Wszelkie prawa zastrzeżone. Nokia, Nokia Connecting People są zastrzeżonymi znakami towarowymi Nokia Corporation.

Fotografia to Twoja pasja?

Zapraszamy do konkursu na najlepsze zdjęcie ilustrujące hasło „Connecting People”. Najciekawsze interpretacje zostaną nagrodzone.



Fotograficy profesjonalni
Nagroda główna: **sprzęt fotograficzny o wartości 10 000 PLN** oraz roczna prenumerata „Przekroju”.



Fotograficy amatorzy
Nagroda główna: **półroczny staż u jednego z najlepszych, polskich fotografików Jacka Poremby** oraz roczna prenumerata „Przekroju”.

10 kolejnych miejsc nagrodzonych zostanie telefonami Nokia z wbudowanym aparatem fotograficznym oraz półroczną prenumeratą „Przekroju”. Wszystkie nagrodzone zdjęcia zostaną opublikowane w kalendarzu na rok 2004 oraz wezmą udział w wystawie otwartej dla publiczności. Termin nadsyłania prac do 15 września 2003. Rozstrzygnięcie konkursu 10 października 2003.

Regulamin konkursu dostępny jest w redakcji Przekroju oraz na stronach www.przekroj.pl i www.nokia.com.pl

PRZEKROJ

NOKIA
CONNECTING PEOPLE



Maskowanie braków

Jestem doradcą d/s bezpieczeństwa, byłem dyplomatą. W latach 1992–1997 byłem w Belgradzie. Tekst Jakuba Mielnika o polskich żołnierzach w Iraku („P” 27/3028) zupełnie mnie nie zdziwił. W przeszłości były już przypadki, iż polscy żołnierze udawali się na misje złe przygotowani, bez broni, ginęli przypadkowo, bo byli pijani (wypadki), lub rozbijając niewybuchy (lekceważenie zasad bezpieczeństwa, głupota). Na misje zawsze wyjeżdżała zbieranina przypadkowych ludzi. Były to zwykle „odrzuty”. Szefowie okręgów wojskowych nie chcieli się pozbywać „dobrego żołnierza”. Teraz – lub raczej od niedawna – wyjazdy są „zarobkową fuchą”. Kiedy inni wysyłają zgrane i dobrze wyszkolone jednostki pod doświadczonym dowództwem, Polacy improwizują, nadrabiają, liczą na pomoc bożą itp. Ich doświadczenie jest nieprzydatne. Są to zwykłe „woziwozy” i budowniczości polowych latryn – słowem,

logistyka. Oddziałów ostrzelanych w warunkach bojowych nie ma! Wojsko Polskie jest częścią społeczeństwa, tyle że umundurowaną. Jak sobie radzimy – widać codziennie. Jak rozwiązujemy nasze problemy? O czym mówią wszystkie afery? Wojsko nie jest wyjątkiem.

Jednocześnie otumania euforia bycia w NATO i wchodzenia do Unii Europejskiej. Obowiązuje niepoprawny optymizm, naiwność i kryminalne maskowanie naszych braków. Zostaniemy szybko zdemaskowani, nasze braki obnażone. Będzie wstyd.

K. NOWAKOWSKI
Warszawa

Nieszczery raperzy

„Hymn biedy i wkurwienia” („P” 32–33/3033–3034) to bardzo cenny tekst. Osobiście zetknąłem się z wytwórczością panów Pei i Wiśni dzięki moim kilkunastoletnim latoroślom. Dzieci, wiadomo, przynoszą ze szkoły różne infekcje. Tak też było z nagraniami wspomnianych panów, a także z akcesoriami: smycz, bluza z kapturem itp. Warstwa muzyczna w tych pomysłach schodzi na drugi plan, dlatego dotarli do mnie jedynie teksty. Rzeczywiście są mocne i można odnieść wrażenie, że piszący powoli tracą cierpliwość do całokształtu toczącego się w tym kraju życia. Niektóre sformułowania trafne i zadziwiające poziomem egzystencjalnej refleksji. Panowie

bezlitośnie diagnozują stan ducha polskich polityków, artystów, robotników, a co najciekawsze, producentów muzycznych. Muszę przyznać, że ta szczerość i świeżość zeznań w tekstach niezwykle mnie ujęły. Pomyślałem: „Tak, to są autentyczni i niezależni ludzie”. Nie miałem jeszcze odwagi nazwać ich artystami. Dopiero wywiad w „Przekroju” utwierdził mnie w przekonaniu, które przez cały czas oczarowania zjawiskiem Peja, Wiśnia i jeszcze inni czaiło się gdzieś w podświadomości. Okazuje się, że to, o czym śpiewają, niekoniecznie wprowadzają w życie. Występ w telewizji publicznej już dał mi do myślenia. I kiedy przeczytałem w wywiadzie, że: „Ten koncert otwiera drzwi, które dla nas były cały czas zamknięte” oraz: „Jeżeli media chcą z moją pomocą zwiększyć sobie oglądalność, to niech ja też z tego coś mam...”, zastanowiłem się – gdzie niezależność, bezkompromisowość i niesprzedajność? Nasunęły się pytania. Czy nie mamy do czynienia z kolejnymi świetnymi graczami na rynku popkultury? Panowie są na rynku, mając nieprawdopodobnie mało do zaoferowania. Rapują o ludziach „lepiej ubranych niż utalentowanych”, a sami jako żywo jawią się niczym postacie z filmów Woody’ego Allena; posiadają niewątpliwie niepokój artystyczny, niestety, niewsparty żadnym konkretnym talentem.

ROMUALD ERENC



Jest taki kraj

Jestem mieszkańcem Pieniężna, małego miasteczka na Warmii. Od kilkudziesięciu lat jestem związany z rolnictwem. Nie jestem i nie będę zwolennikiem Andrzeja Leppera, lecz wypowiedź Piotra Najstuba („P” 31/3032) poirytowała mnie. Pan Piotr zadał pytanie – w tym miejscu cytuję: „Ale gdzie jest taki drugi kraj na świecie, w którym jedna grupa – pańscy wyborcy, rolnicy – ma prawo do preferencyjnych kredytów oprocentowanych na dwa procent rocznie? Resztę procentów sponia państwo, czyli podatnicy!”. Ano jest taki drugi KRAJ, Panie Piotrze, ano nawet nie jeden. Może nie ma tam kredytów o niskim oprocentowaniu, ale są inne formy preferencji, z których korzystają rolnicy. W całej UNIJNEJ EUROPIE istnieje olbrzymia machina dopłat do rolnictwa. Na ten temat moglibyśmy dyskutować dniami i nocami, ale myślę, że nie do tego należy dążyć. Zróbmy jedno, zróbmy naszą POLSKĘ normalną, bez absurdów i bez pomysłów Pana Andrzeja L.

JAROSŁAW SKIBA

„Przekrój”
wysyła polecenia
kulturalne

DZIENNIKI ZZA GROBU

Oto ostatni tragiczny bohater świata muzyki. OFIARA NIECHCIANEGO GWIAZDORSTWA i heroiny. 5 kwietnia 1994 r. KURT COBAIN Z NIRVANY popelniał samobójstwo w domu strzelając do siebie z pistoletu.

W listopadzie ubiegłego roku w Ameryce wydano zbiór zapisków, które po nim zostały. Redakcja „Przekroju” ceni bardzo muzyczną spuściznę Cobaina, ale nawet najlepszy muzyk nie musi być dobrym literatem, a WYDAWANIE PRZYPADKOWYCH ZAPISKÓW ARTYSTY jako „Dzienników” po jego śmierci i bez jego zgody to po prostu NADUŻYCIE.

Pamiętajcie o tym, Drodzy Czytelnicy, przy lekturze książki Cobaina, która w tym tygodniu wchodzi do polskich księgarń.

SZCZEGÓŁY NA STRONIE 82.

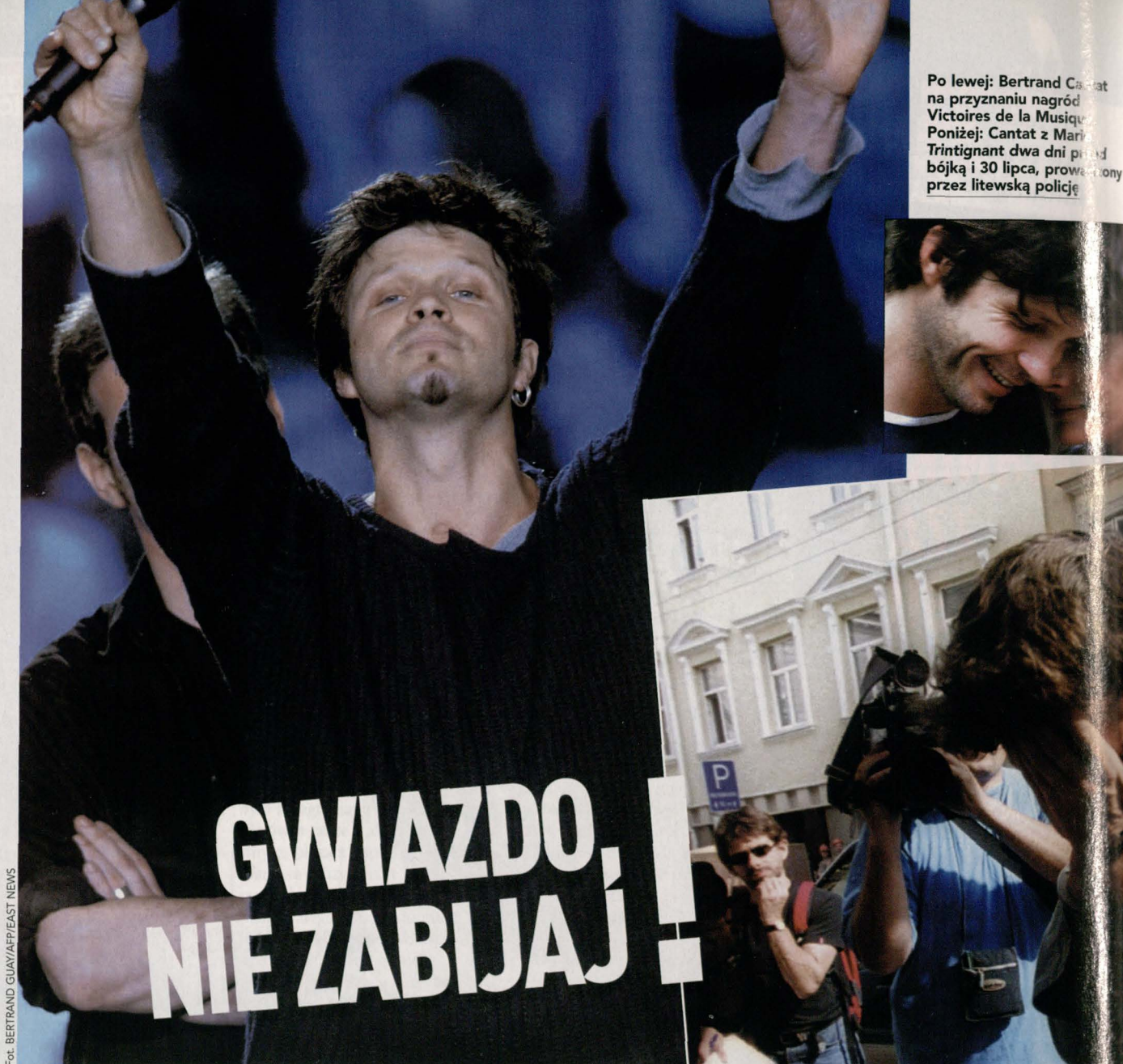
Cobain

Czekamy na Państwa listy.

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.



© MAREK MACIEJOWSKI



Po lewej: Bertrand Cantat na przyznaniu nagród Victoires de la Musique. Poniżej: Cantat z Marie Trintignant dwa dni przed bójką i 30 lipca, prowadzony przez litewską policję



Najsławniejszy rockman francuski zabił znaną aktorkę. Teraz Francuzi atakują nie tylko idola, którego tak szanowali, lecz także całą muzykę rockową

Z punktu widzenia Polaków bardziej znaną postacią jest w tej historii zmarła Marie Trintignant, córka słynnego Jeana-Louis. Dla Francuzów jednak – Bertrand Cantat, bohater pokolenia francuskich 20–30-latków, rockowy idol inteligencji, szanowany i bez skazy. Teraz we własnym kraju wzbudza nienawiść.

Francuski Morrison

Cantat to dla Francuzów postać pokroju co najmniej Kazika. Wokalista, autor tekstów, lider najważniejszej grupy rockowej ostatnich lat Noir Désir (Czarna Żądza). Powstali w latach 80. i bardzo

szybko zdobyli zaufanie publiczności. Jako jedni z nielicznych odmawiali występów w telewizyjnych variétés, co we Francji równa się niemal podpisaniu na siebie wyroku śmierci. Rzadko udzielali wywiadów. Jeśli już rozmawiali z dziennikarzami, to zawsze we czwórkę, nigdy osobno. Taka polityka zaskarbiła im szacunek krytyków. Sprzedaż płyt też nie spadała mimo braku nakładów na promocję. Ostatni album „Des visages, des figures” sprzedano na całym świecie w ponad milionie egzemplarzy, Noir Désir zdobyli też za niego pięć nagród Victoires de la Musique (francuski odpowiednik Fryderyków). W ubiegłym

roku występowali w Polsce, gdzie też znana jest ostatnia płyta, a singiel „Le vent nous portera” („Poniesie nas wiatr”) grały rozgłośnie radiowe.

Kojarzono ich z lewicą. W tekstach najczęściej występowali przeciwko francuskiej prawicy, w tym Jean-Marie Le Penowi. „Nic się tu nie zmienia – śpiewali po sukcesie Le Pena w wyborach, a przed wprowadzeniem euro. – Nawet jeszcze mniej, wszędzie FN [Front Narodowy – partia Le Pena], jesteśmy we Francji, tu zmieniamy tylko pieniądze”. W czasie prowokacyjnego koncertu w Tulonie, najsilniejszym bastionie Frontu Narodowego, wprowa-

dził na scenę grupę czarnoskórych raperów – to był pierwszy przypadek takiego koncertu w mieście. Wspierali francuskie organizacje pomagające imigrantom, śpiewali na rzecz wolnego Tybetu. Cantat, którego nazywano czasem Jimem Morrisonem z Bordeaux, był zdeklarowanym antyglobalistą, a przy tym wzorem skromności i zaprzeczeniem rockandrollowego szaleństwa poza sceną. „Wydawało się nieprawdopodobne, żeby ten człowiek był zdolny do takiej przemocy” – napisał francuski dziennikarz muzyczny, który wielokrotnie rozmawiał z Cantatem.

Benchetrita i zawiadomił go, że „uderzył” Marie. Podobnie o zdarzeniu opowiedział o piątej rano Vincentowi Trintignant, jej bratu. Poprosił go o przybycie, rozmawiali, ale gdy ten się pojawił, dopiero po dwóch godzinach zdał sobie sprawę, że Marie nie śpi, tylko jest nieprzytomna. Wtedy wezwano pogotowie.

Litewscy lekarze przeprowadzili dwie operacje. Na próżno. 31 lipca rodzina zabrała pogrążoną w śpiączce Marie do kliniki pod Paryżem. Dzień później aktorka zmarła. Sekcja wykazała, że przyczyną zgonu były liczne uderzenia w głowę. „Urazy są skutkiem wypadku w czasie bijałki, nie zbrodni” – tłumaczył Cantat za pośrednictwem swego adwokata. Według niego Marie straciła przytomność, gdy uderzyła głową o kaloryfer. Według rodziny zmarłej – po ciosie Cantata. „Le Monde” napisał o urazach, że są „charakterystyczne dla ofiar ciężkich wypadków motocyklowych, które nie używały kasku”. Bliscy Marie oskarżyli Cantata o zamierzone pobicie z niezamierzonym skutkiem śmiertelnym. Takiego paragrafu nie ma w prawie litewskim, więc sprawę przekwalifikowano na zabójstwo. Cantatowi grozi od 5 do 15 lat więzienia.

Eks-fani

„Byłem fanem Noir Désir – pisze jeden ze słuchaczy grupy. – Ale dziś obiecałem sobie nigdy już ich nie słuchać. Poszedłem do siedziby wytwórni Barclay i wytłumaczyłem im, że nie chcę już moich płyt z nagraniami zespołu. Zwróciłem je”. To samo zrobiło już kilka tysięcy osób. Płyty grupy z Bordeaux masowo wracają do wytwórni. Ekspozycja

nie sympatii dla Noir Désir nie jest nad Sekwaną mile widziana. Do jednego z pracowników Barclay przyszedł jego szef i kazał mu zdjąć ze ściany plakat Noir Désir. Inni zwracają uwagę, że w tekstach grupy są wątki związane z przemocą. Ba, padają oskarżenia o satanizm, nihilizm itd. Tragedia Cantata oznacza najprawdopodobniej koniec francuskiej grupy. Na razie jednak nikt nie chce tego komentować.

„Dowiedziałam się potem, że wcześniej Bertrandowi zdarzało się już bić inne kobiety” – twierdzi Nadine Trintignant. Poza wypowiedzią matki Marie nie ma jednak na to żadnych dowodów, interwencji policji, zeznań świadków. Wcześniej Cantat żył z Kristiną Rady, Francuzką węgierskiego pochodzenia, z którą ma dwoje dzieci. Ta jednak w wywiadzie dla litewskiej gazety zapewniała, że nie używał wobec niej przemocy.

Żywoły muzyków

Czy z powodu awantur wszczynanych przez muzyków należy zakazać słuchania ich płyt? Uznać, że to muzyka, która zachęca do przemocy? O ironio, Noir Désir zaczęło nawet wmawiać satanizm – jedna z płyt zatytułowana była „666.667 Club”.

Jak alarmują feministki z organizacji SOS Femmes, we Francji wskutek rodzinnych bójek ginie 400 kobiet rocznie. Podobne wypadki wśród gwiazd się zdarzają, choć nie częściej niż zwykłym obywatelom. Pięć lat temu Tommy Lee z Mötley Crüe odsiedział cztery miesiące w więzieniu za pobicie swojej ówczesnej żony Pamela Anderson. Nad Tiną Turner znęcał się z kolei jej nadużywający alkoholu i kokałainy eks-mąż Ike. 16 lat temu ojciec muzyki soul i funk James Brown (na koncie osiem aresztowań, ponad pięć lat w więzieniu) został zatrzymany po tym, jak rzucił się na żonę z zamiarem jej zabicia, uderzył ją metalowym prętem i strzelał do jej samochodu, gdy uciekała. Oczyszczono go z zarzutów, gdy żona zeznała: „Chcę mu pomóc, bo jest dobrym człowiekiem. Wiem, że mnie kocha i że to tylko choroba. Warto walczyć o nasz związek”.

Jedyny porównywalny z wileńską sprawą wypadek wydarzył się 25 lat temu. Sid Vicious z Sex Pistols pchnął nożem swoją dziewczynę Nancy Spungen. Znalazł ją rano w pokoju hotelowym martwą, ale utrzymywał, że nie ma żadnych wspomnień z poprzedniej nocy. Wiadomo, że oboje byli pod wpływem narkotyków. Vicious wyszedł z aresztu za kaucją. Krótko potem zmarł wskutek przedawkowania heroiny.

Niechby już się zabił

Francja, która kochała Cantata, teraz żąda ukarania wokalisty. Jeśli się wywinie, to tylko śmiercią samobójczą. W ciągu dwóch tygodni już dwa razy próbował się zabić. I wydaje się, że takie rozwiązanie byłoby na rękę francuskiej opinii publicznej. Tym bardziej że na razie nie uda się postawić artysty przed francuskim sądem. Paryż zażądał wydania Cantata, ale Litwa mówi: „Z powodów proceduralnych ekstradycji nie będzie”. Klimat nie sprzyja negocjacjom po aferze z Edytą Rumsas, żoną uwielbianego litewskiego kolarza (trzeci w ubiegłorocznym Tour de France), aresztowaną we Francji za przewożenie środków dopingujących. Tak sprawa urosła z rodzinnej do międzynarodowej.

Tymczasem, jak czytamy na jednym z francuskich forów dyskusyjnych: „Jeśli ona nazywałaby się Arlette Durant, a on Jean Dupont, nikt w tej chwili by o nich nie mówił, a przecież byłoby to to samo”.

BARTEK CHACIŃSKI

trafiony



zatopiony

KOPNIAK PRZESZ KORONKI



Kayah po raz pierwszy zaśpiewa swój premierowy materiał w Sopocie

Po trzech latach milczenia wraca Kayah, pełna witalności i nowych – niekoniecznie miłych – doświadczeń. Nagrała swój najlepszy album od czasów „Zebry”

KAYAH,
„STEREO TYP”,
BMG Poland

Stereo typ” zaczyna się od dwóch dość optymistycznych nagrań z mocnym, tanecznym rytmem, które sprawiają wrażenie, że oto wciąż słysząc poprzedni album wokalistki. To mylące. Są tu teksty niemal erotyczne, które nagle przeobrażają się w dość bolesne wyznania o damsko-męskich stosunkach. Pod tym względem też łatwo dać się oszukać i dostać nagle kopniaka przez warstwę koronek. „Od twoich warg/Myślałam przez te lata/Zaczął się

świat/Lecz to był koniec świata” – śpiewa Kayah w „Prośbie do twoich ust”. Już singiel „Testosteron” zapowiadał niezbyt pochlebne wyznania na temat męskiej natury. Cały album to opowieść o samotności, porcja gorzkich słów ukrytych pod maską słodyczy i nowego, jeszcze bardziej seksownego image’u.

Dobre, bo własne

Kayah mówi ostatnio, że nie goni za wielkim sukcesem, ale nie ma też

pewności, czy ludzie się od niej nie odwrócą. Spokojnie – zapomnienie jej nie czeka. A sukces i tak ją dopadnie, chociaż „Stereo typ” nie da artystce tak oczywistych spektakularnych hitów jak „Supermenka” czy „Na językach”. Fragmenty nowej płyty jeszcze raz dowodzą tego, że multiplatynowa płyta z Brzozowicem to nie była całkiem Kayah. I kolejny album „JakaJaKayah” też był tylko próbą dotarcia do trochę innej, klubowej publiczności. Najpierw ruch w pop, potem w niszę. A na nowej płycie mamy znów tę znajomą, stuprocentową wokalistkę, autorkę, kompozytorkę, która – co dziś słyszeć bardziej niż dotychczas – wypracowała własny styl na styku estradowego popu, rasowego rhythm and bluesa i... piosenki autorskiej.

Nie tylko sama sobie komponuje piosenki. Kayah autorka jest na rynku pop niezastąpiona jeszcze pod jednym względem – jako jedna z nielicznych polskich wokalistek nie wstydi się śpiewać o własnym życiu lub przynajmniej o osobistych lękach. Potrafi przez kilka minut budować ciepłą opowieść o rękach ukochanego, po czym nagle złamać ją puentą, która przysparza o dreszcz: „Czy to ta dłoń/Uwierzyć w to jest trudno tak/Ta sama choć/Zostawiła dzisiaj nagle na policzku maim ślad” („Twoja dłoń”).

Stary stereotyp

„Stereo typ” nie odkrywa nowych obszarów w muzyce. Jest tu kilka śmiałych aranżacyjnie utworów, pojawiają się młodzi a zdolni członkowie formacji 15 Minut Projekt. Ale z drugiej strony Kayah znów pokazuje, że najlepiej wypada w piosenkach o „czarnym” brzmieniu (świetny „Większy apetyt”), w repertuarze bardziej klasycznym, gatunkowym z żywym zespołem, a nie z zaprogramowaną perkusją („Kołysanka dla serca”). Nie ma tu też rewolucji personalnej. To podobny jak na poprzednich albumach skład muzyków, na czele z Krzysztofem Psoną, który jak zwykle współprodukował płytę.

Podtrzymany został pewien... stereotyp związany z Kayah – że choć to piosenkarka popularna, mało kto powie o jej twórczości: banał, złe, kicz. Ja czuję się mile połączony jako słuchacz. Jako mężczyzna – nieco pobity.

BARTEK CHACIŃSKI



Rok temu gościem Arte dei Suonatori była brytyjska skrzypaczka Rachel Podger

RAJ NA ZIEMI

17 koncertów w 9 dni – poznańska gwiazda muzyki dawnej, orkiestra Arte dei Suonatori, poprowadzi pod koniec sierpnia intensywny maraton z udziałem znakomitych gości zagranicznych

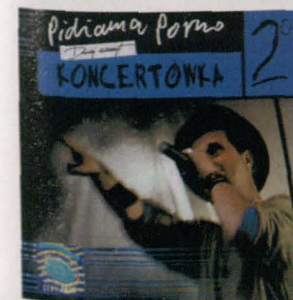
Od 22 do 30 sierpnia Arte dei Suonatori prowadzona przez Arka i Ewę Golińskich będzie muzycznym gospodarzem festiwalu „Muzyka w Raju” w klasztorze Paradyż w Gości-kowie pod Świebodzinem. Opromieniona blaskiem sukcesu, jakim był tegoroczny album ze „Savaganzą” Vivaldiego, polska orkiestra porównuje się teraz na zadanie jeszcze śmielsze. Oto w barokowych murach pocysterskiego kompleksu w Paradyżu zmierzy się nie tylko z Bachem, Telemannem czy Scarlattim, lecz także z kompozytorami późniejszymi – Debussym, Berią, Hindemitem czy Piazzollą. Przez dziewięć dni w cudownym pejzażu lubuskim z orkiestrą będą grać naprawdę wielcy: francuski flecista Aléxis Kessenko i jego szwedzki kolega Dan Laurin, klawesyniści Aline Zylberajch i Allan Rasmus-

sen, skrzypek z Japonii Ryo Terakado, a także współpracujący na stałe z zespołem lutniści Eero Palviainen i Andreas Arend. Orkiestra ma już wielką rzeszę fanów, która z pewnością zaludni paradyski zakątek pod koniec sierpnia.

Gdyby ktoś miał za daleko, powinien wpaść do krakowskiego kościoła św. Katarzyny 24 sierpnia. Tam w ramach corocznego, znanego w całej Europie Festiwalu Muzyki Dawnej (Jarosław – Kraków), odbędzie się koncert z cyklu Pieśń Naszych Korzeni. Z barokowym oratorium „Jephte” Giacomo Carissimiego zapozna nas światowej sławy kapelmistrz i klawesynista z Czech Robert Hugo. Poprowadzi zespół Capella Praga i chór festiwalowy. I jedyne, co może popsuć humor, to to, że te dwie imprezy odbywają się równocześnie w odległości kilkuset kilometrów. (FIL)

KOLEŻEŃSKI ROCK AND ROLL

„Punky reggae party”, na którym muzyka miesza się z literaturą



PIDŻAMA PORNO
„KONCERTÓWKA 2. DRUGI SZCZYT”,
SP Records, 2003

Poznańska Pidżama Porno zajmuje miejsce szczególnie nie tylko za sprawą poetyckich tekstów swego wokalisty Grabaża, ale i zdolności koleżeńskich. Przez doroczne grudniowe koncerty z okazji urodzin kapeli przewinęła się jako goście większość znaczących postaci naszej rockandrollowej sceny. „Koncertówka 2” to drugi już album archiwizujący wspólne przygody – tym razem z udziałem Roberta Matery (Dezter), Marcina Świątlickiego (Świątliki) oraz Kasi Nosowskiej (Hey). Są opatrzone polskimi tekstami coverów klasyków rocka, do których dorobku Grabaż odwołuje się najchętniej – Iggy’ego Popy, Vana Morrisona i The Clash.

Największą atrakcją „Koncertówki 2” jest ciężkie reggae „Guns of Brixton” tych ostatnich występujące jako „Chłopcy z huty” z improwizowanym przez Świątlickiego poetyckim tekstem (wolną impresją na temat gangsterskiego oryginału). Z utworów Pidżamy wielkie wrażenie robi śpiewane przez Grabaża w duecie z Nosowską „Stąpając po niepewnym gruncie”. Z niecierpliwością odliczam dni do jesiennej premiery nowego albumu Grabaża, tym razem z grającym lżejszą muzykę zespołem Strachy na Lachy, gdzie wzięto na warsztat między innymi poezje Tuwima.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

nagród „NME”, zespół Blur, czym wzbudzi gorące emocje na Wyspach. Prowincjusze i prostacy? Niezupełnie. Co prawda Mogwai wiodą dość rockandrollowe życie, ale ich płyty z wyrafinowaną muzyką gitarową zyskują niezmiennie świetne noty od krytyków, a Londyn dawno przestał traktować przybyszów z Glasgow jak intruzów. Ta powstała w połowie lat 90. grupa rockowa przyjeżdża 24 sierpnia do warszawskiej Proximy na koncert promujący nową płytę „Happy Songs For Happy People”. Obok nich wystąpi polska formacja Silver Rocket. (BC)

SZKOCKA ŚCIANA DZWIĘKU



koncerty 21.08 Festiwal Muzyka przeciwko Przemocy, Rasizmowi i Nietolerancji, m.in. Mordy (Noise), Brygada Kryzys

– Sopot, plaża 21–22.08 Peja, Slums Attack, Flexxip, Eis – Kołobrzeg, Amfiteatr 22–23.08 Sopot Festival – Ricky Martin, Kayah,

Gotan Project, Skaldowie – Sopot, Opera Leśna



Max von Sydow
– człowiek, który
się kulom nie kłania

HISZPAŃSKA RULETKA

Mieć szczęście a być szczęśliwym to dwie zupełnie inne sprawy – przekona was debutant z Hiszpanii

Słońce, intensywne kolory, wielkie namietności, gorąca muzyka, gęste emocje – tak nauczyli nas myśleć o hiszpańskim kinie Pedro Almodóvar, Carlos Saura i inni reżyserzy z Południa. Na tym tle thriller „Intacto” sprawia wrażenie filmu nakręconego przez Szweda – jest mroczny i zimny, a aktorzy grają niemal beznamiętnie. Ta pośepność może zdumiewać, Fresnadillo zrobił bowiem film o... szczęściu, ale gdy zaczynamy pograżać się w jego opowieści (a „Intacto” to ten rodzaj kina, w którym można się tylko pograć lub pozostać na jego chłodne wdzięki obojętnym), dociera do

nas, skąd bierze się ten wszechobecny cień. Bohaterowie „Intacto” uczestniczą w grze o najwyższą stawkę – życie.

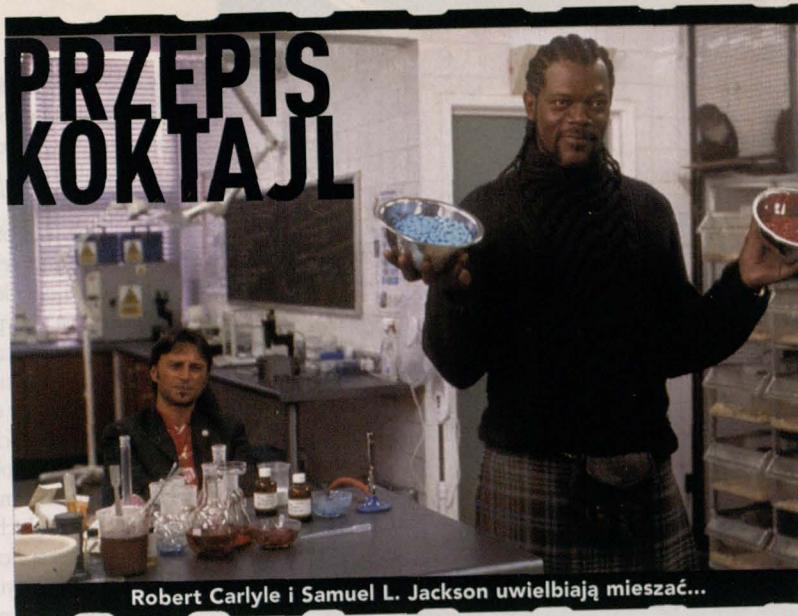
Ludzie, którzy jako jedyni ocaleli z wypadków i katastrof (na przykład lotniczych), starają się zrozumieć, czy to kwestia przypadku, czy szczęście. Wierzą, że mają dar, który czyni ich nietykalnymi. Biorą udział w ryzykownych „zawodach” polegających na przykład na bieganiu z zawiązanymi oczami po autostradzie albo gęsto zadrzewionym lesie. Ta zabawa to najszybszy sposób oddzielenia prawdziwych szczęściarzy od tych, którym tylko się wydawało, że są wybrani... Ten, kto

Na szczęście, namysławiając się nad istotą takich słów jak „szczęście” właśnie, „przeznaczenie” i „przypadek”, Fresnadillo ani na chwilę nie przestał myśleć o tym, by zrobić dobre, wciągające kino. Zgrabnie udało mu się połączyć thriller z wątkami kryminalnymi – ba, nawet wampirycznymi (bohaterowie „Intacto” posiłkują się energią innych ludzi). I niech was nie zwiedzie leniwy, niezrozumiały nawet początek. „Intacto” jest układanką i trzeba wytrwać do samego końca, by poczuć przyjemność z jej ułożenia.

MAŁGORZATA SADOWSKA

PRZEPIS NA KOKTAJL

Azjatycka realizacja, brytyjskie klimaty amerykańska gwiazda



Robert Carlyle i Samuel L. Jackson uwielbiają mieszać...

Można mieszać gatunki, można dobierać do filmu aktorów i realizatorów z odległych stylistyk, można wreszcie zestawiać nietypowo pomysły fabularne i miejsca akcji – ale trudno już czymś widza zaskoczyć. „Formuła” z Samuelem L. Jacksonem w roli głównej jednak zaskakuje. Troszeczkę. Bo jej twórcom udało się sprawnie i zgrabnie w jednym filmie stworzyć ekranowy koktajl na niezłym poziomie.

„FORMUŁA”,
REŻ. RONNY YU,
Best Film,
premiera 22 sierpnia

Już sam widok Elmo McElroya (Jackson) – Murzyna w klasycznym szkockim stroju (spódnica, beret), który przez cały film nie rozstaje się z kijami do golfa – dobrze wprowadza w klimat tego obrazu. Mamy tu historię genialnego chemika, który na skutek błędów młodości (zatrzymany z marihuaną) zamiast oficjalną farmakologią zajął się produkcją narkotyków. Dziś, po stworzeniu nowego, wyśmienitego i genial-

nie łatwego w produkcji środka, chce już tylko sprzedać formułę tabletki i spokojnie żyć w luksusie. Przygotowuje więc bombową pułapkę na swego amerykańskiego szefa Jaszczura (w tej roli gwiazda rocka Meatloaf), a sam wyjeżdża w celach handlowych do Liverpoolu.

Dalej w tej krzyżówce filmu akcji i komedii mamy już przede wszystkim brytyjski humor, rybę z frytkami, FC Liverpool, przebrytyjskiego Roberta Carlyle’a i równocześnie klimat jak w najlepszych produkcjach sensacyjnego kina Dalekiego Wschodu. Jak to możliwe? Wystarczy spojrzeć na listę realizatorów filmu: reżyseria – Ronny Yu, zdjęcia – Pooh Hang-Sang, montaż – David Wu. Nie są to nazwiska znane tak jak Jackie Chan czy John Woo, ale to ich długoletni bliscy współpracownicy. Taki melanz Wschodu z klimatami z Quentina Tarantino i Guya Ritchie może dla niektórych okazać się nie do przelknięcia, acz jako wakacyjną rozrywkę mogą go polecić z czystym sumieniem. Samuel L. Jackson w kilcie (a w finale nawet bez) świetnie wkomponowuje się pomiędzy Terminatora a Larę Croft.

KAMIL ŚMIAŁKOWSKI

„INTACTO”,
REŻ. JUAN CARLOS
FRESNADILLO,
Vision,
premiera 22 sierpnia

SZEREGOWIEC LYNCH

Spielbergowski szeregowiec Ryan wkrótce będzie miał koleżankę – stacja NBC rozpoczyna realizację filmu o odbiciu z irackiej niewoli szeregowiec Jessiki Lynch



Jessica Lynch

W ataku na amerykański konwój 23 marca w mieście Nasirija zginęło dziewięciu żołnierzy, a 20-letnia Lynch została wzięta do niewoli. Tydzień później Amerykanom udało się ją odbić dzięki pomocy irackiego prawnika Mohammeda Odeh Al-Rehaiefa, który wskazał miejsce jej przetrzymywania.

I właśnie skomplikowana wojskowa akcja będzie głównym tematem filmu, zaś postać Lynch, która dziś jest w USA niemal bohaterką narodową, ma być przede wszystkim magnesem przyciągającym widzów.

Tymczasem rodzina Lynchów jest przeciwna planom NBC, zwłaszcza że jesienią zamierza wydać książkę z historią pani szeregowiec spisaną przez byłego dziennikarza „New York Timesa” Ricka Bragga. Sama Jessica na razie nie opowiada o tym, co przeszła w Iraku, i nie komentuje zamieszania wokół swojej osoby. Kodeks etyczny amerykańskiej armii zabrania żołnierzom na służbie podpisywania jakichkolwiek kontraktów. NBC nie zamierza czekać na książkę szeregowiec Lynch i już zdecydowała się na rozpoczęcie zdjęć, rolę Jessiki powierzając kanadyjskiej aktorce Laurze Regan (znanej m.in. z horroru „Inni”). – Większość filmów robionych dla telewizji jest oparta na kilku prawdziwych wydarzeniach, ale i tak zawsze jest tam trochę fikcji – tłumaczy decyzję stacji jej dyrektor programowy Jeff Zucker. (SEB)



Laura Regan

Królikowski • Zamachowski • Olszówka

Ciało

W KINACH
OD 22 SIERPNIA

www.cialo.pl

PRODUCENT MARIUSZ ENKASIEWICZ, PRODUCENT WYKONAWCZY KOPRODUCENT AKSIO STUDIO
SCENARIUSZ ANDRZEJ SZRAMOWICZ, REŻYSERIA TOMASZ KOŃECKI I ANDRZEJ SZRAMOWICZ, ZDJĘCIA TOMASZ MADEJSKI, MUZYKA PAVEŁ SKIRUPKA
WYSTĘPUJĄ: RAFAŁ KRÓLIKOWSKI, ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI, EDYTA OLSZÓWKA, TOMASZ KAROLAK, ROBERT WIECKIEWICZ, CZARNY KOSIUSKI
BRONISŁAW WIDZŁAWSKI, MAŁA HIRSCH, IZABELA KUJA, EMILIA KRAKOWSKA, OLA RADWAŃSKA, JACEK POKS, CZARNY POKS, EDYTA JUNGOWSKA
SCENOGRAFIA I WYKŁĘTA BARBARA OSTAPOWICZ, KOSTIUMY JAN KOZŁOWSKI, DŹWIĘK ANDRZEJ BONDANOWICZ, MONTAŻ JAROSŁAW BARZAŃ, WIERZOWICTWO PRODUKCJI PAVEŁ GABRYŚ

PRZE
KROJ

SPI
INTERNETOWA
POLSKA

W DOWI GROSZ



KURT COBAIN „DZIENNIKI”, przeł. Dagmara Chojnacka, Zysk i S-ka, Poznań 2003

Czytając tę książkę – niezależnie, czy jesteś fanem zespołu Nirvana, czy jej przeciwnikiem, czy wreszcie cała tragiczna anegdota jest ci obojętna – robisz świństwo

Świństwo? – zapytasz, Czytelniku. Przecież książka wyszła nakładem szanowanej oficyny, przekład jest autoryzowany przez amerykańskiego wydawcę, a zespół rockowy Nirvana od czasu swej drugiej, przełomowej płyty „Nevermind” (1991) wszedł do światowego dziedzictwa popkulturowego.

Wątpliwości nastrocza już sam tytuł: „Dzienniki”. Ich autor Kurt Cobain, lider zespołu, w kwietniu 1994 roku zastrzelił się we własnym domu. Nim do tego doszło, przez wiele lat zapisywał w notatnikach tysiące myśli, szkiców, planów, wstępne i ostateczne wersje tekstów piosenek, brudnopisy listów, refleksje i filipiki, umieszczał tam też mnóstwo rysunków. Ocalona część tych brulionów (ostatnie zaginęły) to pstry intelektualnie kolaż ukształtowanych myśli, ich embrionów, sprzecznych są-

dów, autoanaliz i – także – bredni. Jak wielu wrażliwych młodych ludzi Cobain zapisywał zapewne wszystko. Nie są to jednak zapiski uporządkowane żadnym dziennym czy choćby tygodniowym rytmem, dlatego tytuł nadany przez amerykańskiego wydawcę („Journals”) jest nieco na wyrost.

Nie do końca wyjaśnione okoliczności śmierci Cobaina powodują oczywiście, że po taki dokument zwłaszcza fani i badacze sięgną łapczywie. Ci pierwsi zapewne wręcz uruchomią własne strumienie świadomości zainspirowani bezkompromisową deklaracją zaszyfrowaną na tych stronach. Upprzedzam – książka niewiele wyjaśnia ponad to, co i tak wiadomo. Cobain był młodzieńcem inteligentnym, sfrustrowanym rozpadem rodziny, dodatkowo zniszczonym przez kombinację ritalinu i innych środków, które brał w dzieciństwie przeciwko hiperaktywno-

ści. Ritalin był zapewne przyczyną dotkliwych bólów żołądka, na które muzyk uskarża się w „Dziennikach” i które doprowadziły go do regularnego zażywania heroiny.

Fizyczne cierpienia, euforia grania i przejściowe uzależnienia od narkotyków to zdradliwi doradcy muzy. Lektura notatek Cobaina przypomina tor przeszkód – czasem gładko, czasem mętnie. Brak dat z pewnością nie ułatwia orientacji w tej dżungli, choć daje dobry wgląd w tańczą sprzecznościami uczuciami duszę artysty. Pytanie tylko, czy wolno nam to robić? Cobain najbardziej znieść nie mógł tego, że granie chętnie słuchanej muzyki wiąże się z koniecznością uczestnictwa w korporacyjnej, kapitalistycznej orgii Żarłaków (biznesmenów, mediów, polityków). Wdowa po gitarzyscie Courtney Love sama nieźle zarabiająca wokalistka i aktorka, najwyraźniej nie wczytała się w przesłanie męża i parę lat temu ogłosiła przetarg wśród wydawców, w wyniku którego zgałębia cztery miliony dolarów. Sprzedała Cobaina bardziej, niż on sam się sprzedał, gdy Nirvana podpisywała kontrakt z wielkim koncernem nagraniowym (co sam muzyk uważał za rodzaj wallenrodyzmu). W dodatku sprzedała coś, co nie było przeznaczone do publikacji.

Skoro już jednak książka jest, co możemy z nią począć? Czytać, czytać – i pamiętać, że nawet najlepszy muzyk nie musi być literatem. Wyławiać perły pomiędzy tysięcy liter. Dowiadywać się, że tak utożsamiany z podziemiem zespołu od początku starał się mieć kontrolę nad swoją karierą, planował wyjazdy, okładki, wideoklipy, rozmowy z prasą i brał – żadnych bajek o spontaniczności. A przede wszystkim odsiewać naiwne, niedojrzałe poglądy społeczne muzyka, który widział świat w czarnobielu, delectując się na przykład takimi kawalkadami: „Lubię czuć się winny za to, że jestem białym amerykańskim mężczyzną. [...] Lubię szczerość. Brakuje mi szczerości. [...] Lubię narzekać i nie robić nic, żeby było lepiej”. Tych drobinek autoironii i humoru jest tu dużo więcej, chodzi o to, by je odnaleźć.

Dostaje się i nam, dziennikarzom. Wściekły, że wciąż zarzucamy mu zdradę ruchu niezależnego (wspomniany kontrakt z koncernem), Cobain pisze: „Wszyscy dziennikarze są na łasce wydawców” i dalej: „Dziennikarze muzyczni to osoby, którym płaci się za znajdowanie jak największej ilości interesujących historyjek”. Nie wiem, czy zdołałbym rzucić kamieniem.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

FANTASTYCZNY PISARZ

W ciągu kilkunastu miesięcy rozbrzmiała nowa gwiazda polskiej fantastyki – **Tomasz Pacyński**



TOMASZ PACYŃSKI „MASKARADA”, Agnecja Wydawnicza „Runa”, Warszawa 2003

Na początku zeszłego roku jeszcze mało kto o nim słyszał. Opublikował kilka opowiadań w literackich piśmie fantastycznych, a jego debiutancka powieść ukazała się drukiem w małym wydawnictwie. Ot, fantasta, jakich w naszym kraju wielu. I nagle, kiedy związał swe losy z prężną Agencją Wydawniczą „Runa”, dość szybko okazało się, że mamy do czynienia z autentycznym talentem.

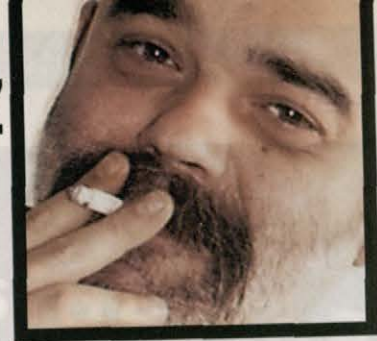
Najpierw do księgarń trafil „Wrzesień” – lekko apokaliptyczna wizja przyszłości świata, w którym za kilkadziesiąt lat nie będzie już miejsca dla Polski i Polaków, a wszystko i tak zamrze.

W tym roku Pacyński zaś udowodnił, że równie dobrze czuje się po drugiej stronie fantastyki – w pełnym magii fantasy. Jego debiutancka powieść (w nowej, o nieco lepszej, redakcji) „Sherwood” i jej – już obecna w księgarniach – kontynuacja „Maskarada” to historia, w której obok siebie znajdują się Robin Hood i tyranozaur. Punktem wyjściowym „Sherwood” jest historia Robin Hooda, którą znamy z klasycznego brytyjskiego serialu z lat 80. z Michałem Praedem. Jego powieściowy na-

AMERYKANIE ZBULWERSOWANI

Wszystko wskazuje na to, że we Francji literackim wydarzeniem tej jesieni będzie powieść Frédéric Beigbedera „Windows of the World” rozgrywająca się 11 września na 107. piętrze World Trade Center. Jego poprzednia książka „99 franków” (u nas nosząca tytuł „29,99”) i nagrodzona w Krakowie tak zwanym Goncourtem Licealistów przyniosła Beigbederowi światowy rozgłos. Powstaje właśnie film na jej podstawie. Beigbeder nie tylko stał się sławny, lecz także stracił pracę dyrektora kreatywnego w Young & Rubicam – opisał bowiem od środka świat koncernów reklamowych.

Najnowsza powieść „Windows of the World” ledwie ukazała się na rynku, już zdążyła zbulwersować Amerykanów. Główny bohater Carthew Yorston 11 września o 8.30 rano znalazł się z synami na 107. piętrze World Trade Center w restauracji Windows on the World. Beigbeder ukazuje to, o czym amerykańska telewizja i prasa milczały. Opowiada więc o egoizmie i zwierzęcym strachu ofiar, o tym, jak wymiotowały, jak w ostatnich godzinach myślały przede wszystkim o seksie. Goście restauracji pokazani są raczej jako ofiary społeczeństwa konsumpcji, a nie islamskich terrorystów. „Oto, co robią Francuzi – zarabiają pieniądze na ofiarach 11 września” – czytamy w amerykańskim blogu. (JS)



Fot. AGENCJA WYDAWNICZA „RUNA”

stępca okazuje się osobą bardziej kontrowersyjną, która najpierw niszczy własną legendę, a potem staje przeciwko całemu światu. Pacyński bez sentymentów obnaża motywacje swych bohaterów i brutalność czasów, w których przyszło im żyć. Równocześnie nie potrafi się powstrzymać od drobnych smacznych (pop)kulturowych żarcików – a to bohater wraca z innego wymiaru niczym Terminator nago i w błyskach wyładowań elektrycznych; lokalny mag nazywa się Copperfield, a bard kończy włóczony przez konie za to, że śpiewał w karczmie coś o zrywaniu kajdan, łamaniu bata i rwaniu zębów czy krat.

W najbliższy weekend w Elblągu odbędzie się największy doroczny konwent fanów fantastyki Polkon 2003. Tradycyjnie wybierani są na nim laureaci Nagrody imienia Zajdla. Wśród pięciu nominowanych w tym roku powieściopisarzy tylko Pacyński nie ma jeszcze w dorobku ani jednej statuetki. Pora to zmienić.

KAMIL M. ŚMIAŁKOWSKI



Skandalista Frédéric Beigbeder

Fot. GAMMA/BEW

MACHO ZAGRA POETĘ

Być może jeszcze tej jesieni rozpoczyna się zdjęcie do filmu, który może stać się prawdziwym wydarzeniem. „Miron i Jadwiga” Andrzeja Barańskiego („Nad rzeką, której nie ma”, „Dwa księżycy”) ma być opowieścią o wyjątkowej więzi, jaka łączyła poetę Mirona Białoszewskiego i niewidomą pisarkę Jadwigę Stańczakową. – Byli przyjaciółmi, a właściwie więcej niż przyjaciółmi, mimo że, jak wiadomo, Białoszewski był homoseksualistą – opowiada „Przekroju” Andrzej Barański. – To prawdziwy paradoks, ale ta niewidoma kobieta rozciągała pełną opiekę nad Mironem: kupowała mu spodnie, majtki, skarpetki, dbała, by choć raz na kilka dni zjadł coś ciepłego, załatwiała jego sprawy w urzędach, odpowiadała na listy. Białoszewski sobie z tym nie radził. Oboje byli ludźmi ciemności – on nie lubił dnia i światła – zamalowywał okna w mieszkaniu czarną farbą. Bywało, że wpadał do Jadwigi o drugiej w nocy i razem wyruszali na wycieczkę nocnymi autobusami i tramwajami.

Do roli Jadwigi Andrzej Barański wybrał Krystynę Jandę. – I ona, i pani Stańczakowa podobne są do Marleny Dietrich – śmieje się. – Łączy je ruchliwość, temperament, spontaniczność.

W roli Mirona Białoszewskiego reżyser chce obsadzić... Bogusławę Lindę. Negocjacje z aktorem trwają. – Po latach grania człowieka uzbrojonego zagrać bezbronnego Mirona – to byłoby dla Lindy wielkie wyzwanie. Zresztą nie proponowałbym mu roli, gdybym nie miał pewności, że siedzi w nim taki wrażliwy, bezradny Miron.

Andrzej Barański napisał scenariusz „Mirona i Jadwigi” na podstawie dzienników Jadwigi Stańczakowej. O zrealizowanie filmu reżyser zabiega już od sześciu lat, dopiero teraz pojawiła się szansa na doprowadzenie projektu do końca. (MASA)



Fot. MIRON KOSAKOWICZ, Fot. ANDRZEJ JĘDRZEJCZAK

CZWARTEK



BAZA LUDZI UMARŁYCH

Dramat, mroczna ekranizacja noweli Marka Hłaski „Następny do raju”. Grupa wyrzutków i skazańców (zagrali ich Leon Niemczyk, Aleksander Fogiel i Emil Karewicz) pracuje w bazie transportu drewna w Bieszczadach. Każdego dnia walczą ze sobą, z nieprzyjazną naturą, zepsutym sprzętem. Narażając życie na górskich drogach, marzą, żeby stamtąd uciec.

Chociaż film nie pozostawia złudzeń co do samych bohaterów, Marek Hłasko uznał, że wymowa „Bazy...” jest jednak zbyt optymistyczna, i zażądał wycofania swojego nazwiska z napisów końcowych.

REŻ. CZESŁAW PETELSKI
TVP1, 23.30

PIĄTEK



MIEDZYNARODOWY FESTIWAL PIOSENKI W SOPOCIE

Festiwal w Sopocie otworzy koncert Skaldów z gościnnym udziałem Edyty Górniak i Justyny Steczkowskiej. Potem zobaczymy Gotan Project – modną grupę łączącą tango z elektroniczną muzyką klubową. Drugiego dnia recital nieco przebrzmiałego latynoskiego pop-gwiazdora Rickiego Martina. Oprócz tego zapowiadany od dawna powrót Kayah – i to zapewne, obok Gotan Project, koncert, który wybrać należy z festiwalowego programu w pierwszej kolejności.

TVP1, 20.05

SOBOTA



DZIEWCZYNY DO WZIĘCIA

Kultowa komedia z lat 70., którą można oglądać w nieskończoność, delectując się jak kremem sutańskim cudownymi dialogami i rewelacyjnym aktorstwem Ewy Szukalskiej, Reginy Reguśkiej i Ewy Pielach. Tytułowe dziewczyny podróżują do Warszawy, licząc na poznanie interesujących mężczyzn, którzy uwiozą je z prowincjonalnego miasteczka nowiutkimi motorowerami...

Film, po którym zrozumiecie, dlaczego nie należy zawierać znajomości na ulicy.
REŻ. JANUSZ KONDRATIUK
TVP2, 21.05

Fortepian



Ada (Holly Hunter) i Baines (Harvey Keitel) uczą się siebie nawzajem. NIEDZIELA, TVP1, 21.15



SFILMOWAĆ POŻĄDANIE

Dokument. „Na świecie jest 20 tysięcy reżyserów, z czego tylko 600 to kobiety” – tym zdaniem zaczyna się bardzo ciekawy film Marie Mandy o reżyserkach. Zastanawiając się nad specyfiką kina kobiecego, Mandy postanowiła przyjrzeć się, w jaki sposób reżyserki z całego świata filmują seks, ciało, pożądanie. O kłopotach z aranżowaniem scen miłosnych i różnicach między kobiecym i męskim spojrzeniem na seksualność opowiada kilkanaście reżyserujących pań, m.in. Agnes Varda, Jane Campion, Doris Dorrie, Liliana Cavani. I dochodzą do naprawdę ciekawych wniosków...

REŻ. MARIE MANDY
ALE KINO, 23.00



SZLAK DO SANTA FE

Klasyk western z 1940 roku porównywany do takich arcydzieł gatunku jak choćby „Dyżurni”. W swoim filmie Curtiz każe stanąć po dwóch stronach barykady dawnym kolegom z West Point. Dwaj oficerowie wyruszają do fortu Leavenworth, gdzie rezyduje ich były towarzysz John Brown, buntownik i abolicjonista, z którym muszą zrobić porządek. Brown to postać historyczna, na prawdę istnieli również owi oficerowie – J.E.B. Stuart i George Custer (słynny pogromca Indian). Tego ostatniego zagrał sam Ronald Reagan (podówczas 29-letni). Teraz już wiemy, skąd czerpał polityczne inspiracje.

REŻ. MICHAEL CURTIZ
TVP3, 00.05



FORTEPIAN

Dramat, pięknie sfilmowany i zilustrowany muzyką opowieść o kobiecie (Holly Hunter), która dojrzewa do niezależności w malowniczej scenarii Nowej Zelandii. Razem z sukniemi, halkami, pończochami i gorsetem (rzecz dzieje się w XIX wieku) Ada powoli zrzuca z siebie krepujące ją więzy konwencji i oddaje się niespodziewanemu uczuciu (do samego Harveya Keitela).

„Fortepian” zdobył niezliczoną ilość nagród, w tym Złotą Palmę w 1993 roku. Choć trudno w to uwierzyć, Jane Campion była pierwszą kobietą, w której ręce trafiło canneńskie trofeum.

REŻ. JANE CAMPION
TVP1, 21.15



SUPERMAN II

Science fiction i przygodowy zarząd, kontynuacja przygód najsłynniejszego superbohatera, któremu tym razem uczył Christopher Reeve. Tym razem facet w rajtuzach walczy z wazją kosmitów z planety Krypton, a jego alter ego Clark romansuje z pewną młodą damą, która zaczyna domyślać się, że ukochany prowadzi podwójne życie.

„Supermana II” oceniono dość pochylnie, ale i tak prawdziwą sławę przyniósł mu dopiero okolicznościowy skandal: Marlon Brando wytyczył proces producentom, którzy o „dwójki” włączyli niewykorzystane materiały z części pierwszej, gdzie Brando zagrał tatusia Supermana. Aktora oburzyło, że zrobiono to bez jego zgody.

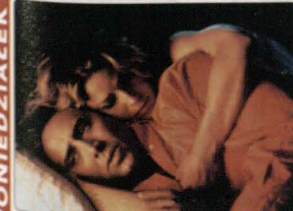
REŻ. RICHARD LESTER
TVN, 13.45



ROBO SAPIENS

Wszystkie dzisiejsze roboty razem wzięte mają inteligencję niedorozwiniętego karalucha po lobotomii – mówi jeden z ekspertów występujących w filmie „Robo Sapiens”. Na całym świecie naukowcy intensywnie pracują nad stworzeniem robotów, które będą miały choć cząstkę naszego zdrowego rozsądku, a na dodatek nie będą się co kilka kroków przewracały. Czekają ich jeszcze mnóstwo roboty, jednak dotychczasowe efekty wyglądają bardzo obiecująco – przekonacie się sami, jak wyglądają nasi zastępcy.

REŻ. ROBERT EAGLE
DISCOVERY, 18.00



ZOSTAWIĆ LAS VEGAS

Dramat, jego bohaterem jest Ben (oscarowa rola Nicolasa Cage’a), rozczarowany życiem scenarzysty, który postanawia zapisać się na śmierć.

W ostatniej drodze, której szlak wiedzie przez podrzędne bary i tanie pokoje hotelowe, towarzyszy mu prostytutka Sera (Elisabeth Shue). To ona pozwoli mu po raz ostatni (i chyba pierwszy) poczuć smak prawdziwej miłości.

Na miejsce samobójstwa Ben wybrał Las Vegas. Dla niego to miasto jest jak cały świat: pełne powiewnych atrakcji, taniego blichtru, tandety i sztuczności. Nie żal będzie je zostawić.

REŻ. MIKE FIGGIS
TV4, 23.30



LAUTREC

Biograficzny, opowieść o życiu słynnego XIX-wiecznego paryskiego malarza Henri Toulouze-Lautreca, który zmarł na syfiliś, mając zaledwie 36 lat. W filmie znajdziemy wszystko to, co zazwyczaj kojarzy się z Lautrekiem: paryskie burdele, Montmartre, kabarety (Moulin Rouge!), zadymione kawiarnie, romanse.

Do „Lautreca” zabrał się uznany, sędziwy reżyser teatralny Roger Planchon. Zwykle nie wypada czynić nikomu zarzutu z zaawansowanego wieku, jednak w „Lautrecu” wyraźnie czuje się ducha geriatry.

REŻ. ROGER PLANCHON
TVP2, 22.35



ŁOWCY WAMPIRÓW

Horror, wspaniała krwawa uczta dla pożeraczy filmów klasy „B”. Tytułowi łowcy na zlecenie Watykanu polują na wampiry, które oczywiście chętnie i wyjątkowo malowniczo zjadają swoich prześladowców. Malowniczo, bo Carpenter, jak mało kto, dba o odpowiednio kiczowatą oprawę swoich horrorów.

Nieustraszone pogromca dobrego smaku John Carpenter nie tylko osobiście czuwał nad „artystycznym” wyrazem „Łowców...”, lecz pokusił się także o skomponowanie

muzyki do filmu. Mało tego, wykonuje ją osobiście w towarzystwie orkiestry symfonicznej i doborowych muzyków i naprawdę nieźle im to wychodzi!

REŻ. JOHN CARPENTER
TVP3, 23.55



RONIN

Kryminał, w którym chodzi o to, by przejąć pewną walizkę, której zawartość do końca pozostaje tajemnicą. Tajemnicza jest też przeszłość i prawdziwe zamiary grupy „renegatów”, która ma walizkę przechwycić. A zagrali ich – rewelacyjnie – m.in.: Robert De Niro, Jean Reno i Stellan Skarsgård.

„Ronin” odwołuje się do starych francuskich czarnych kryminałów, w ich duchu stylizuje bohaterów i ze smakiem kreuje obskurne wnętrza. Czasem dochodzi w tym do granic parodii („Pozwolicie panowie, że teraz zemdleję” – mówi facet, któremu koledzy wyciągają kulę), ale nigdy ich nie przekracza.

REŻ. JOHN FRANKENHEIMER
POLSAT, 21.00



ZEZOWATE SZCZĘŚCIE

Tragikomedia o wiecznym pechowcu, obywatelu Piszczyku (postać nie-szczęśliwa-oportunista wymyślił i opisał w swoim opowiadaniu Jerzy Stefan Stawiński). Grany przez Bogumiła Kobięłę Piszczyk bardzo chciałby się dostosować, przypodobać i zasłużyć. Niestety, nijak mu to nie wychodzi: wszędzie biorą go za szpiega, podżegacza, antypaństwowca. Na całe lata obywatel Jan Piszczyk stał się figurą polskiego konformizmu, lizusostwa, rodzimym „człowiekiem bez właściwości”.

Film Munka nie jest miłą komedią, dużo w nim groteski, zjadliwej ironii, ostrej satyry. Ale nawet mimo to biedny Piszczyk budzi troszeczkę współczucia.

REŻ. ANDRZEJ MUNK
TVP1, 23.30

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P., 00-490 WARSZAWA,
TEL. (0-PREKIS-22) 584 25 25
FAXS (0-PREKIS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsztub

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elzbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Marcin Baran, Magda Gędziorowska,
Maria Świątek (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek,
Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz,
Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Joanna Gorzelińska,
Filip Łobodziński, Andrzej Łomanowski,
Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Max Suski,
Maciej Tyśnicki, Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

NAUKA:
Jan Stradowski (szef), Piotr Stanisławski, Olga Woźniak

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,
Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOREDAKCJA:
Tomasz Kniolik (szef), Marcin Kapica,
Marcin Kędryna, Olga Piłsniak, Marek Szczepański,
Bogdan Krężał (fotograf)

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRODUKCJA:
Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT:
Iwona Chmielewska

EDIPRESSE

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREKIS-22) 584 22 00,
FAXS (0-PREKIS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES:
Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIEDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Krystyna Zowczak-Jastrzębska, Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Olczak, Marta Stżanka

BIURO REKLAMY:
Aleksandra Trojnar – dyrektor,

Anna Orłowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Jagna Federowicz,
Maciej Grelik, Bartek Kluczyk,
Marzena Kiedacz (Kraków)
Warszawa, 584 22 25, 584 22 96
tel. (0-PREKIS-22) 584 22 25, 584 22 96
faks (0-PREKIS-22) 584 22 98

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIŃ

PAPIER: OKŁADKA – NOVAPRESS 90 G,
PRODUKT – STORA ENSO
SRODEK – GALERIE ONE 45 G,
PRODUKT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Dębska, Agnieszka Bogańska
TEL. (0-PREKIS-22) 584 22 23, 584 22 32
FAXS (0-PREKIS-22) 584 22 32

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREKIS-22) 532 87 31,
FAXS (0-PREKIS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAXS/TEL. +48-8-6639963



ARTYKULÓW NIEMOŻLIWYCH NIE WRACAMY.
REDAKCJA ZASTĘPCA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADEŚLIWYCH ARTYKULACH I LISTACH.

wydarzenie

muzyka

film

książki

telewizja



Dziennik z krainy
PAZŁOTKA
DOROTA MASŁOWSKA

Stężenie upadku

Kiedy wracałam z wakacji pociągami, raz po raz ktoś, przechodząc przez przedział, głaskał po głowie i nazywał po moim własnym wyświechtanym nazwisku,

i już potem cały czas mi się śniło, że jadę tym pociągami, ale jakoś tak inaczej, jakby wierzchem, że zaraz spadnę jak porcelanowa figurka z meblościanki, i słyszę, jakby ten sen wymyślił zły pisarz na potrzeby jakiejś nieudolnej bohaterki: to jest masłowska, to jest dorota masłowska, wiesz, dorota masłowska, wojna polsko-ruska, wiesz. I jeszcze tego samego dnia stężenie upadku przekroczyło moje osobiste możliwości.

To się wszystko stało z pomocą Kuby Wandachowicza, głównego promotora „generacji nic”. Kupiliśmy sobie butelkę wódki jak pocisk i pełno parówek, podeszliśmy do jakichś starszych panów o kulach, co suszyli się na murku przy śmietniku, patrzyli mętłym okiem jak pływający w zupie łeb karpia i popijali tanie wino.

– Kategorycznie nie wolno tu siedzieć – powiedzieliśmy. Nie wiem, co to jest za państwo, w którym ludzie wierzą w takie rzeczy. – A to dlaczego niby nagle nie wolno? – A bo tak się składa, że właśnie nie wolno. Nie wolno to znaczy nie wolno. Nie wolno to znaczy, że panowie zasłaniają mieszkańcom widok z okna. A jakby tak każdy sobie wziął usiadł i siedział? Można się przejść, można pospacerować. Ja bardzo panów proszę, żeby nie było potem awantur, rozczerowań.

Obok własnym życiem pulsował od much wielki śmietnik. – Tu turyści przychodzą z Niemiec zwiedzać nasz kraj – powiedzieliśmy chłodno.

– Ale ja tu siedzę już 50 lat, zanim to całe świństwo pobudowali, i komu to przeszkadza? – Jak to komu, to wszystkim przeszkadza, ludzie walczą

o normalność, kupują sobie różne samochody, chcą w spokoju oglądać telewizję, a panowie wszystko to bezwzględnie, bez żadnej nawet dla nich empatii niszczą.

Argumenty były niepodważalne, równie dobrze moglibyśmy wyperśwadować nimi życie komukolwiek. „Idź do dzieci, okrzyk je, że śmierdzą mlekiem” – powiedział mi ktoś potem. A oni tłumaczyli się cicho jak słabi uczniowie, kuląc ogony, byli bliscy dygania i salutowania. Byli starzy, zmęczeni i bardzo się bali naszych niepodważalnych argumentów.

Wreszcie Wandachowicz powiedział coś najgorszego: – A pan tu jeszcze z tą kulą, no, dałby pan spokój, z kulą wychodzić na dwór – i wtedy zrobiło się schyłkowo, bo ten staruszek powiedział i widać, że to było zdanie już używane: – Chodzę z kulą, no chodzę, no co mam zrobić, jak mnie bolą nogi.

Wtedy poszliśmy, ale wyglądali, że jeszcze pięć minut i by poszli, i pozbierali papierki z chodnika. Było to najgorsze, co zrobiłam w życiu.

Podaliśmy się wtedy do dymisji. Chciałam, żeby nas aresztowała z tego świata policja i zabrała nam sznurówki z butów.

Przytaczam to zdarzenie, bo myślę, że to właśnie wtedy jałowość przybrała graniczne wartości. Powoli się z Państwem będę żegnać i dziękować za uwagę.

Chodzi mi właściwie o to, że ugryzłam się w ogon, i nic tam nie było specjalnego nawet; powietrze, szelest spadających papierków. Kraina Pazłotka ogłasza tymczasową niewypłacalność i przesyła z pociągu pocałunki do swoich ponurych wierzyteli.

www.przekroj.pl/maslowska



FOT. BOGDAN KRZEL

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Trochę

Była kiedyś „trocha”, teraz jej już nie ma, został z niej jeden przypadek, biernik. Używam go, kiedy coś mierzę i nie za dużo mi wychodzi. **Trochę** tego jest, ale niedużo. A mierzyć mogę wszystko. Jedne rzeczy łatwo, inne **trochę** trudniej – ale jakoś się da. Przynajmniej **trochę** zmierz. Dobrze się tak mierzy czas i przestrzeń. To jest blisko, tamto **trochę** dalej, ale niewiele, tylko **trochę**. **Trochę** odpoczniemy i pójdziemy tam. Za **trochę** będziemy. Bylibyśmy **trochę** wcześniej, ale **trochę** za długo zwlekaliśmy. Ale to nic, jeszcze **trochę** i już. Chociaż z drugiej strony to **trochę** daleko. Może lepiej nie chodzić. Bo i czasu **trochę** mało. **Trochę** za mało. Nie wystarczy.

Takie „trochę” często **trochę** mnie tłumaczy. Odmowę, czyli **trochę** grzeczniejszą. Owszem, można by, ale... To **trochę** za... (tu może być cokolwiek). Ale też i **trochę** mniej skuteczna taka odmowa. Bo jak tylko **trochę**, to w końcu nie powód. Może **trochę** powód. **Trochę** powód, **trochę** nie. Ale czasem bywa, że „trochę” to **trochę** więcej, a nawet sporo. Bywa, że przyznaję, iż coś jest. I muszę przyznać, że wystarczy. I mówię na przykład nieopatrznie, że **trochę** czasu mam. I wtedy **trochę** roboty trzeba wziąć. Dobrze, że z niej będzie **trochę** pieniędzy potem... Dużo? No, **trochę** będzie... Niby niedużo, ale przyznaję, że **trochę**... **Trochę** może mało skwapliwie, ale przyznaję.

A tej roboty to jest do licha i **trochę**. Wystarczyłoby do licha, a tu jeszcze **trochę**.

I już ani **trochę** nie dodam.

Może choć **trochę**? **Troszeczkę**?

Nie. Ani **trochę**.

www.przekroj.pl/bralczyk



ARCHIWUM „P”

Dziennik z placu INWALIDÓW

ZBIGNIEW MENTZEL

Spis przedmiotów, które zawsze noszę ze sobą

Pomysł spisania przedmiotów, które zawsze noszę ze sobą po wyjściu z domu, nasunął mi się nie bez związku z silną niegdyś fascynacją powieściami Juliusza Verne’a. Każdy, kto oddawał się namiętej lekturze „20 000 mil pod morzem”, „Dzieci kapitana Granta” albo „Pięciu tygodni w balonie”, pamięta zapewne, że bohaterowie tych utworów uwielbiają spisywać przedmioty, które biorą ze sobą w podróż albo które cudem znajdują, gdy popadli w tarapaty, stracili cały dobytek.

W kluczowej scenie „Tajemniczej wyspy” kilku rozbitków napotyka ogromną skrzynię wyrzuconą za burtę jakiegoś statku, otwiera ją i wyciąga ze środka („według dokładnego spisu, tak jak go sporządził w swoim notatniku Gedeon Spilett”): 3 noże o kilku ostrzach, 10 topory drwalskie, 10 worków gwoździ, 2 strzelby kapiszonowe, 5 kordelasów, komplet cyrkli, 2 tuziny koszul z nieznanego materiału, 22 pudełka igieł, 1 imbryk blaszany, 1 słownik narzęczy polinezyjskich, trzy białego papieru itd.

Kiedy w dzieciństwie jeździłem z ojcem na wczasy pracownicze – od lat w to samo miejsce, nad Wisłę, licząc w górę rzeki, 24 kilometry od drewnianego mostu w Wyszogrodzie, najdłuższego drewnianego mostu w Europie, jedną z głównych atrakcji ubogiego domu wczasowego był dla mnie „Spis inwentarza” znajdujący się w każdym z pokoi. Studiowałem co roku ten dokument z ogromnym zdumieniem, że w pomieszczeniu, które wydaje się puste, można znaleźć aż tyle rzeczy do spisania.

Spis przedmiotów, które zawsze noszę ze sobą, sporządzam nie bez wzruszenia, pamiętając o tradycji przekazywanej w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie: każdy, kto wybierał się na tamten świat (ja wolałbym jeszcze pobyć na tym), powiadał pisemnie swoich bliskich, jakie przedmioty chce ze sobą zabrać; dziadek i ojciec wykazali w tej mierze powściągliwość najdalej idącą...

Oto więc przedmioty, które po wyjściu z domu zawsze noszę ze sobą w małym plecaku kupionym nad polskim morzem: 11 frapujących zdjęć żony zrobionych polaroidem, dwa pudełka zapalek (zwykłych i sztormowych), zeszyt 96-kartkowy w kratkę, dwa długopisy BiC z czarnym tuszem, lu-

pa z okrągłym szkłem powiększającym czterokrotnie, a miejscowo sześciokrotnie, sławik od pierwszej w życiu wędkę, trzy stare pocztówki (z aleją Józefiny w Kaliszu, gdzie urodził się mój ojciec, z budką kąpielową na plaży w Karwi i z lubieżną ryciną Ropsa), *emergency poncho*, czyli peleryna przeciwdeszczowa nigdy nieużyta, scyzoryk dziadka wyposażony w korkociąg, duże i małe ostrze oraz w narzędzie o niewiadomym przeznaczeniu, zapewne pilnik do przecinania obrączek na palcach nieboszczyków, mała latarka, tak zwana latarka zdobywcy, zdobyta podczas promocji piwa Żywiec, miarka składana, mucholapka miodowa...

Przerywam z braku miejsca; gdyby nie dłuższy niż zazwyczaj tytuł tekstu, mógłbym kontynuować.

www.przekroj.pl/mentzel

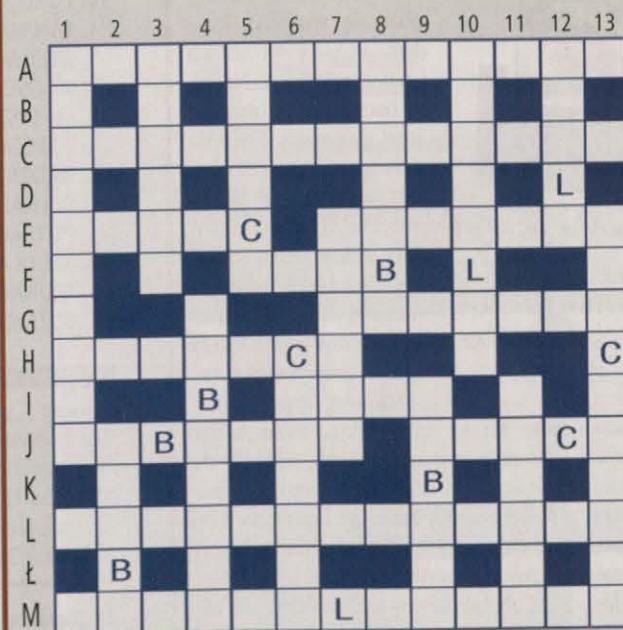


FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

JOLKA nr 34

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

A1 – E2 – M8 – L10 – Ł6 – C9 / A10 – H4 – G11 – K13 – I9 – D5 – E7 / C11 – J2 / B5 – H10 – F3 – H2 / M3 – I1 – G7 – J9 – E4 – L2 – E9 – I8 – A3 – L8 – C6 – Ł11 – Ł13.



ROZWIĄZANIE JOLKI NR 30: POŁOWA, ZWYCIĘSTWA W BITWIE JEST SZTUKA DAWANIA PRZEDSTAWIEŃ (Z KSIĄŻKI GLENA COOKA „GRY CIENIA”).

Rzędami: Wagner, papiloty, post, plandeka, modlitwa, schab, lont, mnich, debet, unia, Twain, mrowisko, zarządca, Luwr, obiektyw, Darwin.
Kolumnami: demolud, zakłęcie, brojler, biennale, botki, golem, szron, koltunka, wypad, Orbis, limit, nawiązka, notatki, chińczyk, rejtach.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 28 nagrody wylosowali: Ewa Kołodziejczak, Bydgoszcz; Filomena Marciniak, Poznań; Joanna Maria Oyrzanowska, Kraków; Kazimierz Pinkowski, Gorzów Wielkopolski; Anna Wawelska, Gdynia. Gratulujemy!

WYRAZY 13-LITEROWE:
• przycinanie ryzyka
• artysta zaopatrujący się w Lubinie
• gibie się na potupajkach
• i kangura obrobi

WYRAZY 10-LITEROWE:
• doda -gate
• krach klech

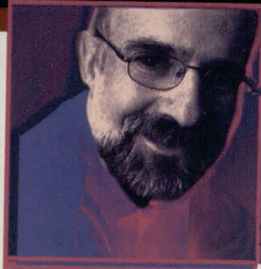
WYRAZY 8-LITEROWE:
• aktor peronu trzeciego
• 1815 w dyskografii ABBY

WYRAZY 7-LITEROWE:
• nie ruszaj się tam bez salsy
• intratna stonka
• skok z diamentem
• Rzym lutników
• pyry na furi!
• dobre liczydło

na złe zasypianie

WYRAZY 6-LITEROWE:
• beztroskie zachowanie na wulkanie
• nie lada problem na drzewie
• najważniejszy maszerujący
• podskórna awaria
• równy za wyrywnym

WYRAZY 5-LITEROWE:
• as w rękawie podejrzanego
• zapowiadacz siewcy
• pracuje od wtorku, poklinając sobie z pasją
• plaża Andów
WYRAZY 4-LITEROWE:
• sześciodniówka motocyklowa
• logo nobila

W I N N Y
B I E Ń C Z Y K

MAREK BIEŃCZYK

Na szkle
malowane

Minęły czasy, gdy pochodzenie butelki można było odgadnąć z paru metrów po samym typie etykiety. Rewolucja obrazkowa wtargnęła i w tę dziedzinę i skutecznie burzy uświęcone zasady. Teoretyczną podstawą rewolucji jest wolna amerykanka, to znaczy zgubna hippisowska myśl, że każdy może być artystą. Czyli że każdy może śpiewać i, co gorsza, rysować. Ponieważ nakreślenie krzyżyka jest szczytem mych możliwości graficznych, z pewną zazdrością, ale też nieufnością przypatruję się dokonaniom projektantów etykietek, którzy niezwykle co prawda ubarwiają szklany świat, lecz, z drugiej strony, nazbyt często spychają

i bohomazami. Oprócz prawdziwie pięknych etykietek rozpowszechniła się sztuka jarmarczna, w której sąsiadują ze sobą najostrejsze purpury i żółte anioły, najokropniejsze diabły i lotne kotki na różowych poduszczykach. Motywy satanistyczne i motywy sielankowe, a w środku wino skulone pod naporem inwencji na zewnątrz.

Dawniej istniało parę szkół etykietki. Najważniejsza szkoła bordoska umieszczała wizerunek *château* wznoszącego się za rzędami krzewów, do tego ewentualnie murek po prawej czy lewej stronie; dzisiejsze bordeaux trwają przy swej estetyce, ale już pojawiły się butelki, których nie sposób na pierwszy rzut oka zidentyfikować. Szkoła burgundzka stawiała na napis – apelacja, nazwa miejsca, nazwisko producenta, do tego parę esów-flo-

sów i tyle. Dzisiaj zdarzyć może się wszystko, kwadraty w stylu Mondriana i najprzeróżniejsze Nikifory oraz wytwory niepokalanej naiwności. Etykietyki dobrego Chateau Roquefort w Prowansji są na przykład dziełem paroletniej dziewczynki; zdolne dziecko, będzie może lekarzem albo filologiem. Dużo nowego wniosły szkoła amerykańska i australijska; wprowadziły

one sztukę minimalną, zmniejszając znacznie rozmiar etykietek, niekiedy do wielkości znaczka pocztowego; przyniosły też motywy New Age, kosmiczne albo tubylcze, amulety Indian Nawahów czy przebite nosy Aborygenów.

Cały ten barwny kalejdoskop rodzi miłe poczucie, że pod etykietkami skrywa się nieskończony świat różnic i że każde wino zasługuje na własny image. Chętnie w to wierzę, ale chwilami wątpię. No bo spójrzmy choćby na siebie – tyle imion, lecz wciąż jedna głowa, uszy, ręce... i nogi... Różnice są, lecz bez przesady.

www.przekroj.pl/bienczyk



Etykieta w stylu
naiwnym x dobrej
posiadłości
amerykańskiej
Ecole Nr 41

KRZYŻÓWKA nr 34



POZIOMO:

1. CYJANIZM
8. RĄBIE NA RĄBCE
9. DLA WTYCZKI LUB SAMICZKI
10. LORD SUZIN
11. PAN NA CZERWONYCH WŁOŚCIACH
13. MY WSZYSCY Z NIEGO
15. NADZIECIE DO KAŻDEJ POTRAWY
16. NIE DLA ŚWINI
20. TRUNKOWA ŁOŻNICA

21. DOPROWADZA DO RUINY

22. MCDONALD'S NA LITWIE
23. NAD ZAMKIEM

PIONOWO:

2. NA ROWERKU WOKÓŁ SKWERKU
3. IMA DOBRZE
4. BIAŁE, SZARE LUB ZIELONE (JABŁUSZKO)
5. MÓWI: „PRZYSZŁEM”
6. DLA SVOJEJ KASY I DLA

CUDZEJ KARIERY

7. SZARY W RUDYM
12. NA WIEJEKIEJ
14. GANEK ZE SZKLANICH ŚCIANEK
15. TRZYMAJ GRUPOWĄ
17. TAJEMNICZA MASZYNA
18. KOLEGA ŁOTRA I ŁOBUZA
19. ZARABIA NA SZYBACH

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 30

Poziomo: 1. globus 8. istota 9. próbówka 10. rycerz 11. macocha 13. kucyk 15. torba 16. kontakt 20. maluch 21. antypody 22. szczyt 23. koniak

Pionowo: 2. liryka 3. babsko 4. siwucha 5. wiara 6. kolekcja 7. maczek 12. cyrylica 14. pożytek 15. Tomasz 17. tampon 18. kłódka 19. chata

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 28 nagrody wylosowali: Marian Guć, Jarosław; Teresa Pawłowska, Gdańsk; Aleksandra Pęczak, Brzezie; Justyna Urbaniec, Wieliczka; Janusz Woźniak, Bystrzyca Kłodzka. Gratulujemy!

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 31 sierpnia (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Erberta Petoj „Wampiry i wilkołaki” (Universitas).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 34 lub Krzyżówka 34.

K U L I N A R N E
P I Ó R O

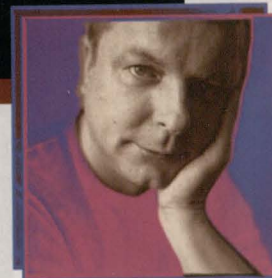
P O L S K I

Rozkosze cząbru

Zmiany
w świecie ziół

Do raz pierwszy od wielu lat udało mi się dostać pęczek świeżego cząbru. Do tej pory było to było przede mną ukryte – czy przez kaprys detalistów, czy za sprawą głębszą i tajemniczą – nie dojdę. Lecz pojawienie się cząbru w mojej kuchni bez przesady mogę nazwać objawieniem. Połączenie intensywności umiaru, ostrości i finezji właściwe cząbrowi pozwala na radykalne przeformułowanie moich dotychczasowych zasad używania ziół w kuchni. Przeprowadziłem bowiem eksperyment, kierując się tylko jedną zasadą: tam, gdzie zwykle dodajesz rozmaryn, szczypiorek, kolendrę, bazylię, szalwię, mięcie, oregano, tymianek, estragon czy majeranek – dodaj cząbr. Rzecz jasna, ciekawości poznawczej musi towarzyszyć odrobina zdrowego rozsądku, więc nie robiłem sosu pesto z cząbrowu w miejsce bazylii (choć robiłem go nieraz z natki kolendry, zwłaszcza do dań typu fusion). Poniżej – niektóre z bardziej udanych połączeń.

Najbardziej oczywiste było posypanie pomidorów świeżym cząbrem, do czego tych z państwa, którzy jeszcze tego nie robili, gorąco zachęcam. Twaróg z cząbrem zamiast szczypiorku jest rewelacyjny. Kotlety mielone z dodatkiem suszonego cząbrowu stają się czymś niezwykłym. Sos winegret ze świeżym cząbrem wprowadza całkiem nową i śmiałą nutę do sałatek z liści, zwłaszcza delikatnej sałaty oraz szpinaku. Wszelkie rośliny strączkowe lgną do cząbrowu: bób, zielony groszek, fasolka, nawet mamut, którego zazwyczaj jem na zimno z octem balsamicznym, był z dodatkiem cząbrowu szlachetniejszy, a zarazem bardziej seksowny (tak ryzykowne połączenia stają się możliwe dzięki temu ziołu). Sałatka z jaj



TADEUSZ PIÓRO

na twardo, majonezu, drobno posiekanej czerwonej papryki i takież potraktowanej czerwonej cebuli aż się prosi o cząbr.

Lecz cząbr zamiast rozmarynu na kotletach bądź udźcu jagnięcym lub poledwicy wołowej sprawił mi pewien kłopot: czy towarzyszące mięsu ziemniaki też nim posypać? Z takich dylematów wybawi nas właśnie ta odrobina zdrowego rozsądku, która oparła się nowej namiętności. Więc

w tym przypadku ziemniaki bez cząbrowu, za to frittata lub hiszpańska tortilla z ziemniakami zdecydowanie zasługują na hojne wsparcie naszym ziołkiem. Podobnie jak frittata z cukinią oraz najprostszy makaron z czosnkiem, oliwą i parmezanem. Wkładając kurczaka do piekarnika, nie zapominajmy o nadzianiu go pęczkiem cząbrowu, nakłutą całą cytryną i paroma ząbkami czosnku.

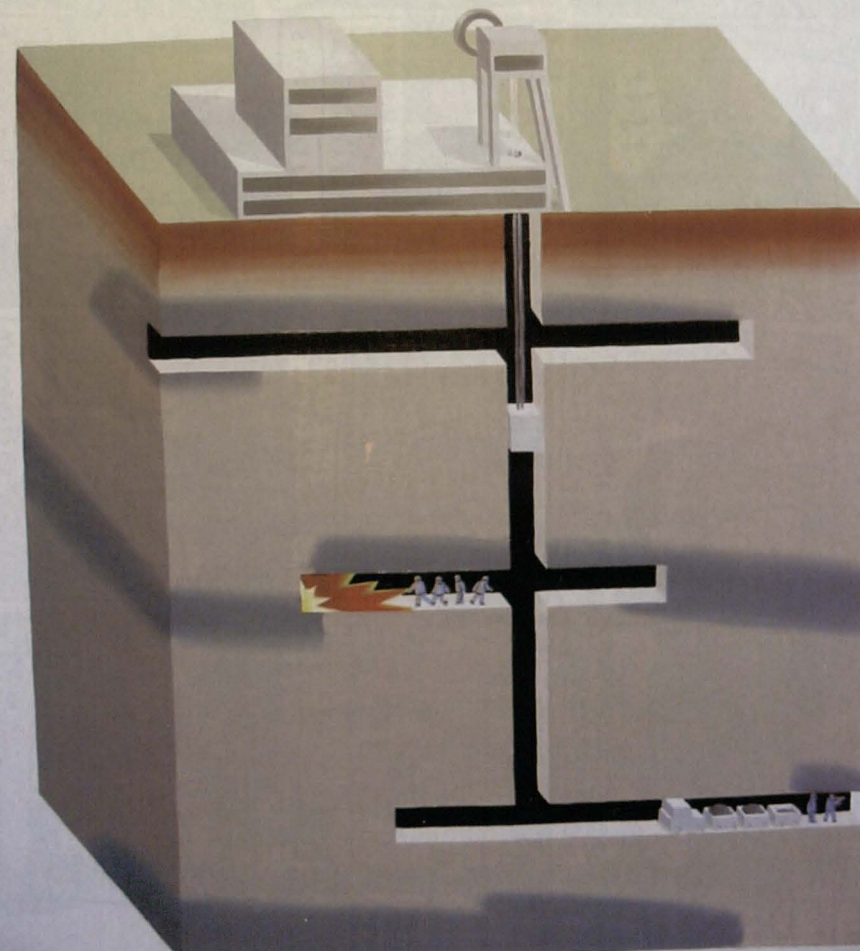
Bagietka przekrojona wzdłuż, jedna połowa delikatnie posma-

rowana musztardą i wyłożona sałami i ementalerem, druga rozgniecionymi tak, by dobrze przylegały do mięsa, plasterkami awokado, na które przed ponownym złaczeniem połówek bułki kładziemy plasterki pomidora suto posypane świeżym cząbrem, skąpo zaś – skrawkami czerwonej cebuli, mogłaby stać się przebojem, gdyby liczne już w naszych miastach kanapki nie zechciały umieszczać ją w jadłospisie. I pod warunkiem, że bagietka byłaby świeża i chrupiąca. Tyle francuskich firm w naszym handlu spożywczym, a tak trudno o dobrą bagietkę.

Podobno w Prowansji cząbr rośnie dziko w przydrożnych rowach, co warto wziąć pod uwagę, snując wakacyjne marzenia. Ja swoim zwyczajem jadę nad Bałtyk, skąd niedługo prześlę stosowny raport.

www.przekroj.pl/pioro

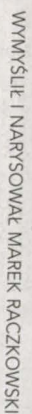
MACIEJOWSKI C W I E R Ą STRONY GRATIS



ZAWAL



raczej **RACZKOWSKI**



Ameryka z okolic Afryki

Pewien starzec (w słonecznej Brukseli) leżał z bratem bliźniakiem w pościeli. Nie zgadli do tej pory, który to z nich jest chory! Do dziś leżą – w piżamach z flaneli...

**PRZYŁOŻY
STAWIŁAM Z ŁODZI**

**CO TO ZA DZIWNE
NAZWISKO – OCIPKA?**



Krawiec – głosił na całej Podhalie – Projektował ubrania dla... pralek. Mawiał: „Choć są ubogie, wolę pralek od kobiet. Z pralek jest dużo łatwiej brać miarę...”

Barbara Sienka

**Z głowy
Krzyżostfa Bilicy**
Życie jest snem
– gdy spada ciśnienie.

nadeszła

SŁOWOTWÓRSTWO PRZYSZŁOŚCI
Według miśsiężnika „Filin” (numer 8 z 2003 r.) w roku 2084 w obrazie „Pamięć absolutna”
„...Indzie skolonizowali inne planety”.
Informacja ukazała się w rubryce „Dyrdymaty”, co wiele wyjaśnia...
(Nadesłał Marcin Krut z Warszawy)



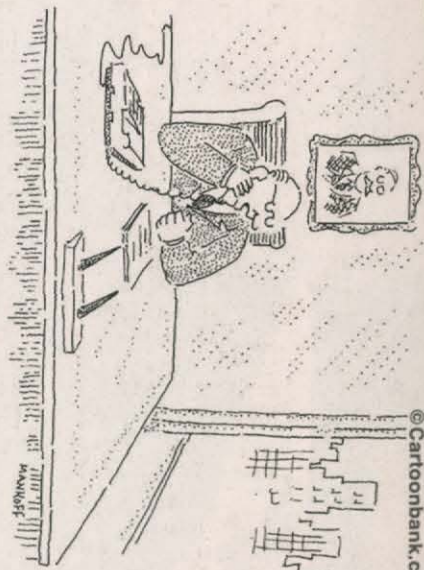
9. Andżelika, syn Gabryli i Wojciecha Tkaczów z Chelmska. Urodzona 24.02.2003 r. Waga 4,100 kg, dł. 57 cm.

MAŁE JEST... DWUPŁCIOWE

Imię Andżelika stało się banalne – teraz trendy jest nadawanie go chłopcom!!!
(Wyśmienit z nowosolskiego dygdułnika „Krug” nadesłał Zbigniew Herman z Orynai)

Rodzina Obłych DETEKTYW

Po lekcejach syn Obły bawi się w detektywa – śledzi przypadkowo spotkanego przechodnia. Mężczyzna nie wie, że jest śledzony, i zachowuje się bardzo swobodnie. Wchodzi do jednego sklepu, potem do drugiego i trzeciego. We wszystkich trzech sklepach kupuje ziemniaki. Następnie wsiada do autobusu i odjeżdża.
Syn Obły długo obserwuje oddalający się autobus, a potem wraca do domu.
– Gdzie byłeś? – pyta go zdenerwowany pan Obły.
Chłopak z dumą pokazuje mu trzy ziemniaki. Każdy jest inny.
Patrik Pejař



© Cartoonbank.com

Rys. MANKOFF/NEW YORKER

– Miliard to tysiąc milionów?
Czemu wcześniej nie zostałem o tym poinformowany?

KINOCALIZY

Sekretarka.
Dramat politycznie niepoprawny
Występują:
CZŁONKOWIE ANONIMOWEGO ZWIĄZKU SZEFÓW MOLESTOWANYCH PRZEZ SEKRETARKI (AZSMPS),
TERAPEUTA

Scenar: brzośła w okrug, mroń, konspiracja.
– Paniu Mareczku, niech pan zaczyna...
PAN MARECZEK (cicho):
– Ja naprawdę nie nie podejrzałem... Aż pewnego dnia pani Jola uszczypliła mnie w...
Nie wiedziałem, jak zareagować, i... (placze).
Nagle wstąpiłcie feministki pod wodzą Kaziuśki Szczęśliwej. Paniuśka w szeregach AZSMPS. Nieodwracalnie uważy psychizację.

THE END/KURTYNKA

Odwyższanie

Rafał Bryndał

W roli kibica przy Misurzów Lidze lub u fryzjera, gdy chce się ostrzyć, w momencie kiedy rolls-royce'a widzę, odrywam się od rzeczywistości.

W knajpie przy dobrych futri dla mat, w Splicie, w Wenecji, nigdy w Bydgoszczy, gdy Hendrix szarpie swoją gitarę, odrywam się od rzeczywistości.

Za każdym razem, kiedy Hrabala czytam, jak leci, wszystko w całości, albo gdy fajkę sobie wypalam, odrywam się od rzeczywistości.

Tańcząc z Kubanką, aż złapie kolka, grając przedwstępnie względem miłości, jeżdżąc po mieście na tyrowolkach, odrywam się od rzeczywistości.

Jeszcze gdy z prasy czyśto niemieckiej wycynam zdjęcie pełen lubości skąpo ubranej Magdy Cieleckiej, odrywam się od rzeczywistości.

1 by ten temat do końca wyssać, dzięki Jannuscha Jima twórczości lub gdy się staram sam wiersz napisać, odrywam się od rzeczywistości.

Lecz oderwanie największe miałem, z tego powodu po nocach wzdycham, kiedy widziałem program z udziałem samego pana Romka Giertycha.

MYŚLI!

Śmiech jest wejściem do sedna rzeczy bardzo poważnych.
(Alosha Awdiejew)



Rys. PAULUS MAZUR